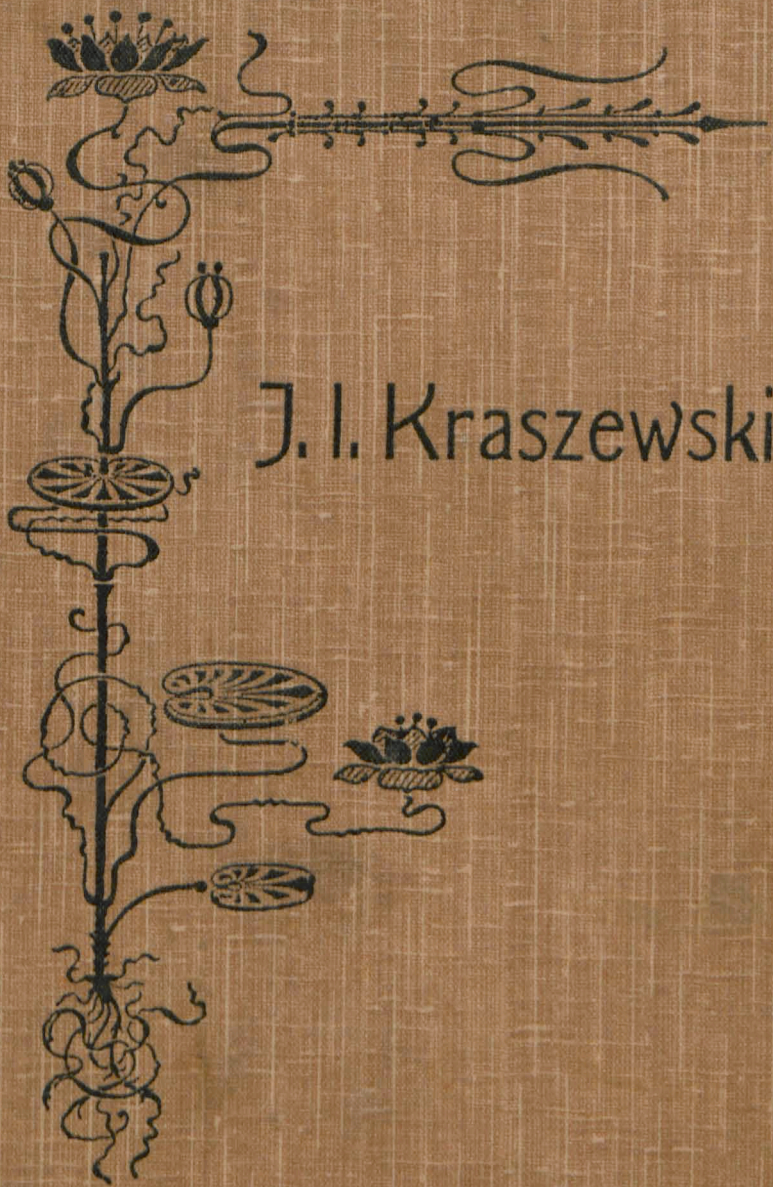




J. I. Kraszewski

STACH Z KONAR.

Z CZASÓW KAŻMIERZA SPRAWIEDLIWEGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

1 Grovish

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Марта 1899 года.



№ 173

PANU GUSTAWOWI
BARONOWI MANTEUFFLOWI

w dowód przyjaźni i głębokiego szacunku

przesyła

Autor.

Drezno
25 Lipca 1878 r.

*Non enim adolescentularum inter musas collascivere choris,
sed sacri senatus assistere tenemur suggestiui; non umbratiles palu-
strium harundines, sed aureas patriae columnas, non pupas fictiles,
sed veras patrum effigies de sinu oblivionis, de ebore antiquissimo
rubemur excidere: immo divinae lampades lucis in arce Regia iube-
mur appendere et bellicis inter haec insudare tumultibus.*

Mag. Vincentij Episcop. Cracov.
Chron. Polonor. Prologus.

I.

Wiosna była i ranek wiosenny, majowy, taki, jakim Bóg tylko północne obdarza kraje, płacąc im za długą zimę oczekiwania sennego.

Po ciepłych deszczach, słonecznemi przeplatanych uśmiechami, nabrzmiałe pączki otwierały się, jakby rozmiłowane w promieniach jasnych, rozpościerały liście szeroko, aby światło przeniknęło ich do głębi; z czarnych śmieci zimy wylatywały motyle ubarwione złotem i purpurą, muszki brzęczące i łuskami szmaragdowemi okryte żuczki, zrywające się do lotu skrzydłami jeszcze na wpół splątanemi snem śmierci.

Na wschodzie rumieniło się mające dopiero z pieluch chmurzek różowych i mgły srebrzystej rozpowić słońce; mrok rozkoszny ów oblewał ziemię, który już nie jest nocą, a dniem się nie stał jeszcze i czuć w nim nie zapadające zasłony ciemności, ale precz uchodzący sen ziemi.

Z ciszy głębokiej, która panowała przed chwilą, szmerów tysiącem świat się rozśpiewywał do życia; chór ten, poczęty przez muszki drobne skrzydły dźwięcznemi, wzmagał się świergotem ptasząt, śpiewem ich i szumem rannej lasów modlitwy, rósł w wielki chór uroczysty na powitanie słońca Bożego.

A tak było na świecie pięknie i miło, że chyba znużona starość mogła zasnąć ranek taki. Kamienie

nawet omszone zdawały się potnijac od rosy, wracać na chwilę do straconego żywota. I woń płynęła we wtór pieśni taka jakaś niebiańska, nieokreślona, złożona z zapachów tysiąca, że się nie czuło czem była, a poilo tylko błogością, jaką w sobie niosła.

Mieszwały się w niej oddechy pączków drzew, liści świeżych, kwiatów rozpękłych, zwilżonej ziemi, parujących źródeł, unoszącej się w powietrzu rosy i traw młodych i borów starych. Dobrze żyć było, oddychać, słuchać, czuć, że się jest na tym świecie, który za chwilę ozłocić miało słońce. Król dnia jeszcze był nie wszedł na godowe gmachy, dwór jego poprzedzał pana. Biegły obłoczki, zwrócone twarzą ozłoczoną ku niemu, zwiastując go rozpostartemi skrzydłami, sunęły się chmury, rozbijając w biegu jak przełękłe majestatem pana, i mgły się rozplwały, jak omdlałe z rozkoszy, w lazurach coraz silniejszej nabierających barwy.

Na dole, na lasach, w nizinach, spał jeszcze poranek, a było szaro, a mroczno. W półcieniach tylko podnosiły się lasy sine, wyciągały łąki strojne wierzbami, strzelały gdzieś sterczące wysoko odwiecznych drzew wierzchołki z liści ogolone. W górze stawało się coraz jaśniej.

Wtem z za obłon wybiegł promień jak snop złoty, posypał światłością wierzchołki drzew, smugami jasnymi poprzerzywał łąki. Ziemia drgnęła od ognistego pocałunku.

Jakby na ten promień czekało wszystko, wnet żywiej zadrgało, ozwało się głośniejsz na ziemi co jeszcze drzemało ospałe przed chwilą.

Okolice była piękna a na pół dzika jeszcze, choć czuć w niej już było człowieka i jego pracę. Opasywały ją lasy jak wały ciemne, lecz w głębie ich już się wdzierały polany od łąk zieleniejsze, ręką ludzką uprawne, tu i owdzie żółta drożyna biegła obok rzeki, przeskakiwała ją mostem z kłód grubych skleconym i sunęła wijąc się ku puszczom. Z pośrodku gęstych

drzew po słupach dymów domysleć się było można osad ludzkich. Stada pasły się na wygonach, na wzgórkach gdzieś gdzieś widniały dachy słomiane i chaty szare.

W pośrodku doliny małej otoczonej wzgórzami, jeszcze gąszczem porosłymi, u brzegu rzeczki, na pagórze niezbyt podniosłym, ale wałami i ostrokolami obwiedzionym, widać było stary gródek, dość rozległy. Zdala, z za okopów zielonych, podnosiła się tylko okrągła, przysadzista wieżyca z polnych kamieni, panny nad okolicą. Gmachów co się z nią zrastały, za drzewy i za wałami prawie widać nie było. Wyszczerbiony wierzch jej nie miał dachu, sterczało tylko nad nią coś, jak belki powiązane z sobą, nie okryte niczem.

Gródek ten zwał się Ściborzyce, a obszerne dokoła włości należały do niego, i mało było żupanów w Sandomirskiej ziemi nad Ścibora ze Ściborzyc, starego już, stuletniego może wojaka, co swe ostatnie walki z Krzywoustym odbywszy, złamany i posieczony, przyszedł tu wieku swego dożywać, śmierci doczekać. Zgrzybiały rycerz nie ruszył się już z gniazda, a nie było go komu wyręczać, bo nie miał ino jedną córkę, żadnego syna, wszystko mu pomarło w pieluchach. Dziecięcia jedyne, choć je dawno czas było dać komuś, Ścibor z domu nie puszczał, a do domu też nie wpuszczał koby mu usynowiony gospodarzył.

Kto temu był winien? czy piękna Jagna Ściborzanka, czy stary ojciec? Mówiono różnie, nikt po no całej prawdy nie wiedział, a kto ją znał, ten milczał. Ludzie obcy patrzyli na tę dziewczkę wielkimi ciekawymi oczyma. Było co bo patrzeć i wypatrzeć oczy—nikt jej nie rozumiał.

Długo się na nią oglądając, potrzęsali głowami, potrzęsali ramionami, nie mówili już nic.

I oto tego poranka, koby był widział Jagnę, jak z pod strzechy się zawczasu wyrwawszy, nim słońko

weszło, wybiegła na wał gródka i stojąc na nim, poglądała smutnie po okolicy, zdumiałaby się pięknej dziewczce, nie rozumiejąc co ją zbudziło i co ją pędziło?

Stała tak już dobrą chwilę na najwyższym cyplu wałów, wyszedłszy z pośrodku rosnących wewnątrz, u stóp jej lip, świeżo rozpękniętych — stała patrząc w dal zadumana, piękna, posępna, nieodgadnięta.

Co ona tam widziała i na co patrzała, dla czego się zerwała tak rano? nikt z domowników nawet nie rozumiał. Ale ci byli nawykli do dziwactw pięknej dziewczyny, której ojciec na wszystko pozwalał co chciała. Ona tu sobie, jemu i wszystkim była panią. Czyniła co się jej zamarzyło; mówiono, nie zawsze to, coby młodemu przystało dziewczęciu, ale Ścibor syna nie mając, dozwalał jej być taką, jaką chciała. Chowalo się to po śmierci matki dzioko, samowolnie, pieszczone, a że w żyłach jej jakaś bujna krew płynęła, trzepotała się jako ptak co nie zna ino to, co mu słońce, wiatr, pogoda i burza do główki napędzą.

Stała Jagna Ściborzanka na wysokim okopie sama jedna, dziwnie na ranek przystrojona, a taka piękna, jakby z gałęzi starych lip wyrosła Dziwożona. Dziewczę było wzrostu słusznego, rozkwitłe bujno, krew z mlekiem, twarz miała tylko opaloną nieco, oko czarne i śmiałe, brwi ruchome i łatwo biegające, w pośrodku których groźny marszczek czasem czoło przerzynał. Nosek mały rozdymał się różowemi jak u konia chrapkami, usta drobne dumnie ku górze były wzdęte, miały wyraz nadąsania i dobroci razem, a jak wiśnie różowe wyzywać się zdawały pocałunków. Cała była tak kształtna a tak silna, że mimo swej piękności niewieściej, podobniejszą była z postawy i ruchu do młodzianka raczej niż do pańskiego dziewczęcia.

Tego poranku miała na sobie białe gżło, szyte wzorzysto na ramionach i piersi, i przyodzievek sukienny krótki, a spódniczkę kraśną, szkarłatną, złotem obramowaną, na nogach buciki ze śpiczastemi nosami,

pas szeroko obmotany aż pod piersi do góry podniesioną, kształtną i jak z kamienia wykutą. Ręce które z pod rękawów występowały ogorzałe jak twarz, formy miały piękne, rozmiary drobne, a czuć w nich było jednak siłę; nóżka wystająca z pod spódniczki wyglądała niemal kopytkowato, tak była małą i garbatą. Kilka sznurów koralu z bursztynów i szklanych pereł ciasno, jak pancerzem, białą jej szyję obejmowały. Na głowie zamiast dziewiczego wianka, który dla dziewczuch był w obyczaju, miała czapczkę czerwoną, małą zielonemi liśćmi do koła obwiedzioną.

Ślicznie jej było w tym stroju, choć twarzyczkę miała zasępioną, a rozglądając się po okolicy, nie rozjaśniła jej uśmiechem. W oczach jakby lżą rozplyniętą zwilżonych, smutek i niepokój znać było, do ust przylgnął ból jakiś stary, z którym się już żyła. Stała, patrzała, oddychała, jakby jej tam pod dachem powietrza było zabrakło, a tu go szukać musiała i chwytala spragnioną.

Gdy tak patrzała zadumana po za nią budziło się wszystko na gródku, piałły na wyprzódki kury, gdakały kokosze, gruchały gołębie, rżały konie, bydło ryczało, beczały owieczki i czeladka ruszała się gwarno, a szmery i głosy przemykały po podwórcach, choć jeszcze wczesną dnia dobą stłumione.

Stary Ścibor spał, więc podle dworu cicho stąpano, nie rozpuszczano głosu; bliżej wałów, kędy o dziewczce pańskiej, już rozbudzonej wiedziano, śmiejąc pomrukiwali ludzie.

Daremna to rzecz, choćby silną panią była niewiasta, nigdzie jej takiego posłuchu i poszanowania nie oddadzą ludzie, co najslabszemu mężczyźnie. Jagny też nie bardzo się czeladź obawiała, choć chwilami straszną być umiała i gniewy miewała mężkie.

Wiedziano o tem, że gniew jej przychodził jak piorun, przechodził jak burza. Kochali ją ludzie więcej niż się lekali, a litowali się bardziej niż miłowali. Gdy ranku tego wybiegła nagle o brzasku na wały.

dziewczęta i parobcy popatrzeni na nią, spojrzeli na siebie, głowami potrząśli, nie mówiąc nic.

Stare baby po cichu zwały ją: „nawiedzona.“ Nikt jej dobrze nie rozumiał, dla tego znachorki myślały, że chyba kto czar w kolebce rzucił na nią, i wiele z nich utrzymywało, że trzeba było „odezwać urok“ aby dziewczka do rozumu przyszła.

Nie bez przyczyny mówiły to staruchy, bo była jakby szaloną i nawiedzoną. A za drugi czar przyznać jej było można, że ojca wojaka starego, który się nigdy niczego i nikogo nie uląkł, tak ona dziewczucha sprawowała, iż dawał jej czynić co sama chciała. Miała już Jagna jak liczyła ta co ją karmiła, dobrych lat dwa dziesiątki, panią była znacznych włości, starało się o nią ludzi możnych niewiedzieć ilu, a na wszystkich głową trzęsła i ramionami ruszała wzgardliwie—nie chciała nikogo.

To by jeszcze nie było nic, bo nawykła do samowoli, a włożywszy namitkę, i postrzygłszy kosy, jużby pana, wybraawszy go sobie, słuchać musiała, więc pod niewolę śpieszyć się nie miała czego — ale żyła dziewczyna nie po niewieściemu.

Prząść len i szyć w krośnach i inne roboty niewieście umiała Jagna począć tak zręcznie jak mało która, gdy się do tego wzięła prędzej jeszcze i piękniej niż inna potrafiła, a no serca do tego nie miała. Zrobiwszy co, rzucała w kąt, na chwilę i to ją zabawiało, popatrzała potem, usta się jej pogardliwie do góry podnosiły i więcej już ani spojrziała. Za to męskie zabawy, które dziewczkom nie przystały, zdawała się woleć nad inne.

Siąść na konia, choćby dzikiego, hasać na nim pół dnia, wrócić zmęczonej, często podrapanej nieczem dla niej było. Na takie wyprawy ze psy, z sokołem przebiegała się po męzku, stroiła dziwacznie, i aż się jej oczy śmiały, gdy z zamku w świat się puszczała. I to by jeszcze nie było nic, bo wiele naówczas niewiast miało męskie upodoby, najgorzej ze wszystkie-

go, że się czasem Jagna, wyrwawszy z domu, porzucała czeladź, oblała swoich ludzi jakby umyślnie, przepadała bez wieści na dni kilka, a zjawiała się potem z powrotem, jakby się jej nic nie stało.

Gdy jej potem wymówki czynili, ramionami ruszała i śmiała się pogardliwie odrzucając:

— Nie mi nie będzie!

Stare ojczyisko już się z tem było oswoiło. Córką ta toć było jedno oko w jego głowie, cały świat, słońko i życie! W początkach Seibor z rozpaczą głową tłukł o ścianę, ludzi rozsyłał, nagrody obiecywał, narzekał, włosy sobie rwał, a no, jak się to człowiek z najgorszym oswaja, potem już to znikanie dziecka tak go nie przerażało. Mruczał stary.—Już ona wie co czyni—niech tam sobie! Tyle jej co poszaleje!

A gdy powracał to ją cisnął do piersi i płakał, póki mu się nie rozśmiała białemi ząbkami, nie pocałowała w czoło i nie poszeptala coś do ucha.

Seibor był już prawie dzieciniał.

Za Krzywoustą, gdy się nieustannie z Pomorzany ścierano, kędyś pod Santokiem pono, Seibor w głowę został ranny przez dzikiego człeka i leżał na pobojowisku, jak bez ducha, a nie ocucił się, aż gdy swoi grzebać trupy przyszedłszy, już go do kurhana wlekli by pochować. Gdy go rzucono o ziemię, zmysły jakoś odzyskał, długo potem chorzał, powróciło życie, ale sił już nie było. Odwieźli go do Seiborzyc, tam czeladź i córeczka, a baby lekarki na chorego chuchały, że mu się i rany pogoiliły i pamięć wróciła. Tylko na wojnę już iść nie było sposobu. O kijach dwu się włóczył i grzbiet miał przełamany. Dziewczę właśnie dorastało, miał ze szczebio- czącej ptaszyny pociechę, a choć i dawniej Jagnę miłował bardzo, teraz gdy na nią jedną zszedł, i z niego więcej nie miał rozrywki, cały się dziecku oddał.

Za króla Krzywoustą w zachowaniu był wielkiem, a liczył się ze Skarbimierzem, Żeliszawem i in-

nymi do najlepszych wojaków, potem gdy tak złamany został, a do barlogu przykuty, odwiedzał go sam król i dzieci posyłał. Jeździł do Ściborzye starszy królewicz Władysław, przybywali na łowy i zabawiali się po dni kilka Bolko, Mieszko. Nawet najmłodszy dwaj, po śmierci króla, pamiętni ojcowskiego kochania, przez matkę tu byli posyłani, Henryk i Kaźmierz, najmłodszy królewicze, nieraz tu z ochmistrem po kilkanaście dni na łowach przesiedywali: Henryk i Kaźmierz, z małą naówczas Jagną bawili się po wałach i okopach ścigając, śmiejąc się, hucząc a pokrzykując w najlepsze. Dzieweczka naówczas po mężku się nauczyła dla nich przebierać i mężkich nabrała obyczajów.

Później za Władysława, gdy cięższe nastały czasy, a królewicze wiele mieli do przecierpienia, bo niemi, młodszy z wlaszcza, tu i owdzie rzucono, już ich w Ściborzycach nie było. Przejazdem tylko Kaźmierz tu czasem zaglądał.

Gdy dziewczę dorosło, że to było piękne jak kwiatek, bogate jak księżniczka, i u ojca jedyne, na ogłos o niem sypały się swaty starym obyczajem. Niepytano Jagny, kogoby ona chciała, a słano do ojca z ofiarami. Ten syna stręczył, ów bratanka, inny krewniaka, wszystko z wielkich rodów.

Zrazu Ścibor myślał może wydać Jagnę, takiego sobie tylko szukając w przyjmy, aby nie synem był tylko zięciem. Wiadomo, iż zięciowie po wsze czasy złą sławę mieli, nietylko na Rusi, gdzie o nich przysłowie chodzi — ale i w Polsce. Patrzył więc Ścibor i prosił rad był, ale i owa dziewczucha mu długo myśleć nie dała, pocałowała go i rzekła:

— Darmo sumujesz stary, ja nie pójdę za mąż chyba sobie sama pana wybiorę. Wybór będzie nie łatwy! A poco ci śpieszyć, stary mój, mnie za mężem nie tęskno chyba tobie. Po co pana sobie szukać? Albo ci ze mną źle? Czy się boisz, abym ja na koszu nie siadła i rutki nie siała pod siwy włos?

A gdzież to widział, aby tylu ziem i wsi dziedziczka jedyna, męża gdy zechce nie znalazła?

Naprawdę więcej się tego obawiał Ścibor, aby powinowaci, gdyby zmarł, majątku ich nie zajechali i nie pochwycili jako mienia ojczystego, dziewczynę lada wiankiem zbywając, ale Jagna śmiała się z tego strachu, mówiąc, że krzywdy sobie nie da uczynić.

— Toć Bolko i Mieszko i Henryka i Kaźmierza znamy i łaskę u nich mamy, że nam krzywdy uczynić nie dadzą — przyczyniała do tego. — Ktobykolwiek z nich panował, krzyw nam nie będzie, a jeśli najmłodszy Kaźmierz przyjdzie do mocy, ten mój druh najlepszy, bośmy z nim razem na drewniających koniach jeździli!

Ścibor głową pokręcał.

— Po niewieściemu ci w głowie świta — odpowiedział — Kaźmierz najmłodszy, w klasztorze chyba siedzieć, ojcowizny niema żadnej, a gdzie mu przed starszymi do panowania!

Było to za tych czasów, gdy Władysława wypędzono z Krakowa, a Kędzierzawego sadzono w miejscu jego, więc gdyby się panowanie zmienić miało, swatało się dość dużo, bo i Władysławowicze i, gdyby Bolko nie dotrwał, Mieszko ze swoim potomstwem. Kaźmierz naówczas ani kawałka ziemi nie miał, u brata będąc na łasce. Dopiero gdy Henryk, najmilszy mu z braci, nieszczęśliwie zginął w zasadzce, Sandomierz mu się po nim dostał.

Ale do Krakowa, który mu Jagna przepowiedziała żartobliwie ojca pocieszając, bardzo było jeszcze daleko. I tej dzielnicy pięknej, Sandomierza z Lublinem, wydzielonych ów najmłodszy synek Krzywousty spodziewać się nie mógł, cóż dopiero stolicy głównej i panowania zwierzchniego. Ścibor się śmiał z córki, że towarzysza zabaw dziecięcych rada była widzieć tak wysoko, aby w nim swej samowoli opiekuna znalazła — ona, pomrukując, głową sobie trzęsła.

Przekonać ją, gdy się w czym uparła, bardzo Staeh z Konar. T. I.

MUSEUM
JIK
ROMANOW
273

było trudno, raczej niepodobna. Co się tam w tej głowinie snuło i plotło myśli dziwacznych, Bóg wiedział jeden.

Czasami, gdy wieczorami, jesienią, jak to najczęściej bywało, pół siedział na pół leżał w kącie izby, a u ogniska kłody wieczorne niebieskimi dogorywały płomyki i Jagna usiadłszy przy starym, puszczała wodze swym cudackim wymysłom i marzyła dziwne rzeczy; stary słuchał, to się zżymając, to spluwając, to śmiejąc, a w końcu nieraz i zapłakał, dziecko ścisnąc. Bo co Jagna wygadywała, nie do wiary było szalone, a ci co czasem podsłuchiwali, ręce do góry podnosili—i dla tego ją „nawiedzona” zwano.

W istocie nawiedzały ją baśnie złote, jakby te, które z kądzieli przadki sobie wymyślają, przypominając co im u kolebki prawiono. Czasem się w tych baśniach widywała królową, żoną jakiegoś władcy, ukochaną, rozkazującą na cztery świata strony, szczęśliwą a w sereu jego mocną. I jakby coś w sobie miała, wspomnienie czy przecucie, opisywała ojcu miłego swego, co go pewnie na świecie nie było, zawsze jednak, takim pięknym jak chyba prawdziwy mógł być królewicz.

Po takich nawiedzeniach nazajutrz, gdy dzień jasny rozwiął nocne widziadła, Jagna wychodziła ze swej komnaty taka blada, smutna, tak przybita, niema, jakby wszystkie szczęścia wczoraj wypila do dna, a na dziś jej i kropki nie pozostało.

Takich dni czasem siadywała na kamieniu u dworca, nie słysząc nic i nie widząc, albo gnała z koniem w lasy, póki się w śmierć nie umęczyła i nie powróciła bez tchu, bez mowy, aby ledz bezduszną na pościeli i snem żelaznym spać potem dzień i noc. Ojciec wówczas czuwał nad nią i płakał.

Z gachami, co się swatali, dużo biedy bywało. W początkach ją oni gniewali, zamykała się od nich, dąsała, nie jednemu takiego coś rzekła, że z gniewem precz odjechał, zemstę poprzysiegając. Niektórzy się

kusili gwałtem ją porwać, ale dwu to na złe wyszło, bo jednego z łuku postrzeliła, drugiego ludzie brzydko stłukli. Inni się już nie posuwali, odstręczeniu tą nauką.

Niektórzy przyjeżdżali z podarkami, nawiedzając starca, a dziewczę starając przypodobać. Więc gdy się z zalotami oswoiła, odprawiała je różnie, szydersko, czasem pogardliwie, niekiedy litośnie i bez gniewu, a z gróchowinami. Żaden jej do smaku nie był, choć drudzy się układali.

— Ino mnie węź! — położywszy sierść gładko. Ona zawsze się w nich jeźów i koleców domyślała. Ci, co poszli precz odprawieni, z gniewu potem wymyślali na nią, że „nawiedzona” była, drudzy, że coś miała w myśli i sereu tak podłego, iż się do tego przyznać nie śmiała. Łatwo ją było o wszystko posądzić, bo nie dbając o nic, znikła często, niewiedzianno gdzie się podziewała, prawili ludzie co chcieli.

Dziewucha była jak koń dziki, co uzdy nie uczuł nigdy, ale gdy się komu uśmiechnęła, każdyby był za nią życie dał.

Dobrze już słońce podeszło na niebie, gwar w podwórzach rosnął. Jagna co się była w okolicy na lasy zapatrzyła, zbudziła się dopiero, obejrzała dokoła, posłyszała, że się życie brało na dworcu — i powoli zeszła z wałów.

Wprost z łąk ciągnęła do ojca.

Stary się budził nie rychło, często dobrze po wschodzie, bo po nocach sen go nie brał, późno zasypiał, musiał potem na dzień zachwycić.

Naówczas, gdy na wyrostka, który legiwał u progu, w dłonie klasnął, bo głos miał mały i krzyczeńie nie mógł, szedł Szurka zaraz okienniczkę w głowach pańskich odsunąć, aby do izby światło weszło i powietrze.

Potem, zimą czy latem ogień mu rozpalano, bo bez niego żyć nie mógł. Dawali mu wodę do umycia i ręcznik, a tuż i polewkę z mięsem niosła albo

stara mamka Jagny Wierucha, albo i ona sama, jeśli była w domu i pogotowiu.

Miał stary psy ulubione, które wówczas wpadały do niego, bo nocą za drzwiami z Szurką legły. Czasem potem władarz przychodził, czasem się gość zjawiał—i ot tyle. Dzień się poczynął, który potem włókł się różnie, najczęściej długo a nudno jeżeli Jagny nie było, a pora nie dozwalała starego wynieść pod lipy, na przyżbę, albo gdzie mu się zamarzyło.

Jagna ku dworowi podchodziła, gdy już Wierucha miszkę staremu niosła, skinęła na nią milcząc, aby ją oddała i sama niosąc, do izby weszła ojcowskiej.

Stary właśnie pacierze mówił, bo człek był pobożny, jak wszyscy rycerze Krzywousty, pana, który bez modlitwy nie wojował, a Bogu więcej służył niż światu. Towarzysze jego moc modlitw i pieśni na pamięć się w obozach pouczali, bo je tam codzień wieczór i rano czytano, odmawiano, śpiewano.

Zobaczywszy córkę, Ścibor prędko dokończył służbę Bożą, przeżegnał się, usta mu się do niej uśmiechnęły, ręce drżące wyciągnął i zaszeptał tylko:

— Moja ty, moja!

Ona też uśmiechnęła mu się, ale tak smutnie, że już wiedział, iż dzień będzie nie wesół. Postawiła misę na ławie, uklękła przy starym, a gdy on głowę jej obejmował całując, ona po rękach go całowała. Nie rzekli do siebie nic. Wstała potem i misę mu z ręcznikiem postawiła na kolanach, aby pożywał wygodnie.

On patrzył tylko na nią i jeść mu się już nie chciało. Starzec był, choć wychudły, poślizki, choć porębany i posieczony, a bliznami czerwonymi jak pręgami poprzepasywany — pięknego oblicza. Skóra na nim przylegała do kości, a sucha twarz rysy miała pańskie i jasne. Orli nos nad nią panował kształtny, ruchomy w nozdrzach, jak u córki, oczy nad nim choć zbladłe, jeszcze bystro patrzyły. Pierś miał wpadłą ale szeroką, ramiona wychudłe sterczały, po-

kazując jakim był niegdyś, póki nie wysechł na szczapę. Siedząc w tym mroku, choć żółkły, wybielał też razem, włosów reszta srebrna śniegiem odbijała od lica. Gdy sam pozostał, twarz tę całą obejmowała zaduma i smutek, występowały fałdy na czole i przy ustach; gdy córkę miał u boku, miłość wielką go rozpromieniała i był nią jakby ubłogosławiony.

Wojak stary a zuchwały niegdyś, teraz nad wszystko pokój cenił i nie mogąc walczyć, rad go był okupić choć drogo. Pragnął go może więcej dla córki, jak dla siebie.

— Ptaszę ty moje — odezwał się cicho — cóżes to tak rano z gniazda się ruszyła?

Jagna potrząsała główką, nie odpowiadając nic.

— A dzień tam jaki? — zapytał Ścibor. — Widzę z okna, że już słońko dokazuje. Ho! ho! wiadoma to rzecz, kiedy zawczasu jasno wnijdzie, na potem pewna burza lub ślota...

— Ranek był długo pochmurny — odparła Jagna — na pogodę ptactwo śpiewa.

— A ty jak? — zapytał stary.

— Ja? albo mi się pogoda na co zdała? — szepnęło dziewczę — mnie z tem jedno: pogoda czy ślota. Czasem, gdy pioruny biją, to mi rzeźwiej i raźniej.

Starzec jeść zaczynał, rękę podniósł, głowę potrząsnął. Psy siedzące nieopodał przypomnially mu się, skomląc i pomrukując.

— Burza — począł zamyślony jakby sam do siebie Ścibor — pod dachem to nie. Bóg broni od niej i krzyż święty. Na łowach w lesie to tam mniej-sza; a nie daj Boże z nią na pobojuwisku się spotkać. Pomnę to, gdyśmy raz na Ruś ciągneli z panem naszym i, wśród zaciętego boju, Pan Bóg też swe strzały sypać na nas zaczął, padł grad jak jaja gołębie i pioruny leciały jak słupy ogniste. Stało się naówczas, żeśmy wszyscy o bitwie zapomnieli, a Ruś korzystając z tego, uszła nam, aniśmy się spostrzegli. Naówczas, tuż obok mnie Niemirę piorun

zwalil z koniem, że się na nim odzież zapaliła. Ten już nie wstał, a mnie ogłuszyło tylko na czas długi. Nie wywoływać ognia Bożego.

— Jam to na wojnie nie bywała — smutnie się uśmiechając odpowiedziało dziewczę — a w lesie gdy na łowach burza napadła, pięknie z nią było! Tylko patrzeć a dziwować się! Co palnie piorun w sosnę, to się pali i gore jako jedno łeczywo! Co uderzy w dąb, to rozpląta korę aż do ziemi, co się zsunie po jodle, to we złocie stanie cała. Raz mi koń ze strachu na kolana padł, żem go ledwie podźwignęła. Dopieroż gdy spalone drzewa z trzaskiem i hukiem walić się zaczęły, a iskrami sypać dokoła jak deszczem ognistym!

Mówiła tak, a stary z łyżką stygnącą, którą do ust niósł, a donieść zapomniiał, słuchał zapatrzony w nią, jeśli nie mowy, to głosu.

— Eh, ty! — rzekł w końcu — ty Jagno szalona jakaś! tyś się nie do podwigi, a na rycerstwo rodziła; w tobie mój duch gra, taki jaki dawniej we mnie bywał! Gdybyś mogła wojakiem być, nie byłoby nad cię dzielniejszego. Prawda, że na niewiaśtę zuchwałości tej do zbytku.

— Bóg mi taką dał być! — odparło dziewczę spokojnie — radzić trudno, strzymywać się nie umiem.

— Tybyś inną też być nie chciała! — zaśmiał się stary.

I począł zajadać chciwie, jak to czasem starzy umieją, którym że pokarm siły nie daje, tem więcej zdają się go pragnąć. Jagna patrzała, wedle zwyczaju swego ręce założywszy na piersiach. Miała bowiem i ten dziewczynie nieprzystojny nałóg, że gdy się zadumywała, gdy na czole jej smutnem pręgą występowała między brwiami dwiema, ręce się jej same pod piersią składały i wiązały u pasa.

Ze starca potem wzrok pokierowała na okno otwarte, przez które nie widać nie było, krom kawałka światłości dziennej. Na krawędzi okna dwa

psy stróże, których do izby nie puszczano, pokładli mordy kosmate jadło czując i ku panu pogładając.

— Wiesz — rzekł stary, kość biorąc w ręce, bo cmoktać je i wysysać lubi! — wiesz ty Jagno, kto mi się dzisiaj śnił w nocy, he?.. Śnił mi się ktoś, a to pewna, że ja stary miewam sny takie, iż mi się zawsze wyśni, kto się do mnie zbliża. Ot, jakoś dusza czuje co do niej idzie.

— Ale kogoście to wyśnili? — zapytała Jagna obojętnie.

Ścibor popatrzał na nią smutnemi oczyma.

— Kogo! kogo! — powtórzył — albo to tobie co po kim? albo to ci miłszy jeden niż drugi? Żebym wiedział kto ci upodobany, Boże odpuść, czasami bym go tu gotów ściągnąć.

Rozśmiała się Jagna pół ustami, ale brwi zostały zmarszczone.

— A co mi tam po nich! — poczęła, ręce zaciskając mocniej jeszcze. — Po co oni tu jeżdżą, ten i ów? Ten kogobym ja mieć chciała i czary go tu nie ściągnął!

Jagnie oczy zabłysły żywo.

— A kogóżbyś ty mieć chciała? — zapytał podchwytując — kogo?

Złapane za słowo dziewczę usta podniosło, głową potrząsnęło.

— E, nikogo! nikogo! — odparła półgłosem.

Stary westchnął.

— Któż ci się śnił, mój ojczu? — dodała zaraz.

— A co ci potem, choćbyś się dowiedziała? — rzekł Ścibor. — Tyle wiem, że... pomnisz go? nie?... Stach z Konar pewno przyjedzie! Dawno, dawno go nie widział. Po co on tu miałby przybyć? nie wiem, a choćbym się i domyślał, mówić nie mam potrzeby.

Znowu spojrzął na córkę, której rumieniec żywy na twarz wypłynął gdy imię Stacha posłyszala.

— Stach z Konar! — zawołała nagle zżymnaw-

szy się cała — Stach z Konar! Wiem! Nie cierpię go!

— Toć mi nie tajno! — odparł stary.

— Stach z Konar! — ciągnęła dalej Jagna — a toć nie ma człowieka w świecie, któryby mi niewiśnięjszym był nad niego!

Zamilkł Ścibor.

— Stach z Konar! — powtórzyła raz jeszcze. — Zbój ten niepocziwy!

— E! e! — przerwał stary — za cóż go to zbójem i nieponiem zwiesz! za co?

— Alboż nie wiecie? — z oburzeniem odparła Jagna.

— Juści się dorozumiewam — mówił ojciec. — Jeszcze ci pewno w pamięci owa przygoda, którą z księciem Kaźmierzem miał za młodu. A toć sam książę dawno o tem zapomniał i przebaczył mu wspaniałomyślnie, a biedaczysko za winę odpokutował sowiecie.

— Odpokutował! — wtrąciła gniewnie miotając się dziewczyna. — Głowę, głowę za to powinien był dać. Im lepszym i wspaniałomyślniejszym dla niego pan się okazał, tem on winniejszy! Sądził go wówczas na rozszarpanie końmi, i jabym go była na kawały rozerwać dała, bo żyć nie wart! nie wart!

Stary wzdygnął się posłyszawszy mowę córki.

— Jagno! — zawołał — Jagno! tyś niesprawiedliwa! Boże ci odpuść! Posłuchaj mnie starego. Ja też panów naszych kocham, a księcia Kaźmierza i Henryka nieboszczyka, miłowałem, więcej nad wszystkich. Aleś ty spełna tej sprawy nieświadoma, a kamtembyś zaraz mu być chciała.

— I byłabym była — odezwała się Jagna porywczo, podnosząc złożone pięści do góry — i lebbby dał!

— Więc posłuchajno, ty zła moja Jagno jakaś — odezwał się zwracając ku niej stary. — Znać, żeś dobrze nie znała sprawy, a ludzie pletli nie do rzeczy.

— O! wiem ci ja dobrze jak było! — odparło dziewczę.

— A ja lepiej wiem niż ty — rzekł stary uparcie. — Gdy raz się o tem zgadało, musisz posłuchać.

Potrząsała głową Jagna i zapatrzyła się w okno, ale obojętność jej ojcu ust nie zamknęła.

— Ot jak było! — mówił Ścibor. — Ot i, że Kaźmierz bardzo młodym naówczas był, Stach też, bo są równolatki, należał do jego dwora, jako rówieśnicy bawili się zwykle razem.

— A tak! — wtrąciła dziewczyna — zabawiali się — książę go przez łaskę do osoby swej przypuścił, a on, jak pies, któremu drzwi do izby otworzą, wnet chciał po niej plądrować i paskudzić.

Stary ścierpiawszy przerwanie, mówił dalej.

— Ot jak było. Młodzi zwyczajnie młodzi, czemże się zabawiać mieli. Pili oba. Pił książę Kaźmierz i dolewał Stachowi, aż się obu we łbach zakręciło. Więc kośćmi rzucać zaczęli. A po co było królewskiemu synowi z lada dworzaninem i z służbą tak się poufalić, dać mu z sobą siadać na równi i po pijanemu kosterzyć?

Oczy Jagny palily się z gniewu słuchając, ale ojciec ożywiwszy się mówić i wygadać się potrzebował.

— Stawił królewicz, stawił i Staszek co miał, kości na przemiany to jednemu to drugiemu szczególnie dawały. W tem Stachowi poczęło iść licho a licho. Co rzucił kości przegrywał. Pijany rozumu nie ma, stawił więc wszystko, aż do pasa, łańcucha pierścieni, a w ostatku zgrawszy się ojcowiznę któremuś z rycerzy co świadkami byli założył za sumę wielką, aby grać dalej. Znać mu dobrze w głowie szumiało, bo zgrawszy się co miał srebra na kupę zsunął, ważąc wszystkie na kość jedną.

Na księcia Kaźmierza kolej rzucać wypadała, cisnął tedy i tyle ok wyrzucił ile ich na kościach było. Wygrywał więc mu ostatnią koszulę. Z rozpaczy Stach ojcowiznę i cześć tracąc; podniósłszy się nieprzytomny policzek dał księciu.

Jagna krzyknęła z oburzenia.

— A nie powinienże był wisieć tej godziny — wyrwało się jej z ust.

— Na krzyk przytomnych — mówił dalej Ścibor — nie czekał też Stach wyroku ni sądu, od stołu skoczywszy dopadł konia i uchodził.

Puścili się za nim wnet w pogoń drudzy i związanego przyprowadzili do sądu. Krzyczał kto żył, wołali wszyscy, aby go końmi szarpano, głowę mu odcięto, rękę odrabano i palono. Tu dopiero królewicz się okazał jakim był i jest.

— Okazał się prawie świętym i wielkim — zawołała Jagna z zapalem.

— Tak — potwierdził ojciec — bo sam wystąpił spokojny, otrzeźwiony, upokorzony w obronie winowajcy. — Nie on winien — rzekł — ale ja. Mnie kara zasłużona spotkała, żem się w grę niepocziwą wdał z nieprzytomnym. Łacniej jemu przebaczyć, który z rozpacz, że wszystko postradał zmysły też utracił, niżeli mnie com krwi swej, powagi i dostojeństwa nie szanował.

A tak owego Stacha wolno puszczone, królewicz mu wygraną nazad wrócić przykazał, jedno to z sądu zatrzymawszy, aby mu się Stach więcej na oczy nie śmiał okazywać.

— Jakże więc — podchwyciła dziewczyna — i powiecie, że obraza takiego męża, który z nadludzką pokorą winę darował, siebie obwinił, nie jest najokropniejszą zbrodnią? Cóż gdy się kto na świętość w ołtarzu targnie, albo mu rąk nie obcina, na stosie go nie palą?

— Ależ słuchaj, dziecko ty gniewne, kotko ty moja drapieżna — rzekł starzec spokojnie. — Stach się stał przez to na całe życie nieszczęśliwym, bo tego pana jak kochał wprzód tak umiłował od tej godziny stokroć więcej i za niego by był gotów krew przelać, tęskni do niego, u nóg jego pokutę

radby sprawiać, a wygnanym jest na wieki z przed oczów tego, którego kocha.

— O tego mało! mało! — odezwała się Jagna.

— Niema książe Kaźmierz, ja to wiem — ciągnął Ścibor — nie ma sługi, przyjaciela, niewolnika wierniejszego nad niego. O tem do dziś dnia albo nikt lub mało kto wie, że Stach potajemnie ciągle nad Kaźmierzem czuwa, jak pies stoi na straży, obrania go, a ani mu się pokazać na oczy, ani mu o tem dać wiadomości nie może... Taki los tego człowieka!

— Dobrze mu tak! choćby całe i najdłuższe życie miał się męczyć i przepadać — podchwyciła niezmiękczone Jagna — o! dobrze mu tak! Liłości nie wart! zbrodzień jest! mała to kara dla zbroja!

— Zawinił ci, prawda — westchnął Ścibor — ależ Kaźmierz przez to wywyższył, przez niego wiedzą dziś ludzie, jakie ten pan ma serce i pokochali i poszanowali nad wszystkich pono jego braci.

— Bo godzien jest tego — przerwała Jagna — bo nie tylko między jego bracią, ale na całym świecie drugiego takiego nie ma jak on!

Domawiała tych słów, gdy chłopak wszedł do izby i u wrót się trąbka ozwała.

— Oto i mój sen! — zawołał Ścibor.

Jagna zerwała się szybko, spojrzała na ojca i zbiegła co prędzej drzwi zatraskując za sobą, kryjąc się do izby swojej.

Chłopak Stacha z Konar oznajmił po cichu.

II.

Stach z Konar był tu niegdyś znanym ze swych lat młodszych. Ojciec jego Żyrośław wojował razem ze Ściborem, dalekie jakieś łączyło ich powinowactwo przez żony: syn też dzieckiem bywał czasem w Ściborzycach, ale po owym nieszczęsnym policzku, gdy się go wyrzekli wszyscy i on nikomu nie śmiał już pokazać oczów.

Tułał się kędys, niewiadomo było co się z nim działo, nikt nawet o niego nie spytał. Młodszy synowie Krzywoustego, Henryk i Kaźmierz mieli wielką miłość u ludzi, oburzyło zuchwalstwo wyrostka wszystkich, a choć z życiem ująć mu dano, nikt go znać po tem nie chciał.

Stary Ścibor, który był ojca przyjacielem, dziś ostyglejszy, winę młodzieńczą jeśli nie rozgrzeszał to tłumaczył. Tęsknił trochę za biednym potępionym, żał mu go było, dziwił się, że przez lat tyle nie szukał u niego ani rady, ani pomocy, ani pociechy. Myślał często o nim i to mu może poddało sen ów proroczy.

Jagna od bardzo dawna tego znienawidzonego i wyklętego nie oglądała, zapomniała o nim, stał się jej zupełnie obcym. Mało się i dawniej znali.

I teraz, gdy oznajmiono jego przybycie, nie chciała go widzieć ani z nim spotkać i być widzianą, uciekła. Ciekawość jednak niewieścia podzęgała ją do zobaczenia jak też ten zbrodzień wyglądał.

Obok izby Ścibora, przez ścianę tylko od niej była komnata Jagny, świetlica do której wszedłszy trudno odgadnąć było, kto tu mieszkał, niewiasta, dziewczka czy młokos. W najdziwniejszym nieładzie rozstawione były sprzęty osobliwie dobrane. Na ścianach wisiały i niewieście stroje i męskie suknie

a oręże. Rogi i łuki, chusty kraśne i przyodziewki razem się z sobą mieszały. Na krośnach rozpoczętych leżał kołczan ze strzałami, na kądzieli zawieszony sterczał kołpaczek, kwiatki stały po oknach, a przy nich toporki. W kącie twarde posłanko jakby męzkie, skórąmi pokryte, zmięte, świadczyło, że pani na niem często i dniem spoczywała. Poślanie to przypierało do ściany, przy której sypiał z drugiej strony ojciec. Okno w niej z zasuwą dozwalało dziewczęciu nocą, gdy stary jęknął, wnet doń wyjrzeć, spytać czego chciał i biedz mu na usługi. Nie raz, gdy Ścibor mocniej w nocy chrapał tylko a Jagna nie spała, zwolna odsuwała okienniczkę, przysłuchując się ciężkiemu ojca oddechowi. Jagna kochała go jak on ją — duszą całą. Teraz ta okienniczka wpadła jej w oko z pokusą zajrzenia przez nią na niepocziwego Stacha, którego tak nienawidziła. Nie było nic łatwiejsze nad odsunięcie deseczki nieznaczne i zajrzenie przez szparę, a podsłuchanie rozmowy. Chciała wiedzieć z czem przybywał, aby ojca nie dać więcej balaamzić, gdy i tak słabość okazywał dla niego. Uklękła więc ostrożnie na ławie, a że okienniczka znalazła się już nieco przesuniętą, mogła natychmiast oko przyłożyć do szpary.

W tej chwili właśnie zapowiedziany Staszek wchodził do izby Ścibora nieśmiało i po cichu, oko Jagny wprost nań padło.

Był to dosyć piękny, młody jeszcze mężczyzna, który jak Książę Kaźmierz zdawał się mieć lat trzydzieści kilka, ale twarz zdradzała przebyte cierpienia. Słusznego wzrostu, głowę miał małą na barki szerokie, twarz ogorzałą mocno, ale rysów szlachetnych. Świeciły w niej oczy czarne, ogromne dość głęboko pod łukiem brwi osadzone, trochę dzioko biegające i jakby wylękłe.

Mała bródka okrywała mu dół twarzy, a wąs ciemny wargę z pod której rząd białych zębów jasnym paskiem wyglądał. W sprzeczności z obliczem

młodem było czoło pofałdowane i wyraz całej postaci malował w tej chwili niepokój, smutek, upokorzenie.

Ubiór miał skromny, ciemny, tak, że nie łatwo po nim poznać było do jakiego stanu należał, tylko dumna postawa, ruchy różne i śmiałe mimo zakłopotania, okazywały wojaka i człowieka co rozkazywać był nawykły. Wszedłszy Staszek przystanął chwilę nieopodal od progu, spojrzął na Ściobora, jakby chciał zbadać jak go przyjmie, nie pewien jeszcze, czy mu dozwoli przystąpić do siebie czy precz odegna.

W rękach obu trzymał kołpaczek pogotowiu a włosy z pod niego się dobywszy długimi i gęstymi puklami ciemnymi spadały mu na ramiona.

Inaczej pewnie tego niepocziwego zbója Jagna sobie wystawiać musiała, bo zdziwienie odmalowało się na jej twarzy i baczniej do szpary przyległszy przypatrywać mu się zaczęła. Zdziwił ją — tem szczególnie, że był onieśmielony, że oczyma strzelał tak bojaźliwie i niespokojnie. Może się w nim zuchwaleca spodziewała.

Ściobor zobaczywszy go wchodzącego, rękę ku niemu litościwie wyciągnął — nie mówiąc nic. Dość było tego, aby zdziechałego Stacha ośmielić, podszedł wzruszony widocznie, zgiał się i przypadłszy do ręki starca, chwycił ją namiętnie ściskając i całując. Znać było, że go ta dobroć Ściobora, jakiej nie doświadczył od nikogo, głęboko przejęła. Staremu lzy się w oczach zakręciły.

Na twarz Jagny wystąpił rumieniec oburzenia — miała ojcu za złe tę czułość.

Nastawiła ucha, ale nierychło głos posłyszała, bo się nie zbrali zaraz na słowa.

Stach gdyby się nie wstydził, z wdzięcznością rozplakałby się może choć mężnym był, a bieda go twardym uczyniła.

Ściobor na ławę wskazał tuż obok jego łóża stojącą a trzeba jej było Stachowi, bo ledwie się z ziemi

podnieść mógł. Padł na nią, oczy sobie dłońmi zakrył i mileżał.

Ściobor mu się oczyma osłabłymi pilno z bliska przyglądał.

— Hej! Hej! — począł z cicha — Stachu, co się to z ciebie zrobiło! Jakżem ja ciebie nie widział dawnol..

— Bom ja tu pokazać się nie śmiał — westchnął przybyły — ani tu, ani gdziekolwiek między ludźmi. Wszyscy się mnie zaparli. Upłynęło już lat tyle, a ja jeszcze przeklon na sobie noszę i będę go nosił do śmierci.

Mówił głosem przerywanym i słabym.

— Cóż się z tobą działo? co dzieje? — zapytał Ściobor.

— Albo to opowiedzieć można — począł Stach — albo ja sam wiem co było zemną? Ani policzę ani opiszę com wycierpiał! Gdy mię łaska pana Kaźmierzowa życiem obdarzyła i swobodą, gdy mię rozwiązali i puścili, poszedłem jak szalony skryć się w lasy, niewiedząc co uczynić z sobą.

Chciałem umierać; potem inne myśli przystąpiły. Zawróciłem do Konar. Tu ojca starego zastałem, który na wieść o mojem nieszczęściu miał mnie za zginionego i ze wstydu a bólu konał. Gdym głodny i pół żywy padł u jego łóża, pechnął mnie tylko od siebie i życia w nim już nie stało.

Zem naówczas nie oszalał — mówił Stach dalej. — A! oszalałem ci, tylko mi pomsta Boża rozum wróciła, abym czuł co za zbrodnię popełnił.

Jak ojciec tak wszyscy się odwrócili odemnie. Młodzi bracia znać nie chcieli, żem im zakałą uczynił, wzbronili się do siebie zbliżać bratanki. Nikt z rycerstwa stać ze mną nie chciał, nikt się nie śiał za stół, ani pić, ani jeść, gnano mnie zewsząd.

— Idź na skrócenie karku! Musiałem precz, sam nie wiedząc dokąd. Zabrawszy trochę srebra powlokłem się na Ruś do Halicza, potem po innych

dworach kniaziów, aż do Kijowa i Nowogrodu. Imieniam się mego musiał zaprzeć i służyć pod cudzem. Śmierci szukałem, ale znaleźć jej trudno bez woli Bożej. A tu i tęsknica smagać mnie poczęła, choćby przyszło ginąć, napowrót do Konar, do swoich. Wytrzymać u obcych był trudno, choć na niczem tam nie zbywało, bodaj szyję dać. musiałem wracać do domu. Wróciłem myśląc, że mnie jedni zapomnieli i drudzy nie poznają. Tak się i stało. W Konarach pustki były, włodarz się na nich pasł tylko, bo bracia nie chcieli się tykać, póki by o śmierci mej nie wiedzieli dowodnie. Wziąłem moją majątność i zamknąłem się w niej myśląc, jak tu żyć, żeby się życiem nie stracić.

Najwięcej mnie to gryzło, dniem i nocą chodząc po głowie, że panu Kaźmierzowi zawdzięczyć tego nie mógł, iż był dla mnie tak świętym a dobrotliwym. Chciałem mój grzech odpokutować aby na przebaczenie zasłużyć, pójść choćby za parobka do niego, a życie darowane okupić czemś...

Zabrakło głosu Stachowi i oczy sobie zakrył, pomilezał i pomałym przestanku ciągnął dalej, śmiejąc coraz.

— Coż mam przed tobą, ojcze miłościwy, tać—uderzył się w piersi, suknię na niej targając — co się mam kryć? Służyłem i służę panu Kaźmierzowi potajemnie, choć on nie wie o mnie, płacę mój dług, to moje życie, moja pokuta, moje wszystko!

Ścibor nań popatrzał zdumiony nieco i wzruszony.

— Co ci we łbie Stachu — odparł upamiętywając go — a na co ty się jemu zdać możesz? jak ty mu służysz, kiedy nie masz prawa na oczy się pokazywać?

— Al tak ci jest na oczy mu się pokazać nie mogę, bom ja dlań policzkiem! Póki życia ani mu się dam widzieć, ni wiedzieć o sobie. Tak ci jest, ale i zdala coś uczynić można, jam dziś tak zmieniony, że mnie rodzeni nie poznają bracia, choćby mnie zoba-

czył zdala—nie pozna i on! Pozualibyście wy mnie, ojcze, gdybym się wam nie oznajmił kim jestem?

— Pewno, nie — odparł Ścibor — bieda i wiek cię zmieniły strasznie — ale moje stare oczy! ufać w to nie można, że cię nie poznają. Ty się sam zdradzić możesz.

— A ja wam się przyznam—szepnął półgębkiem Stach — co mam kłamać, że ja już nie jeden raz był blisko niego, widział mnie choć kryć się starałem, patrzył i nie poznał.

— Jak cię kto wyda, głowę dasz! — odparł Ścibor z politowaniem.

— To dam—rzekł Stach powoli i dobitnie—to dam, albo mi to ona i tak nie cięży? Co mi po niej? Czegoż ja w życiu jeszcze mam się spodziewać dla siebie? Nie obmyję się choćby krwią własną. Głową potrząsł rozpaczliwie.

Gdy potem trochę pomilezeli, Ścibor, który szelst usłyszał za okienniczką, rzucił na nią okiem z ukosa i głos zniżył pochylając się do Stacha.

— A no, mów z czem przyszedłeś do mnie?

— Z czem? z bólem i żalem — zawołał Stach — poskarżyć się, wynurzyć! Myślałem spróbuję, czy i ten mnie popchnie, a nie to choć przed nim usta otworzę, serce rozkryję powiem co za pazuchą jak kamień mi cięży, bo niemam się zwierzyć komu.

Ścibor zdziwiony popatrzał nań, jakby nie rozumiał co Stach kryć, co wyznać i powiedzieć może więcej. Tymczasem jemu oczy błyskały dumnie i usta się krzywiły od jakiegoś wzruszenia.

— Prawda — mówił — że ja dziś robak na pół zgnieciony, że ja proch i nędza, a no i mały i najmniejszy coś może, kiedy tak bardzo chce jak ja — Bóg świadek.

Ścibor z ciągle otwartymi ustami słuchał coraz bardziej zdumiony, myśląc co ten biedny człowiek uczynić może. Stach na ławie kręcił się, jakby go piekło, ruszał się, wstawał, siadał, włosy rękami

rozrzucił, wasy targał, odzież na sobie ciągnął. Widać w nim było człowieka, co się dawno nie mógł wygadać z tem co miał w duszy, a teraz mu się wszystko razem do ust cisnęło. Z piersi jego dobywały się tłumnie łkania, głosy, westchnienia niezrozumiałe, jakby nadmiar ich go dusił.

— Jakbym ja wam zaczął opowiadać wszystko com uczynił, co robię, wzięlibyście mnie może za kłamcę!—zawołał.

— A cóż, kto mógł być takim jak ja zbójem, ten i łgarzem być może? Jam już nawykł wszystko dźwigać na ramionach, co mi rzuca na nie!

— No, gadajże — przerwał Ścibor — cóżes to zrobił?

— Jakem umiał takem pokutę odprawiał — począł Stach. — O! mała to chyba chwila, w której człek zapomniawszy się, oszalawszy ręce podniósł na świętego młodzieńca. Szatan opętał! A za tę chwilę, ot ile lat zgryzot mnie męczy!

Ścibor na łokciu się sparszył, blade oczy wlepił weń i słuchał.

— Com robił powiedzieć trudno—ciągnął Stach—służyłem mu skrycie, broniłem go, stróżowałem nad nim, dawałem mu życie i daję i dawać będę aż—zdechnę.

— Gdzież? co? —zapytał trochę niecierpliwie stary.

Zawahał się z odpowiedzią Stach i włosy na głowie targać począł.

— Nie uwierzcie — rzekł — byłem u niego parobkiem przy koniach, aby ino patrzeć i stróżować. — Ani mnie znał, ani wiedział o mnie. Com robił? Oto gdzie było największe niebezpieczeństwo stałem za nim w gotowości, choć małe człeczko, mozem ja i niemało dokonać! Zawahał się znowu.

— Trudno wszystko gadać—dodał—czyż to wy nie znacie losu pana Kazimierza? Dziś on, dzięki Bo-

gu na Sandomierzu książę i pan. Nie wiecie co było, gdy Krzywousty umierał?

Chłopię zostało u nieboszczki pani roczniakiem na kolanach, w pieluchach. Przyszło dzielić panowanie, biskupi radzili, ziemi dla niego nie stało. Nieboszczyk król, panie mu świeć, gdy swą wolę ostatnią dogorywając powiadał do pisania, nie spełna już wiedział co czynił. Myślał może, iż Kazimierz do klasztoru pójdzie, jak córka—a może? kto wie? Gdy go pytano jakby nieprzytomny odpowiadał. Mówił o czterech rzekach, czterech synach i o wiadrze złotem, o czterech kołach i o wozie. Nikt go nierozumiał... Dość, że dla Kaźmierza ziemi nie stało. Chował się przy braciach, przy Bolku, przy Mieszk, na lasce jak sierota bezdomny. Henryk się wybrał z krzyżem do ziemi Świętej, on był jeszcze nie dorósł, iść z nim nie mógł. Dali go Kędzierzawemu, ten tylko, że go uczyć kazał jakby na księdza. Rycerskiego tyle co sam chciał pochwylić. Karmili go pargaminami i modlitwą. Przecie się nie popsuli!

Pamiętacie ową chwilę złą, gdy Cesarz niemiecki wtargnął do nas, a nie było sposobu mu się obronić. W Kargowie przyszło przed nim pokorę odprawiać...

Rudobrodemu nie bardzo się chciało iść na puste ziemie za cudzą sprawę — stanął pokój obrzydły. Zażądał cesarz zakładników. Kogo dać? Nie myśleli długo, dali Rudobrodemu Kaźmierza na przepadle imię.

— Toć wiem—mruknął Ścibor.

— A któż tego nie wie?—mówił Stach dalej—ale tego wy nie wiecie i nie wie nikt, że ja tam lichym służką był z Bolkiem w Kargowie, gdy tę nieszczęsną pokorę, boso odprawiać musiał, z mieczem u szyi, a brata wrogowi dać... Byłem ci tam i serce mi się krajało, co za dola spotka biednego Kaźmierza.

Gdy go wydawali płaczącego ze sromu i trwogi Rudobrodemu, jam dobrowolnie pacholkiem poszedł

za nim... Myślałem sobie, życie dam gdyby na niego nastawali.

Dziwy naówczas prawili o Rudobrodym jakoby ludzi jadł a krwią popijał. A no co miało być zgubą Pan Bóg na łaskę obrócił. Wydali brata jako na rzeź, a stało się, że mu niewola u cesarza była wychowaniem i nauką.

Sześć lat byliśmy ja i on na cesarskim dworze, jako w szkole. Ja com zdala patrzył na tego straszego pana, przed którym drżało wszystko powiem tylko jedno, że sprawiedliwym był i księcia naszego sprawiedliwości nauczył. Cesarz to chłopię bardzo polubił i nie dał mu długo nad Renem u dziada Wichrydowego siedzieć, wodził go z sobą na wyprawy. Było na co patrzeć. Uczyliśmy się świata i obyczajów wszelakiego na dworze, między rycerstwem i duchownymi, choć ja na to tylko ze stajni spoglądałem.

— Nie widział że was książę?—zabytal Śeibor.

— Nie, prawie, bom ja widzianym być nie chciał—rzekł Stach—choć u jego namiotu, u drzwi izby nikt na straży nie sypiał ino ja.

Uśmiechnął się dumnie Stach.—Możem ja mu też nie jeden raz życie ocalić, zbudzić, ostrzec, ale zawsze tak, aby inny za mnie to nie ja zrobił.

Zaraz potem, gdy nas w Kargowie zabrano, cesarz ruszył na Włochy. Ciągnęli i my z nim. Rudobrody pono sam mawiał do Kaźmierza. Patrzaj a słuchaj, ucz się, nie stracisz czasu u mnie.

Prawda, że ani rycerzy dzielnych na dworze jego, ani prałatów, ani uczonych nie brakło. Ciągnęliśmy tłumem wielkim na zbuntowane miasta, Karyntę, Szwabę, Burgundę, Sasy.

Może we sto tysięcy darliśmy się przez okrutne góry na południe, aż pod wielki gród Milan, który opór stawiał żeśmy go głodem brać musieli. W obozie, gdyśmy mury jego opasywali, tyle prawie było duchownych co starszyny rycerskiej, wieczorami i dniami przy spoczynku było się czego nasłuchać.

Rudobrody z uczonemi zasiadał co mu ich zewsząd zwozili, rozkładali księgi ogromne i z nich prawa wykładali, a on i drudzy uczyli się.

Tam to nasz książę nabrał wielkiej do księgi miłości, do ludzi mądrych i do wszelkiego dobra. U Rudobrodego na wargach nie było nic jeno sprawiedliwość. Srogi nie był z natury, ale jak miecz Boży nieublagany.

Kiedyśmy onego Milanu dobyli, pierwszy raz patrzałem się i ja na to jak rycerstwo tamtejsze boso szło, z głowy odkrytemi, miecze w ręku niosąc do przysięgi; prosty lud z postronkami na szyi—na wozach chorągwie.

Nasz pan to się wszystkim przypatrywał sprawom, to z większą jeszcze miłością podsłuchiwał, gdy przyszły narady nad prawem, które uczeni pisali dla zwyciężonych. Gdy poszli umawiać się o to, a czytać, a rozprawiać, on tam wciąż stał i słuchał, że go z pod namiotu wywołać było trudno.

Co my to tam przeżyli i przebyli!

Zbuntował się potem drugi raz ten gród ogromny, podatki płacić i pańskich urzędników słuchać nie chciał, musieliśmy iść nań po raz drugi. Cesarz kazał palić i niszczyć bez miłosierdzia, mówiąc, że posłuch musi być! Ogłodziliśmy miasto po raz wtóry—ścisnęli, a nie było dlań ratunku... Wyszedł lud i urzędnicy z grodu w pokutniczych szatach, z krzyżem poprzód, padając do nóg cesarzowi. Sto chorągwi rzucili mu pod stopy żebrząc zmiłowania. Cesarz nie rzekł nic zrazu, ani groził ni przebaczał. Dziesięć dni ich zostawiwszy w niepewności i trwodze, potem ludowi życie darował, a gród z ziemią zrównano, że jeden kościół św. Ambrożego ocalał.

Poczęło się na tej ziemi piekło srogie a pomsta straszna. Na tośmy patrzali z panem naszym... Tak nam tam sześć lat upłynęło, aż księcia nazad odesłano, a jam za nim z końmi pociągnął. Żył jeszcze naówczas Henryk, który też był świata za morzami

widział wiele, bo krzyż włożywszy szedł z Niemcami i Francuzami do ziemi świętej, ale mu się i im nie wiodło, a mówiono, że królowa francuska płocha bardzo, przyczyną była niebłogosławieństwa Bożego. Henryk z Jaksą z Miechowa powrócili cali i mnichów z sobą przyprowadzili.

— Trzeba to było widzieć — mówił Stach dalej. — Kiedyśmy nazad z niewoli powracali, jak Henryk nam drogę zabiegał, brata najmilszego ze łzami, gdyby straconego i zmartwychwstałego witając.

Widać było naówczas, że ci dwaj młodsi z sobą zbratani są jako najserdeczniej, jedna w nich była dusza. Żyli z sobą spolem, nieodstępując jeden od drugiego, a co jeden chciał oba czynili.

Jam na to patrzył.

— Cóż — przerwał Ścibor z uśmiechem — zawsze ze stajni?

Rzekł to jakby z niedowierzaniem.

— Ojcie — rzekł Stach, poczuwszy niewiarę — sztydziecie sobie ze mnie, widzę, sądzicie że kłamie. — A no tak było, odprawiałem pokutę i w stajni i różnie, Bóg świadek, prawda co mówię. Byłem u koni pod chorągwią, alem się poznać nie dał...

Toć wiecie, że jak Henryk tak Kaźmierz oba naówczas nie żonaci byli, a żenić się nie chcieli. Różnie o tem mówiono — dodał Stach, głos zniżając — Henryk krzyż nosił i o zakonie pono rycerskim myślał, więc się wiązać nie mógł a mój pan.

— Ludzie powiadali — szepnął cicho bardzo Ścibor — że ten od podwiki nie uciekał...

— Tego ja tam nie wiem, czy gonił czy uciekał — rzekł Stach — a to pewna, że kochaniec jakąś jedną miał. Z tą się tak krył, że i djabeł nie dopatrzył, kto i gdzie ona była.

— Jakże mógł to tak ukrywać? — zapytał stary.

Stach głową potrząsł.

— Oprócz jednego może Smoka, sługi z którym się wyrywał do tej milej, nikt nie wiedział i nie wie

kto ona była, dziewczka czy zamężna niewiasta, prosta kmiecianka czy co lepszego. Mówiono, że się z księciem gdzieś zjeżdżali, że ona do niego przybywała. — Szpiegowali go ciekawi, podpatrzeć chcieli, nikomu się nie udało. Spotykali się w lasach, słyszę, na łowach, Kaźmierz tak ginął gdzieś na dni czasem kilka, powracał smutny i nie zwierzał się nikomu, nawet bratu.

Dworzanie szeptali, że Henryk nalegał nań i na miłość braterską zaklinał, aby się przed nim zwierzył, na co Kaźmierz miał odpowiadać. Gdyby to moja było tajemnicą, dałbym ci ją, ale cudzą jest — nie mogę.

I tak to trwało, a może i do dziś dnia trwa jeszcze — dokończył Stach.

— Przecież książę żonaty jest — mruknął Ścibor.

— A żonaty — mówił Stach — ale nie po swej woli. Gdy Henryk w tej niegodziwej zasadzce na trzęsawiskach zamordowany został, mimo Mirosława przyjaciela, co go własnem okrył ciałem, już był naówczas wolę swą kazał spisać przy świadkach, że w razie śmierci na niego dzielnica Sandomierska nie komu się ma dostać innemu tylko bratu najmilszemu.

Tu Stach uśmiechnął się spuszczać oczy.

— Nie uczynicie mnie kłamcą, proszę, za to co teraz powiem. Klnę się wam na zbawienie, nie dla chwały, ile dla świętej prawdy, że książę Kaźmierz mnie po trosze winien, iż po Henryku wziął Sandomierszczyznę.

— Świta bo ci w głowie! — zawołał Ścibor.

— Posłuchajcież — mówił Stach — a cierpliwie, zobaczycie. Było tak naówczas, że ja odedworu Kaźmierza musiał iść precz, bom się tam zwaśnił, zaciągnąłem się w służbę na dwór biskupa Krakowskiego Macieja Cholewy, który potem zmarł na rok przed księciem Henrykiem.

— Znaliście wy go? — zapytał Stach.

— Nie — potrząsając głową odparł Ścibor — nie

znałem go bliżej, choć się o nim nasłuchałem wiele. Mąż mówią, uczony był, mądry, wielkiej gęby i języka. Ten ci to co gdy raz księciu Władysławowi pieniędzy pożyczył w potrzebie, potem go już za bogacza miano. Ślali potem doń posłów, aby księciu wygodził znowu pieniędzmi. Gdy przybyli doń z tem posłowiem, wysłuchawszy rzekł — a no, dobrze, chodźcie do skarbcza mego. I powiódł ich miasto do skarbcza, do wychodka, a wskazując nań i śmiejąc się, odezwał. — Oto gdzie są wszystkie skarby moje! Maciek zrobił, Maciek zjadł!

Albowiem imię mu Maciej było. Obżartuchem przez to nie był weale, tylko że ludzi wielu przy sobie karmić musiał, a na księgi też których siłą kupował, wydawał wiele, nie miał więc w skarbcu zapasu. Pan był pobożny, uczony, ale wesołą rozmowę lubiący, do żartów skłonny, a gotów słowy szermować noc i dzień, i nie było nikogo co by mu w rozumnej rozmowie sprostął, co po dziś dzień ludzie dobrze pamiętają.

— Tak, tak — przerwał Stach — jakbyście go znali. Na dworze biskupim na małym żołdzie i ja służyłem, byłem się tam docisnął, a stał nie daleko. Zwali mnie tam jak i do dziś dnia mnie zwą, bom sobie to imię przybrał od uroczyska mego na granicy od Spicymirza, Zabora z Przegaju. Biskup mnie dosyć lubił. Choć poważny mąż, gdym przy nim służby sprawiał, wedle obyczaju swojego nieraz ze mną pożartował. Wolno mu było wesołem słowem odeprzeć, byle do rzeczy.

Obu młodych książąt lubił bardzo stary, szczególnież Kaźmierza, bo ten go bywało godziny, ba i dnie całe gotów był słuchać, gdy rozprawiał o wszelakich dziejach. Biskup zaś mówić potrzebował, a żeby go rozumnie słuchano i o obu książętach powiadał zawsze, że z całego rodu najmędrsi byli.

Raz tedy, gdy do tego przyszło, że książę Henryk, który krzyż nosił ciągle, a gdy nie mógł z nim iść do Ziemi świętej bo okazyi nie było, parł się na

swoich pogan, życie ciągle ważył i o mało już zabity nie został; poczał biskup boleć, że gdyby szedł bezpotomnie, bardzoby krwi pocziwej żał było.

Zdało mi się wtedy rzec słowo, że żalby też było, aby po nim uchował Boże czego, Kędzierzawy albo Mieszko zagarnął dzielnicę, a sierota bezdomny Kaźmierz i nadal na łasce braci miał zostawać.

Uderzyło to biskupa i jak był zwykł drwić — rzekł do mnie śmiejąc się:

— Patrzcie go! Oślica Baalamowa rozumnie przemówiła!

Od tej chwili, jak sam przyznawał, poczał na księcia Henryka nalegać, aby dał spisać wolę ostatnią i umiłowanemu bratu sierocie księstwo po sobie przekazał.

A że mąż był prawości wielkiej, i czego się sam nie domyślił, tem się chwalić nie chciał, koniecznie nalegał na mnie, aby księciu Kaźmierzowi opowiedzieć, iż to ja myśl tę poddałem. Padłem mu do nóg, błagając, aby tego zaniechał; a gdy się i zdumiewał i wyśmiewał, o spowiedź go prosiłem, na której zeznałem mu com zaczął być, dla czego się ukrywać z sobą musiał.

Tedy pobłogosławił mnie ze łzami starzec święty i rzekł: — Pan Bóg niech będzie z tobą, dziecko moje, wszelako co nie moje, tem ja się chwalić nie chcę, abym grzechu na sąd Boży nie poniósł, w cudze się strojąc pióra. I odtąd śmiejąc się opowiadał zawsze: — Nie jam ci to wymyślił, oślica Baalamowa przemówiła do mnie!

Słuchał Ścibor z zajęciem, a Stach czoło otarłszy, spoczał trochę.

— Cóż dalej? boście odbiegli od swego — zapytał stary.

— Gdy książę Henryk, święte paniątko, padł w tej zdradzieckiej wyprawie na moczarach, a ciało jego nawet dziec ta rozszarpała, że mu pogrzebu poczestnego dać nie było można, — Kaźmierz po bra-

cie z żalości wielkiej szaty na sobie darł, utulić się nie mogąc.

Przez tę śmierć jednak panem został na Sandomierzu i Lublinie. Duchownych wszystkich za sobą miał, bo choć na stolicy w Krakowie Gedko już siedział, i on i wszyscy pasterze Kaźmierza za swego uważając, z nim trzymali. Nie mógł mu więc nikt przeczyć spadku — i poszedł zająć Sandomierz. Bracia więc i duchowni widząc go tam, nalegać poczęli, aby, jak przystało księżęciu, bez żony nie był, a owe miłostki, o których przebąkiwano ciągle, porzucił. Biskup Gedko zwłaszcza, surowy człek, domagał się tego koniecznie.

Opierał się w początku książę, ale naleganiom ojca duchowego w końcu musiał być posłusznym. Poczęto mu zaraz z Niemiec swatać dziewczek siłą, bo o to tam tak łatwo i zapas zawsze trzymają dla obcych, aby się do naszych ziem przez niewiasty wciskali. Niemkini książę nie chciał, powiadając, że ta nademną panować zechce, jako Władysława, więc gdy się żenić mam, rusinkę wolę brać.

I wziął Helenę księżną, którą mu z Bełża od Wsewołoda Mściśławowego przyprowadzono, — a no wziął, jak się bierze narzucone.

— He? — zapytał stary — a nie rozmiłował się w niej potem?

Stach głową pokręcił i głos zniżył.

— Przeciwnie pani tej nie można nic rzec, dobrą być chciała i jest, ale piękności wielkiej nie miała, ani mógł do niej przystać.

— Przecie swą potajemną miłośnicę dla niej porzucić musiał? — odezwał się Ścibor.

Na to pytanie, Stach jakby odpowiadać niebardzo chcąc, milczał trochę ramionami poruszywszy.

— Spełna ja tam tego nie wiem — dodał. — Ludzie prawią różnie; nie powiem lepiej nic. Pan pobożny, widać że z żoną chciałby żyć po Bożemu, a zmusza się do tego. Czasami trwa wiernie przy niej, powiadają,

gryzie się, chodzi jak obłąkany, męczy widomie, to pierzechnie w lasy i nie będzie go dni kilka. Ludzie dworsey prawią, że do swojej dawnej pojechał, bo odstąpić od niej nie może, ale kto to tam wie, co się z nim dzieje? Prawią, że mu napój zadano. Ja nie wiem.

Ścibor ramionami potrząsał.

— Do dziś dnia więc to trwa? — zapytał.

— Pono — rzekł Stach. — Jam ostatnich czasów na dworze nie był, musiałem gdzieindziej, bo...

Nie dokończył. Ścibor go przynaglał.

— Gadajże już wszystko, gdyś począł.

— Zawczasu bo o tem mówić — odparł Stach. —

Ot pozwólcie, abym ja też was popytał.

Tu z ławy wstawszy, pochylił się do starego i głos bardzo zniżywszy, począł:

— Cobyście wy na to rzekli, gdyby ziemianie pomyśleli Kaźmierza na Krakowie posadzić?

Ściborowi brew się ściągnęła, nie odpowiedział nic długo.

— Teraz bo wam panów raz wraz chce się mieniać, jak kukły dzieciom — rzekł zwolna. — Nie może być, aby się przy tem krew nie lala. Czemuż Mieszko raz posadzony na Krakowie, ostać się na nim nie ma spokojnie?

— Spokojnie! — podchwycił Stach szydersko. — Wy tu chyba ojcie, spokojnie w kącie siedząc, o niczem nie wiecie, nie słyszycie nic, nie zalano wam niczem, to się wam zdaje to panowanie do wytrzymania. Toć to ręka żelazna, nie ojciec, ale gorzej ojczyma. Nie słyszeliście, co Henryk ów Kietlicz dowodzi? Jeden jęk się rozlega po całym kraju, w takie go dyby wzięli... Ze skóry drą i ziemian i kmieciów, nikomu nie przepuszczając.

— El cicho byś był! — przerwał Ścibor — nie słyszałem nic i słyszeć nie chcę. Ty bo Stachu, jakżeś złym będąc szalał, tak teraz dobrym chcąc być, znów szalejesz niepomiarnie. Cóż to za łaskę wyrządzaś Kaźmierzowi, gdy go w wojnę z bratem wwią-

żesz, ty czy kto inny? Coś to oszalał chyba! Albo to Mieszkowi synowce, zięciowie, szwagrowie nie o-
bronią go! A możnych ma i na Czechach i po niem-
cach. I sam też ów Stary, człek z którym igrać
niebezpieczno. Młodym był gdy go starym przezwano,
bo rozum i wolę miał niemiedą.

— No! no! — poczał Stach — nie tak on straszny,
gdy go i biskupi i ziemiany wszyscy nie lubią. Rycer-
stwu dopiekl do żywego.

— Mileczałbyś! — przerwał Ścibor surowo — prawi-
sz nie do rzeczy. Gdybyście nawet po szalonemu
Kaźmierzowi drogę usłali, toć mówicie, że Sprawiedli-
wy jest i bogobojny, czyżby on chciał brata zrzucić,
aby się jego mieniem bogacić? On, który za Kędzie-
rzawego już, gdy go Jaksa z przyjaciół na kolanach
błagał, aby Kraków brał, prośby ich odepchnął a po
śmierci Bolesława jeszcze raz to samo uczynił.

— Al! — zawołał porywczo Stach — inaczej stało
naówczas, a teraz... Jaksa z przyjaciół nie byłiby
go utrzymali, potem Mieszka nie znano i spodziewa-
no się po nim wiele...

Teraz inaczej ludzie myślą.

— A milcz żel! — poczał Ścibor jakby przele-
kły — milcz i tego pana, którego kochasz, nie wiedz
na pokuszenie, aby głową nie przypłacił jeszcze wa-
szego szaleństwa.

— Wy bo — mówił stary — aby wam nowe sitko
na kolku powiesić, aby coraz nowy pan, a taki coby
wszystkim cugli popuścił. Ej, Mieszko na was do-
bry jest, bo żelazną rękę ma, a takiej wam trzeba...
E! milcz!

I podąsał się Ścibor. Staszek mileczał, ale spo-
sępniał.

Wtem około okienniczki coś zaszeleściło. Je-
szcze oba na siebie patrząc, milczeli, gdy z podziwie-
niem starego, drzwi się otwały i Jagna, co na oczy
Stacha widzieć nie chciała weszła do izby nagle.

III.

Zdumiał się niepomału ojciec ujrawszy ją, ale
więcej jeszcze widokiem dziewczęcia zdziwiony był
Stach, który zmieszany w ciemny kąt cofać się po-
czął. Srom mn na twarz wystąpił.

Jagna weszła śmiało. Strój trochę zmieniła po-
ranny, kosy puściwszy na ramiona, na koszulę wdziaw-
szy krótki jedwabny przydziewek z rękawami roz-
prutymi długimi. Jakby się jej zachciało być pię-
kną, występowała z główką raźnie do góry podnie-
sioną i rumieńcem na bystrej twarzy, bystro o-
czyma rzucając dokoła.

Padły one naprzód na chłopca, który się w cie-
mny kąt zasunął, potem na ojca, przypatrującego się
jej z uśmiechem dziwnym, na pół szyderskim.

— Gości macie — rzekła do niego — toćby przy-
jąć potrzeba, a jam wasza gospodyni. Każecie podać
jadło i napój?

Staszek ciągle jeszcze nie występował. Stary
wskazał nań ręką.

— Gościa tego albo znasz lub nie, Jagno?

Stach prędko mu przerwał:

— A zkądżeby Zabór z Przegaja mógł być zna-
jomym!

Dziewczę się uśmiechnęło jakoś żartobliwie,
gniewu już ani wstrętu takiego, jaki z rana dla Sta-
cha z Konar okazywała, widać po niej nie było —
przypatrywała mu się śmiało.

— Zabór z Przegaja, czy kto tamkolwiek bądź —
odezwała się — chleba i napoju potrzebuje. Mnieby
wstyd było, gdyby głodnym ztąd odchodził.

Zwróciła się zwolna, a Stach za nią ciekawemi
powiódł oczyma.

Gdy wyszła, Ścibor dziwnie uśmiechnął się sam

do siebie, znać pomyślawszy: — otóż niewieście dasy i gniewy. Z rana go wieszała i ścinała, a teraz mu się uśmiechać i karmić gotował Wierz-że tu babom!

Potrząsł głową i spytał:

— Widziałeś ty dawniej Jagnę? poznałbyś ją?

— Dzieckiem może ją najrzałem kiedy — rzekł

Stach—ale nie pamiętał. Urosła na panią.

— I czasby jej nią być—dodał Ścibor — a no nie chce. Zalecało się wielu, a ta dzika koza pana nad sobą cierpieć nie chce.

— Przecież prędzej, później ktoś ją weźmie—odparł Stach.

Ścibor westchnął.

— Jeżeli się ona wzięć da komu!

Mówili jeszcze, gdy drzwi się otworzyły znowu i stara służa, a za nią dziewczęta jednako poodziwane chędogo, poczęły iść misy niosąc, dzbany i ręczniki, a wszystko co do jedzenia było potrzebne.

Ścibor nie wstawał, więc mu ławę przystawiono do niskiego łoża, aby mógł na niej wygodnie pożywać. Resztę mis i dzbanów porozstawiano na stole, a Jagna pierwsza dając znak ręką gościowi, aby usiadł, miejsce zabrała.

Znak ten łaski mocno zdziwił Ścibora, nie mógł strzymać, aby uśmiechem córce nie okazać, jak był rad jej postanowieniu. Zrozumawszy to piękna Jagna, pogardliwie podniosła usteczka, tymczasem rączki myjąc i ręcznikiem je ocierając, co też i Stach wedle zwyczaju ówczesnego zrobić musiał.

Siedli naprzeciw siebie; gość na nią jak w tęczę patrzył. Dziewki takiej jak żyw nie widział, bo pod te czasy mało było podobnych; niewiasty słuchały, nie rozkazywały, a choć która władzę miała, kryła się z nią jak ze zbrodnią. I nie mówiły one wiele z obcemi, oczyma więcej niż usty rozmawiając, a aż nadto wiele niemi wypowiadać umiały.

— Dużoście podobno świata widzieli? — odezwiała się Jagna, na pół rozogniona, pół obojętna,

nie pomyślawszy o tem, iż się zdradza z podsłuchanej rozmowy.

Stach zdziwił się pytaniu.

— Rycerska to rzecz — odparł—po świecie się włóczyć, gdy wojny niema, innych wszelakich przygód szukając. Spokojnie siedzieć starym się tylko godzi, ci się wysłużyli.

Jagna popatrzała nań szydersko.

— Juźci też rycerzowi włodarzować nie przystoi, miejsce jego w wojsku i przy dworze. A wy, pozwolicie spytać, komu służycie?

Stach się zmięszał, ale wnet odzyskał przytomność.

— Bywało się różnie — odezwał się śmielej — a teraz, teraz jestem sam, nie wiem dokąd się obrócić. Jest dworów dosyć...

— A no — odparła żywo Jagna — prosta rzecz zdaje się do swojego pana iść, który ziemią rządzi, do swego księcia.

— Tak, to mnieby przystało Mieczysławowi służyć—rzekł Stach—a ja do tego serca nie mam.

— To ziemia wasza pod krakowskim księciem?—zapytała.

Stach nie odpowiedział, zajęty był wrzekomo jedzeniem i pytanie puścił mimo uszu, zagadując, że na Rusi w tym roku o wojnie słyhać nie było.

— Tam ona prawie zawsze trwa, jak zapamiętam—wtrącił Ścibor. — Kniaziowie się z sobą swarzą, biją, jedni drugich zrzucają nieustannie. Było tak za Chrobrego, za Szczodrego, a od tych czasów bodaj nie gorzej jeszcze.

Byleśmy i my — dodał cicho — na Rusinów się nie zapatryli, bo to przykład nie do rzeczy.

Od śmierci Krzywoustego i u nas niema bo pokoju, a jużby go czas mieć.

Stach spojrział, twarz Ścibora sposepniała.

— Miłościwy panie—odparł po chwili—pokoju pono pod te czasy nigdzie nie szukać ni znaleźć.

W Niemczech nie lepiej, choć tam cesarze zwierchną moc mają, nie inaczej i na południu około papieża rzymskiego, boć życie to wojna! tak już Bóg przeznaczył!

Stary zamruczał coś niewyraźnie, unikając sporu, Jagna niecierpliwie to na niego to na Stacha patrzyła. Coś jej było nie po myśli. Stach rozmawiając więcej oczyma biegał ku dziewczęciu, niż pilnował tego o czem mówił. Ile razy zwrotek jego trochę natarczywszy spostrzegła Jagna, zżymała się i minę stroiła dumną a groźną, dając mu poznać, że czytania w swej twarzy nie rada była dopuścić. Stach mało zważał na to.

Siedzieli tak jeszcze u stołu, bo miski ciągle podawano, a podróżny jadł i pił zdrowo po długim poście, gdy Jagna ledwie czego dotknęła; — aż w podwórzu pod oknami szmer, gwar i ruch budzić się począł. Baczne oko dziewczęcia poznało może z kąda to pochodziło, bo zaraz rzuciwszy jedzenie, pilniej się przysłuchiwać zaczęła. I Ścibor też ku oknu obrócił głowę, a psy, które tam na kości czatowały pod niem, choć nie odstąpiwszy z miejsca, coraz to zwracały pyski i groźnie ujadając, poszczekiwały ku wrotom.

Ojciec i córka spojrzeli ku sobie, jakby pytając co to znaczyć miało.

Gwar ten niezrozumiały coraz wzrastał. Szło to widocznie kędyś od wałów i bramy, a w podwórzach się tylko odbijało. Ludzie spór jakiś żwawo wiedli. Niekiedy dziki głos krzykliwy, nakazujący, wysilony, gniewny zdala dochodził.

Brwi Jagny coraz się mocniej marszczyły. Gdyby byli sami, pewnie by skoczyła zaraz dowiedzieć się co się tam u wrót działo, uczynić porządek, wydać rozkazy; wobec człowieka cudzego wstydziła się pewnie zająć męską sprawą. Czekala więc niecierpliwie aż znać dadzą. Ścibor się zżymał niespokojny.

Nie było zwyczaju w Ściborzyczach aby lud na

gródku będący tak się z sobą sam ujadał, umiano go utrzymać w karności i porządku.

Łatwo więc było odgadnąć, że przyczyna wrzawy z zewnątrz pochodzić musiała.

— A kież tam licho kaszy jakiejs nawarzyło? — odezwał się z prosta Ścibor do córki. — Co się tam za lby biorą, czy co?

Ruszyła Jagna ramionami i chciała już wstawać iść, ale gość się zerwał z ławy prędko, aby ją wyręczyć.

— Jeśli mi dozwolicie, pójdę się dowiem — rzekł, patrząc na Ścibora.

Nikt nie bronił, skoczył więc za próg Stach, i słyhać było, jak kilka słów zamieniwszy na podziemiu z ludźmi, pobiegł ku wałom i bramie.

Dosyć obojętna, zadumana Jagna, podparłszy się na stole, na ojca patrzyła, który brwi zmarszczył i ku oknu wyzierał.

— Cóż Stach? — rzekł potem do córki — nie tak ci coś krzyw, jak zrazu był?... — I rozśmiał się Ścibor do niej. — Chłopak przystojny, i za prawdę, choć zawinił raz, szkoda by go było ćwiertować...

Jagna wzgardliwie wykrzywiła usta i krótko zbyła ojca:

— Juści gościa trzeba przyjąć, choć pewniebym innego wolała, bo nie mogę patrzeć na tę rękę, co się na pana targnęła.

Ścibor zmilezał, przysłuchiwali się znowu, gdy weszła stara mamka Jagny i w progu stanęła. Ku niej się dziewczę zwróciło.

— Co tam u was?

— U nas nic — odpowiedziała stara. — Za wrotami jacyś ludzie z odźwiernym się swarzą. Książęcy urzędnik, czy coś — dodała.

— Naszego księcia Kaźmierza! — zawołała z oczyma zaognionemi, nagle zrywając się Jagna, jakby już biedz chciała.

Stach z Konar. T. I.

— Nie wiem czyj, a no urzędnik!—odparła starucha, zabierając misy opróżnione.—Łają strasznie!

Wtem i nadbiegającego Stacha posłyszano, który na próg wpadł z twarzą płomienistą, gniewny i zburzony.

— Co każecie robić, nie wiem—zawołał, zwracając się do Ścibora. — Urzędnik z Krakowa, bodaj sam ten Kietlicz Mieczysławowy, z dużą ludzi kupą, prowadzi jakichś pobranych winnych i niewinnych kmieciów, osadników i czerń po drogach połapaną i przewodu się domaga od was. Słusznie mu się ludzie opierają.

Juści przewód swoim zakon dawać nakazuje, ale Mieczysławowym z krakowskiej ziemi, co tu w cudzem księstwie plądrują, nie macie obowiązku.

Jagnie brwi się ściągnęły gniewnie.

— A co im do nas, co nam do nich! — wybuchnęła.

Ścibor mileżał.

— Grożą, że gwałtem konie zabiorą i ludzi popędzą — dodał Stach.

Spuściwszy głowę stary zafrasowany, nie odpowiedział jeszcze. Nierychło podniósł oczy i westchnął.

— Jak się tu opierać i prawa szukać? — rzekł smutnie. — Niech ich licho porwie! gotowi gwałt uczynić jak! Odczepnego ich zbyć, konie dać, a niech idą do...

— Ależ to nie ich ziemia!—zakrzyczała Jagna.

— Będiesz-że z niemi wojnę prowadziła? — rzekł stary. — Ich ziemia czy nie, krakowski książę zwierzchnią władzę ma, a choćby jej nie miał, gniewać go — źle. Niedaleka granica, mścić się będą, spokoju nie dadzą!

Ręką zamachnął.

— Kat ich bierz!

— To musi być Kietlicz sam — mówił Stach — bo bardzo zuchwale pod bramą stojąc, włamaniem się

grozi. A nie tylko przewodu chce, ale ukarania tych, co mu go odmówili. Dobija się, jakby moc i prawo miał!

Ściborowi ręce się aż załamały z niepokoju i trwogi, czuł się słabym. Jagnie piersi się podnosiły gniewem, usta drżały.

— Preczby go odegnać zuchwalca! — zawołała. — To ziemia księcia Kaźmierza; on tu żadnego prawa nie ma. Gródka przecie siłą nie weźmie, a da mu się raz posłuch i przewód, nie będzie od niego spokoju...

Stary podsłuchawszy to, aż się rzucił.

— Jagno, ty sokolicho drapieżna! — zawołał do niej — ty byś ciągle wojowała! Tobie się było mężem rodzić! Idź do swej izby! Ja spokój mieć chcę; niechaj go wpuszcza, niech nakarmią, ktobykolwiek był, ugłaskać go lepiej.

Oburzone dziewczę, posłyszawszy ten rozkaz, rzuciło się, jakby chciało mu opierać, potem spojrzało na Stacha, pomyślało, i na ojca z wymówką, popatrzawszy mileżąco, wybiegło precz, trzaskając drzwiami.

— Stachu mój! — odezwał się Ścibor głosem słabym. — Opatrzność cię tu dziś nadała. Choć obcy, idź proszę, każ im wrota otworzyć, przyprowadź go tu, juści z nim radę damy. Zadzierać się nie chcę.

Stach się trochę zawahał.

— Idź, idź! — powtórzył Ścibor. — Wrzasku nie znoszę, trzeba skończyć z niemi; puść go tu do mnie i sam z nim powracaj.

Nie było sposobu opierać się staremu, choć Stach wolałby był dziewczyny posłuchać i Kietlicza tego za bramą zostawić, musiał spełnić rozkaz starego, który więcej już nie mówiąc, rękoma dawał mu znaki, aby pośpieszał, bo gwar i wrzawa coraz rosły.

Wyszedł więc. W podwórzach wszystko co żyło na grodzisku, mężczyźni i niewiasty powybiegali z zakątów, psy ujadły, biegnąc ku wrotom i okopom,

ludzie postraszeni, to przypadali do tynów, aby spojrzeć za wały, to się od nich cofali tłumnie. Zdała hałas, krzyki i bicie drągami we wrota nieustannie słyszać było.

Zobaczywszy biegnącego Stacha, wszyscy ku niemu się skupiać zaczęli, domyślając się, że musiał iść z pańskim rozkazem.

Dziwilo ich, że Jagny, która zwykła była pierwsza zawsze pośpieszyć, gdzie powstał niepokój, dotąd nie widzieli. Jagna gniewna na ojca, na siebie, na Stacha, rzuciła się na posłanie w swojej świetlicy i co znalazła pod ręką, miotała bezmyślnie o ziemię. Oburzało ją, że ojciec ulegał. Dumne dziewczę byłoby wolało, bądź co bądź, strzałami napastników od wrót odegnać, niż taką powolnością uzuchwalić.

Gdy Stach przypadł z rozkazem, aby wrota otwierano, ludzie już przy nich zajętym łajaniem, do oporu się zabierali. Słowo pańskie zamknęło im usta, mrucząc zaczęto ciężkie drągi odwalać i wrota otwierać.

Tuż pod niemi stał na koniu piana okrytym, męczyzna krępy, czarny, którego długie czarne włosy kręcone wiatr rozwiewał. Twarz mu się czerwieniła od gniewu, a że brzydkim był, jeszcze go zapamiętałość czyniła straszniejszym.

Stach poznał w nim zaraz tego, którego się domyślał: prawą rękę księcia Mieczysława, osławionego jego doradcę, owego Henryka z Kietlic od Budziszyna, któremu naówczas przypisywano wszystko, co książę poczynił i o straszne kraju uciemnianie obwiniano.

Obcy ten człek, najbliższy osoby księcia krakowskiego, zniechęcony przez panów duchownych, ziemian i rycerstwo, najmniej o to dbał.

Wejrzawszy nań, widać było w silnym jak żubr zbudowanym, z krótką szyją, głową dużą, oczyma wypukłemi, patrzącemi groźnie, żywych ruchów i szorstkiej mowy człowieku, takiego, co nie nawykł ule-

gać nikomu, a wszystkich gotów był łamać, bo czuł potężną opiekę nad sobą. Sługa to był, któremu pańska moc dawała zuchwalstwo bez miary.

Trząsł się cały z gniewu, gdy mu nareszcie wrota otwarto i Stacha ujrzał przed sobą. Spiał zaraz konia i jak burza wpadł na podwórze, klnąc głośno. Tuż za nim tłoczyło się kilkudziesięciu zbrojnych, a w pośrodku między ich końmi postrzegł Stach znaczną kupę ludzi, starców, ziemian poważnych, kmieci razem z parobkami i pastuchy pomieszanych, powiązanych łykami, rozwścieczonych lub wylekłych. Ludzie Kietliczowi batami ich gnali i popędzali z sobą, końmi ściskając i napierając.

Wszystko to za wjeżdżającym we wrota Kietliczem wpadło w podwórze, jak do domu, natychmiast z koni zsiadając i zabierając się tu obozować, nie spytawszy nikogo.

Kietlicz tymczasem ledwie na Stacha spojrzawszy z ukosa, popędził do dworca. Ten musiał biegiem go dognać, aby razem z nim stanąć, jak chciał stary. Kietlicz z koniem wpadł aż w podsienie, tu dopiero z niego skoczył a że nikogo nie znalazł oprócz starej baby w progu, spokojnie mu się przypatrującej, krzykliwie wołać zaczął, domagając się gospodarza.

Stara, wcale nie przestraszona tym wrzaskiem, głową trzęsąc, rzekła mu spokojnie:

— Pan nasz z łoża nie wstaje, ani nawet dla księdza, słabuje oddawna.

Widząc, że nikt mu nie wskazuje drogi, Kietlicz począł ją sobie sam torować do wnętrza; rzucił się do jednych drzwi, które do czeladnej prowadziły, postrzegł błąd, zwrócił się i zobaczył dopiero Stacha, który właśnie nadechodził.

— Gdzież ten wasz władyka? — krzyknął gło-
sem zachrypłym — gdzie?

Stach, choć go złość brała i krew mu na twarz występowała, udał bardzo spokojnego.

— Władyka to nie mój — odparł — bom ja tu

gość, jak i wy! Nie krzyczcie tak, bo stary słaby jest i nie znosi wrzasku.

— Słaby, a choćby i zdychał! — przerwał Kietlicz — a co mi to? Ja posłuchu wymagam! Wy tu ze mną wojnę prowadzić myślicie, he! a wiecie z kim?

— Hej no, hej! ktoś kolwiek jest, ciszej! — odparł Stach — toż nie w zdobytym grodzie jesteście, a na ziemi pana Kaźmierzowej, przystałoby tak głosu nie podnosić.

Kietlicz poskoczył ku niemu, mierząc go od stóp do głów iskrzącymi oczyma.

— Cóż ty, ty jakiś, będziesz mnie tu uczył? ty, mnie? Ja tu z ramienia pana, który i nad Kaźmierzem naszym jest i nad wszystkimi! Rozumiesz?

Już się kłótnia na dobre miała zawiązać, bo Stach ustępować nie myślał, gdy drugie drzwi się otworzyły i wylekły tym hałasem Ścibor o dwu kulach powoli się wlokąc, wystąpił sam, przygarbiony, wpół złamany, z włosy siwymi i brodą okrywającą mu piersi obnażone. Widok starca zgrzybiałego, drżącego, niedołężnego, na chwilę opamiętał Kietlicza nieco. Gniew jego nie ustał, ale nieco złagodniał. Rzuciwszy Stacha, wprost poszedł na staro.

— To wyście tu władyka! — zawołał do niego — wy! A dobry i u was ład i posłuch dla książęcych urzędników. Wiecie ktom jest?

Stary podniósł ku niemu głowę, której usta bezzębne, otwarte, z wargami drżącymi i zbiełale oczy wyrażały więcej zdumienia niż postrachu.

Nie czekając odpowiedzi, Kietlicz krzyczał ciągle:

— Najwyższego pana Mieczysława krakowskiego jestem pierwszym urzędnikiem. Ho! ho! słyszeńście pewnie o mnie, bom ja się nie jednemu dał we znaki i żartów nie ma ze mną. Tu mi w waszych włóściach ludzie przewodu odmawiają, u wrót mi każą stać! Cóż to ty pan jesteś udzielny? Co

to władzy książęcej nie znasz nad sobą? Coś ty za jeden? co?

Na to zuchwale pytanie w niedołężnym starcu poruszyła się żółć; podniósłszy głowę znów, oczyma go zmierzył.

— Coś ty za jeden? — powtórzył Kietlicz.

— Jam Krzywoustego wojewoda — odparł poważnie i spokojnie Ścibor. — Choćbyście byli pańskim urzędnikiem, siwy włos powinniście szanować!

Zamilkł jakoś Kietlicz, ale gdy stary, któremu na nogach dłużej ustać było ciężko, do izby się nazad zawrócił, aby na łożu leżąc znowu, napastnik jak stał w helmie z biczem w rękę wpadł za nim.

— Słyszysz ty stary, choćby i wojewoda nieboszczyka, sam na pół trup, żeby mi przewód był, owies i siano dla koni, strawa natychmiast dla ludzi, a na tych, co mi się opierać śmieli, kara w moich oczach: chłosta i ciemnica.

Ścibor, który był legł już, dysząc mocno ze wzraszenia i ręką piersi cisnąc, zrazu odpowiedzieć nie mógł. Zmierzył stojącego przed sobą oczyma raz jeszcze i Stachowi ręką dał znak.

— Dać mu co chce! na gwałt rady nie ma, i niechaj mi idzie ztąd!

Jakby nie rozumiejąc tego, Kietlicz się nie ruszył. Spojrzał po izbie, zobaczył na stole pozostałe misy i dzbany, nie pytając przystąpił ku nim, nalał sobie kubek i wychylił go cheiwie.

Niegościnnie przyjęty, nie zważając na to, że mu precz iść kazano, na ławę się rzucił. Milczenie groźne trwało chwilę. Drzwi stały otworem, za niemi włodarz Ścibora Domuch, czekał na rozkazy drżącego. Stary się ku niemu zwrócił.

— Domuch! dawaj im co chcą, niech żrą i idą ztąd! Przewód nakazać zaraz. Słyszysz? Wojować z nimi nie będę, niech mi długo na karku nie ciążą i idą precz ztąd przyszl! Ze dworu przewód

wybrać dla pośpiechu, bo do wsi daleko, a tam już ludzi porozpędzać musieli.

— Spędzić mi ich napowrót zara! — krzyknął Kietlicz — żeby mi te psy w oczach moich chłostę wzięły!

Ścibor twarz ku niemu zwrócił.

— Tego nie będzie! — rzekł — tego nie dam! Czyń sobie co chcesz. Masz swój przewód i strawę, ruszajże jakoś przyszedł.

W głosie starca było coś nakazującego, groźnego, czemu się oprzeć było trudno. Kietlicz się rozśmiał szydersko i począł jakby sam do siebie, rozpierając się na ławie:

— Oh! oh! myślicie sobie poczynąć z nami tak, jakoście z dawnymi swemi pany czynili! Ale mój pan inny! Sprawa nie z Włodzisławem, nie z Kudrawym! My wam pokażemy, kto tu ma prawo życia i śmierci, nakazu i posłuch! U mnie ziemianin, kmieć, klecha, rab wszystko jedno, nie patrzę ja kto on! Łby poleca, dopiero się nauczycie pana szanować. Mieszko was i panów duchownych rozumu nauczył! Zobaczycie!

Wy tu mi śpiewacie, żem ja na Kaźmierzowej ziemi, mnie i pana mojego tak dobrze Kaźmierz jako i ty i wszyscy, wszędzie słuchać musicie. Jeden tu pan i więcej ich nie będzie. Nie znamy ani biskupów, ani wojewodów, ani żupanów, gdy nieposłuszni są.

Chcecie kaźni, będzie kaźń, będzie taka, jakiej nie bywało za książęcych braci. Ze skóry was drzeć, kołem tłuc, wieszać i ścinać będziemy, aż się rozumu nauczycie i ładul!

To mówiąc, pięść z biczem podniósłszy, zdał się nim grozić staremu.

Na ten wybuch gniewu Kietliczowi nikt nie odpowiedział. Znikł tylko zaraz Domuch, a Stach naprzeciw starego stanawszy o ścianę sparty, słuchał go milcząc z miną szyderską wyzywającą, tak, że ona gniew w nim jeszcze rozżarzać musiała.

Zdawał się mówić mu oczyma.

— A no, a no, pozwól sobie, nie nie kosztuje, pleć!

Ścibor leżący na swem posłaniu, ręką głowę podparłszy zadumał się, twarz jego bladła, czoło się zasnuwało zmarszczkami.

Kietlicz kubek po kubku wychylał, nie pytając ni dziękując, wreszcie chleb łamać począł i reszty mięsa z misy wyciągać, nie troszcząc się o gospodarza.

Stara gospodyni, która na to z za drzwi otwartych ciągle patrzała, położyła temu koniec śmiało do izby wszedłszy i zabierając z przed siedzącego dzbanek, kubki i misy.

Nikt się do niego nie odezwał, nikt go przebłagać nie myślał, więc coraz mocniej sierdził.

— Ufajcie w to, żeście Kaźmierzowi! — począł ryhocząc ze złością po chwili. — No to się jemu poskarżcie! Niechaj probuje zadrzeć się z naszym panem. A no? możebyśmy temu i radzi byli.

Dosyć już tego ziemiańskiego i książęcego gospodarstwa, czas na inne. My wam pokażemy co ład, co zakon i co kaźnia!

Znów tedy pięść i biczyskiem do góry podniósłszy na Ścibora patrzył uparcie, który milczał, to na Stacha stojącego z miną drwiącą. Nie odpowiadali mu. Nie było tu już co robić, powstał z ławy gburowato, stół popychając przed siebie, pasa ociągnął, helmu poprawił, obejrzał się dokoła, plunął ze złości i wyszedł.

Drzwi się natychmiast za nim zamknęły.

We dworze nie mając już co poczynąć, poszedł zwolna w podwórze do swoich ludzi rozłożonych tu taborem, chełwie pożerających strawę, którą im w naczyniach i wiadrach dostarczano. W pośrodku tych rozpasanych siepaczy, kupka więźniów po drodze pochwyconych leżała na ziemi, ponakrywawszy głowy, twarzami do murawy, spoczywając i jakby nie słysząc

zmagania się, lajania, szyderstw i wyzywań, które-
mi ich jątrzyć chciano. Jeńcom tym nie dano ani jeść
ani pić, gdy Domuch przez litość przyniesie i dla nich
kazał strawę, żołnierstwo ją śmiejąc się pomiędzy
siebie rozechwyciło, a potem kośmi na powiązanych
jak na psy rzucali, wołając że im i to nadto dobre.

A więźniowie, jak można było miarkować
z odzieży i twarzy, byli w większej części ludzie
dostatni, pod różnemi pozorami z domów pobrani, na
gościńcach pochwytani, którzy wiedzieli czego się
mieli spodziewać, dostawszy Kietliczowi w ręce.
Nikt z nich cały nie wyszedł.

Gbur ów, nie mogąc się dłużej nad Ściborem
znęcać, bo mu ten ani odpowiadał nawet, poszedł
się mścić na więźniach swoich. Smagał ich szyder-
stwami i groźbami.

— Dam ja wam dobrą gościnę w Krakowie,
dam, dam! Popamiętacie pana i mnie, który z was
z całą skórą wyjdzie i ze łbem na karku, będzie do
śmierci pamiętał, że był w moich łapach!

Drużyna pana Kietliczowa, za każdym takim
wykrzykiem, wtórowała mu śmiechem pijanym. Nie-
którzy leżących na ziemi więźniów oszczepami żgali,
wołając:

— A no! nie śpijta! słuchajta! kiedy pan gadał

Kietlicz szukał może powodu, aby się nad któ-
rym mógł pastwić, chciał wywołać jakie rozpaczli-
we z nich słowo, ale biedota owa głowy poukrywaw-
szy milezała.

Poczęło się tedy rzucanie a groźby na włodarza
Domucha, aby dawał, a dawał coraz więcej, strawy,
mięsa, napoju, owsa, obroków.

Gdy wreszcie konie i wozy do przewodu z szop
prowadzić poczęto, aby się zbyć ich, Kietlicz wpadł
między nie i począł wybredzać, aby mu innych, lep-
szych szkap i powózek dostarczano.

Przykazanie było od Ścibora, by się ich zbyć
jako bądź, więc ściągano i prowadzono co chcieli,

w pośród wrzawy, kłótni i śmiechów. Kietlicza,
który był za pan brat z księciem najwyższym, wzgar-
dliwe to przyjęcie w Ściborzyczach bolało. Nie prze-
łamano się z nim nawet chlebem, nie chciano gnie-
wów przebłagać, zbył się go stary jak napastnika.
Kietlicz nie mogąc się mścić na gospodarzu, gniew
spędzał na jego czeladzi, głośnie przeciw jej panu
odzywając się ze złością i pogardą.

Czeladź też ujmować się nie mogła, ale zęba-
mi zgrzytała.

Dzień już był w drugiej połowie, gdy naresz-
cie wszystko do odjazdu stanęło w pogotowiu. Wię-
źniów na wozy powciągano po dwu i po trzech po-
wiązawszy razem plecami do siebie, gromada Kietli-
czowa na konie siadać zaczęła, wiadra i neculki
próżne porozbijawszy umyślnie. Pańskiego konia już
podprowadzono. Nie było pozoru gościć się dłużej,
a Kietliczowi z tak małym zyskiem precz się odjeżd-
żać nie chciało. Już na konia siadać miał, gdy coś
sobie pomyślawszy, nazad pode dwór zawrócił.

W czasie gdy tak w podwórzach gospodarowa-
no, Stach na czatach stał, nie wiedząc co czynić, choć
mu krew w żyłach kipiała przeciwko napastnikowi.

Do pilnującego progu wybiegła Jagna z twarzą
zapłonioną gniewem.

— Do ojca mi go więcej nie puszczajcie! — za-
wołała i znikła.

Rozkaz ten odebrawszy, Stach gotował go się
spełnić bądź co bądź i pierwsze drzwi zasunawszy,
stanął u nich na straży z rękami złożonemi. Kie-
tlicz, któremu do głowy przyszło, pewnie jeszcze
pieniężną karę ściągnąć za odmówienie przewodu,
gdy podbiegł ku dworowi, zastał Stacha u progu.

Spojrzał nań, wskazując na drzwi.

— Do władzyki cheć! otwierać! — zawołał naka-
zująco.

— Nie pójdziecie do niego, bo i tak chory już
leży — odparł Stach.

— A wy mi tu stawić opór będziecie! he! — krzyknął Kietlicz.

— Tak mi polecono, nie puszcę — rzekł Stach, rozkrzyżowując się we drzwiach.

Kietlicz porwawszy za rękę stojącego, chciał go na stronę odepchnąć, ale trafił na równą swojej siłę. Stach ani drgnął, nie łatwo go było ruszyć lada komu. Oparłszy się plecami o drzwi, nogi mocno wbiwszy w ziemię — stał jak mur. Szarpnął go Kietlicz raz i drugi nadaremnie i opór znalazłszy niespodziany, przyskoczył, oburącz go chwytając, aby odrzucić na stronę. Gniew obu dodawał siły. Kietlicz miał jej dosyć, ale Stach bronił się dzielnie, pechnął go w piersi, aż odskoczył na nogach się zachwiał.

Wrzasnął natychmiast na swych ludzi.

— Sam do mnie! Bereza! Tyś co za jeden?

— Któm jest, tom jest — zawołał Stach gniewnie — nieustąpię ci!

— Ty, mnie się myślisz opierać! — miotając się krzyknął Kietlicz — ty! ja cię nauczę.

I ku swoim zwróciwszy się coraz głośniejsz wrzeszczał.

— Bereza! sam do mnie!

Bereza, chłop straszny i trzech innych najsilniejszych z orszaku Kietliczowego już biegli mu w pomoc. Walczyć z nimi jednemu było niepodobieństwem. Zbladła twarz Stachowi, zaciął usta, nie ustępował. Siepacze nadbiegli i runęli na niego.

— Wziąć tego ptaszka i związać! — krzyknął Kietlicz — rozmówimy się z nim w Krakowie!

— Ziemianin jestem wolny! — zawołał Stach.

— A choćbyś i kniazem był! — zaryczał Kietlicz — ja na wszystkich uzdę nałożę.

Po krótkiej chwili namysłu, Stach spuściwszy głowę, gdy Kietliczowa służba nań padła, nie mówiąc słowa, dał się jej ująć. Zdala stała jego czeladź wyłękła i podburzona, jakby chciała stanąć w pańskiej

obronie, Stach nie broniąc się już, krzyknął do swych ludzi.

— Wy z końmi ruszajcie za mną!

Spokój ten zmniejszał trochę napastnika, ale cofać co rozkazał nie chciał, wstyd mu było. Wiedział że nieznanego sobie ziemianina z poczem jadącego chwycił, niesprawiedliwej opierającego się napaści; nie zgrzeszył on tak dalece, aby go za to srodze karać można, Kietlicz byłby go zwolnił, gdyby się prosił, mileżącemu nie mógł przepuścić.

— Wiazać go! — powtórzył — w Krakowie się z nim rozgadamy.

Drzwi od mieszkania Scibora stały tymczasem ze środka zamknięte, Kietlicz przypadł do nich ze złością, uderzył parę razy, nie odzywał się nikt, nie myślano otwierać.

Ciupnął w nie jeszcze raz mieczem i splunął.

— Licho na was, z dziadami nie będę wojny prowadził. Na koń! a tego — wskazał na Stacha — związać mi dobrze i z innymi niech rusza do Krakowa.

To mówiąc odszedł ode drzwi, rozkazując sobie konia podprowadzić, klnąc i łajac jeszcze siadł nań i popędził ku wrotom.

Cała gromada jego wnet na konie swe wspinać się zaczęła, wozy popędzając przed sobą, na których już więźniowie leżeli.

Ciury te po drodze jeszcze chwytając co napadły, kury, świnię, gęsi, ze śmiechem uwożąc te łupy zwolna wrotami nazad wyciągnęły na podzamcze, odgrażając się odźwiernemu stojącemu w bramie, którego kilku kijmi poczęstowało, że im zrazu wrót nie chciał otwierać.

Za ostatnim z Kietliczowych oprawców zaparły się wrota natychmiast i orszak nie odciągnął jeszcze, gdy czując się bezpieczni ludzie zamkowi powybiegali nad wrota i na wały, od psów i zbójów łajac wściekle odjeżdżających, którzy im zdala pięści

pokazywali. Kilka kamieni nawet świsnęło w powietrzu za odjeżdżającymi i padło na gościńcu.

W tejże chwili otwarły się drzwi dworu i Jagna z włosami rozpuszczonemi, z załamanemi rękami, z bezsilnemi łzami na gniewem zarumienionych policzkach, wypadła trzymając toporek w ręku. Dłużej by już była wytrzymać nie mogła.

Postawszy chwilę na progu, zawróciła do ojca. Ścibor leżał oburącz głowę trzymając w dłoniach, podniósł ku niej wejrzenie i uląkł się wyrazu jaki na jej twarzy zobaczył.

— Jagno! Jagno ty moja! nie złość się nadaremnie, nie było na to rady! Stacha wzięto, słyszę, ale temu się nie nie stanie.

Ruszyła ramionami wzgardliwie.

— O Stacha tego mi nie chodzi—zawołała—nie byłby mężczyzna żeby sobie nie dał rady, ale ty ojczel ty! po coś im otwierać kazał? aby nam srom uczynili!

— Dziecko moje—odparł Ścibor—stary jestem, chory i niedołężny, gródka bronić nie mogłem, nie było czem. Jutro by go Mieczysławowi najechali. Nastaly takie czasy, dożyliśmy! głowę trzeba spuścić, uszy położywszy słuchać.

Jagna ręce sobie wylaamywała.

— A! nie! nie — wołała rzucając się — tak nie będzie, nie może być, ziemianie mu się nie dadzą, niewolnikami nie są. A dadzą się, no to warci być niemi.

Przeszła się po izbie, usta zaciskając, głowę unosząc, dysząc prędko, gniew czynił ją piękniejszą, niemal młodszą niż była. Oczy jaśniały blaskiem nadzwyczajnym, rumieńce krwią się tryskać zdawały, z pod małych ust zębki świeciły zacięte zgrzytaniem.

— O! tak się ostać nie może! — powtarzała ciągle.

Starzec ku niej wyciągnął ramiona, przyklęka przy nim, pochwycił ją ścisnąć i pieścić.

— Cicho, ty sokolico drapieżna, cicho! niech się tam dzieje co chce! Dajcie mi choć umierać spokojnie, nie moja to sprawa, a tych co żyć będą. Mnie aby cisza i pogoda... Jagno! uspokój się!

Ale Jagnie łzy z oczów płynęły, upokorzenia swojego i ojcowskiego zapomnieć nie mogła; krzykliwy głos Kietlicza rozkazującego na gródku brzmiał jej w uszach i dreszcz ją przechodził.

IV.

Tegoż dnia wieczorem, Kietlicz ze swą zbrojną gromadą, z którą jakby na łowy puścił się na dwory i ludzi, był już znowu na Krakowskiej ziemi. Tu ścieracze jego śmielszymi się stali jeszcze.

Dla Staszka, któremu z lekko związanemi rękami pozwolono jechać na własnym koniu, otoczonemu swojemi ludźmi i strażą — widok tego pochodu był oburzeniem nieustannem. Ale choć mu twarz srom i gniew oblewał, mileżeć musiał. Zżymał się czasem, strząsał, do swoich coś zagadał, strażę otaczającą co innego mając do czynienia, wcale nań nie zważały.

Kietlicz wracał z wyprawy do Krakowa, czasu nie tracąc po drodze. Nie pominęli człowieka, dworu, chaty, nie przystanawszy dla rozpatrzenia się i rozpytania, czy nie było się tam do czego przywiązać, o co zaczepić, aby kmiecia obedrzeć, uwięzić lub osmagać.

Szło o to Kietliczowi widocznie, aby trwogę siać po kraju, cel ten też zdawał się dopiętym, gdyż ludzie zdala zobaczywszy kupę zbrojną, poznawszy

książęcego urzędnika, pędzili w lasy rzucając domy i trzody, chronić się w gąszcze i błota.

Samo to zbieganie Kietlicz już poczytywał za winę, kazał ścigać uchodzących, a kogo pochwyciono, wiązano i męczono, aby wyznawał co przewinił i czego się lękał.

Ludzie towarzyszący Kietliczowi, przywykli do tego polowania, zuchwali, burzliwi, ciągle na pół pijani, bo na wozach beczulki mieli, z których nieustannie czerpali, znęcali się nad wszystkimi kto im pod rękę podpadł, bez względu na stan i pleć jego.

Parę osad należących do benedyktyńskich klasztorów trochę śmielej wystąpiło opornie, ufając, że im jako poddanym duchownych ludzie królewscy nie uczynią, ale gruby Kietlicz nie zważał na nie, kazał brać podwody, odgrażając się jeszcze, że nie tylko mnichów, ale i panów biskupów Mieszko rozumu nauczy.

Ostrożny tylko poseł pański, na obronne gródki ziemian, na starszyznę bogatszą i silniejszą wprost się napadać nie ważył, szarpał ich z boku. Mniejsi ziemianie, kmiecie, osadnicy i czerń najwięcej cierpiała. Był to początek. Za każdą sprawą zausznik pański powtarzał, że ład wprowadza i zakonu pilnuje. Obladowywano wozy wedle tego zakonu, bo co się tylko po drodze schwycić dało, szło na nie, siepacze ryhotali ciesząc się dobrym obłowem.

Drugiego dnia, gdy tak ciągnęli, nieopodal już będąc od Krakowa, wśród puszczy, Staszek pierwszy spostrzegł na łące pośród lasu kilku ludzi z oszczepami i łukami, stojący około czegoś czarnego, leżącego w pośrodku. Zdało mu się to jakby zabita grubą zwierzyną. Zaledwie się przypatrywać zaczął już i drudzy obaczyli zdobycz i kilku cwałem się puściło ku łączce i stojącym ludziom.

Ci jakoś nie umykali, choć tentent posłyszeli i zobaczyli nadjeżdżających, gwarzyli wesoło, stojąc nieopatrzeni, ukazując sobie ogromną bestję, która

z okrwawionym pyskiem i rozdartemi trzewy pośród nich leżała.

Sam Kietlicz brwi najeżywszy, konia ścisnął i polecał. Zdała już postrzegł Stach, że tam około zwierza wrzask się począł, a ludziska przed chwilą tak weseli, ze strachu popadali na kolana. Gdy podjechali bliżej ku miejscu, gdzie się już Kietlicz i jego przyboczni do wiązania łowców i zabierania niedźwiedzia zabierali, usłyszał wrzask ogromny.

Kmieć, który szkodnika zamordował w lesie, czuł się całkiem niewinnym, Kietlicz to rozumiał inaczej, smagał go i krzyczał na całe gardło.

— Al! myślisz ty nieponiu, rabusiu, że ci po lasach bezkarnie będzie wolno polować! Cóż to ty masz takie prawo, jak książę?

Kmieć zbladły, usiłował się bronić jeszcze.

— Ależ, miłościwy panie, las ci to mój własny, ta jucha mi braci popсоваła i poniszczyła, pola potratowała, pokoju z nią nie było. Musiałem się bronić!

— Al! pewnie! bronić — sztydził Kietlicz. — Tak! A kogoś to prosił o pozwolenie robienia sobie samemu sprawiedliwości? Cóż to ty zwierzchni pan? Sprawiedliwość i wymiar nie do kogo należy tylko do księcia? Ty sobie będziesz jego prawa przywłaszczał i bił niedźwiedzie, które z książęcych lasów przychodzą!

— Wiązać go! — zagrzmiało. Pachółkowie wnet się do kmiecia porwali. Ani się już śmiał bronić, spodziewając w Krakowie może innego wyroku. — Kietlicz wołał śmiejąc się:

— Zapłacisz siedemdziesiąt! o! zapłacisz, miły kmieciu, za polowanie na pańskie niedźwiedzie, i będziesz miał naukę, kto tu jakie ma prawo!

Wnet ogromne zwierzę, dobry obłów pochwyciono na wóz rzucając ze śmiechami wielkimi, a że na wozach już dla kmiecia miejsca nie było, ręce mu związawszy, pieszo go za wozem popędzono.

Stach z Konar. T. I.

Kmieć, jak widać było z odzieży, dostatni, szedł zniewagą tą i samowolą zbudzony tak, że od zmysłów odchodził prawie, a że bronić się nie miał siły, smagali go popędzając i drwiąc pacholkowicie.

Na niego teraz jako na nową ofiarę, całą swą złość wywierał Kietlicz, potrzebujący ciągle kogoś smagać językiem.

— U nas tu wszyscy panowie — wołał — księcia nikt znać nie chce, kmieć chce być panem u siebie, zagrodnik u siebie, ziemianin, władyka, każdy se pan, nie licząc duchownych, co nietylko u siebie, ale u drugich jeszcze panami chcą być. A no! dosyć tego dosyć. Mieszko was weźmie w kluby i nauczy lepszego rozumu.

Będziesz ty się bał i wiewiórki zabić w ogrodzie, jak powrócisz z Krakowa! Wkrótceby na pańskie łowy zwierza nie stało za niemi.

Szukająca przyczepki, rzucając oczyma na wszystkie strony gromada Kietliczowa, prawie co krok nowe chwytala ofiary.

Żadnego człowieka nie pominięto nie zatrzymawszy go, nie spytawszy kto był, z kąd, jakiego stanu, a pytania te Kietlicz i Bereza Łużyćzanin też, a namiestnik jego, z ogromnym łbem rozczochranym i czerwonym pyskiem, bez jednego oka i ucha — tak umiał zadawać, że każdy się splotać musiał, gdy się nań raz usiedli.

Wśród gościńca obskakiwano pola do koła przejeżdżających, zahukiwano, badano, targano i mało komu się udało wyklamać i wydobyć z rąk napaśtliwych. Nim do Krakowa się zbliżyli nabranych ludzi narosło, wozy się wszelkie zdobyć powyscierały do góry, a dobra myśl taka była u wszystkich że gdyby nie Kietlicz, gromadaby jak łotrzyki puściła się pewno na dwory.

Już się do gromady zbliżali, gdy na gościńcu od Krakowa, pokazał się orszak znaczny zwolna się ku nim posuwający.

Zdala widać było nielada pański dwór, i Kietlicz, który przodem jechał wzięwszy się w boki, a wzroku nie miał zamuconego, bo od innych był trzeźwiejszy, niespokojnie się jakoś na ludzi swoich obejrzał. Na razie dał znak pewien, który oni zaraz zrozumieli. Wnet do koła się ścisnęła jazda i obstawiła wozy, aby ich i jeńców jak najmniej widać było.

Staszka też z końmi jego pchnięto gwałtownie w środek taboru i ukryto. Ciszej stało się w gromadzie, wrzaski ustawać zaczęły, rozpasana swawola przycichła.

Bereza, który jednym swoim okiem lepiej widział niż drudzy dwoma, pomrukiwał sam do siebie.

— El el wojewoda, daj go katu! Dość, że my go zawsze gdzieś spotkać musimy.

Z twarzy Kietlicza widać było, że i on zetknięciu się z wojewodą niekoniecznie był rad; wstyd mu było tych łupów, które wiozł z sobą.

W istocie jechał naprzeciw nich od Krakowa Szczepan Pobożanin, wojewoda krakowski, wielkiego znaczenia między ziemianami, którego i sam książe szanować musiał. Jak on doszedł do tej wziętości, iż wszystkich ziemian krakowskich w garści trzymał i czynił z niemi co chciał, odgadnąć było trudno. Więcej pono winien był zręczności i przebiegłości niż rozumowi, dużo gościnności swej, a trochę i temu, że wiedział za co kogo brać i z której strony laskotać. Nie mniej wszystkim był potrzebny i uważali go, a nawet biskup Gedko, choć często się nań zżywał, bez niego się nie obchodził.

Poznał go Kietlicz zdala po znajomym koniu cisawym na którym jechał i postawie rycerskiej, bo choć stary, Pobożanin rad młodego udawał, naostatek po kolpaku, u którego zawsze kilka piór czaplich do góry nastrzępionych nosił.

Człek był, mówiono, mężny, w potrzebie zuchwały na czasie, a tak zręczny, że nikt go nigdy w pole nie wyprowadził, on zaś niemal każdego. Dla

bab tylko miał pono za wiele słabości; za co go biskup lajał.

Twarz wojewoda miał mało zarosłą, pełną, oczy przymrużone nieco, jakby mu światło wadziło, oblicze całe dobrodusznie się uśmiechać zdawało, ale chytróść z niego przeglądała.

Nikt nigdy nie mógł powiedzieć z pewnością, komu on praw był, komu krzyw, bo ze wszystkimi równo obchodził się jak najlepiej, potakiwał, pochwalał — nikt nie zgadł co myślał i trzymał. Nie pogniewał się też nigdy prawie, rzadko sprzeczał; gdy do dzieła przychodziło skinął lub sam wystąpił, dwoma słowy swoje robiąc. Rozprawiać z nim nie było co, bo w słowie był nie mocny, ani zważał wiele na nie, ni go słuchał.

Jednakże od niejakiego czasu wojewoda, jak powiadano, podupał był nieco i osłabł, o co obwiano jakieś pokątne miłostki.

Nosił się sam niezbyt z pańska, przystojnie jednak i ochędoźnie, dwór zaś miał taki, że i książęcemu nie ustępował. Mieszko i jego zauszniacy, choć nigdy się nie przeciwili księciu i rozkazy jego spełniał milcząc, nie lubili go, bo im był za silny i nie korzył się jak inni.

Nie stąpił pan Szczepan ani do Krakowa, ani po województwie, żeby ze dwóchset ludzi doskonale uzbrojonych nie miał przy sobie. Oprócz tego dwór go znaczny otaczał, młodzież ziemiańska, Pobożaninów krewniaków siła i powinowatych, urzędnicy różni, podkomorzowie, cześnik, komornicy, kapelan, który razem za kancelarza mu służył.

I tym razem gromada ich była około niego, za wojewodą jechała starszyzna mnoga, potem półkowódzca, niejaki Nagoń, olbrzym, pod którym mało który koń wytrzymał, dwornia, czeladź i konnych mnogo, ciągnących się długim pasem. Wyglądało to jakby się na wojnę wybierali, bo i wozy były z namiotami i luźne szkapę i zbroje wieziono zapaśne.

Garstka Kietliczowa szczupła się wydawała przy tym tłumie, a sam urzędnik książęcy na widok pana wojewody dużo stracił ze swej buty. — Nareszcie dał rozkaz Berezie, aby się z ludźmi swemi i wozami w jedną stronę gościńca zsunał, dając przejazd wolny dla Pobożanina.

Wojewoda już zdala zobaczywszy, powracających z wyprawy Kietliczowych, których dobrze znał, zwolnił koniowi kroku, bacznie się rozpatrując. Parę słów rzekł do kapelana i przybocznych, a gdy Kietlicz tuż podjeżdżał wystąpiwszy przed swoich, rażno mu się kłaniać począł a witać, wojewoda konia strzymał, lekkim skinieniem głowy ukłon mu oddając.

Musiał i Kietlicz stanąć.

— Zkądże-to Ran Bóg prowadzi? — zapytał Pobożanin głosem na pozór obojętnym i wesołym.

— A zkądżeby — odparł Kietlicz, którego gromada tymczasem pod wodzą Berezy, co żywiej bokiem gościńca przeciągała, nie bardzo się dając przypatrywać sobie, jakby chciała bystrego wzroku wojewody uniknąć. Ten, jakby na przekorę, Kietlicza słuchając, oczyma ciągle szedł za jego taborem.

— A zkądżeby — mówił urzędnik — ze służby pańskiej. Człowiek wiernie chcąc panu służyć, nie ma dnia i nocy spokojnej. Wszystko się za nieboszczyka Bolka tak porozpraszało, że teraz siłą i mocą trzeba posłuch wprowadzać, bo nikogo ludzie znać nie chcą.

— Nikogo znać nie chcą! he! nikogo! — powtórzył obojętnie wojewoda.

— Bez grozy ładn nie będzie — dodał Kietlicz.

— Groza! groza! — mruknął wojewoda, tak, że poznać było trudno, czy ją pochwalał, czy ganił.

Kietlicz nadrabiał pozorną wesołością, chcąc ukryć zakłopotanie. Stał tak jakby rozrosłymi swemi plecami zakrywać chciał wozy i jeńców, ale wzrok Pobożanina sięgał w bok i zdawał się ciekawie rozpatrywać w tych skutkach grozy, o której słuchał.

— O! o! — zawołał — a to co! Widać, żeście po drodze i łowy sprawiali, a niedźwiedzia tego położyli!

— Ja? uchowaj Boże! — odparł Kietlicz żywo — gdziebym miał czas na zabawę. W prawa łowów książęcych się nie wdieram, nie śmiałybym takiej — pańskiej zwierzyny tknąć!

— He! — spytał wojewoda, poglądając mu w oczy.

— Oto ten, co go związanego prowadzą, zuchwaly człek — odezwał się Kietlicz, wskazując na jeńca swego — oto ten, pod pozorem, że mu bestya barcie i pola psuła, samowolnie ubił książęcego niedźwiedzia. To ująć nie powinno bezkarnie!

— Bezkarnie! — powtórzył wojewoda — hm! bezkarnie! — W tej chwili oko jego padło na Staszka przejeżdżającego ze związanymi rękami. Uderzyła go znać rycerska postawa człowieka.

— A cóż to za winowajca? — spytał, wskazując nań, bo jadący jakby naumyślnie zwolnił kroku, i spoglądał ku wojewodzie.

— El ten! to, nie jest! — rzekł Kietlicz. — Sprawa inna. Jest tych spraw do licha, gdzie się potkniesz. Ten mi się śmiał opierać, urzędnikowi pańskiemu. Do tego już teraz przyszło, że lada ziemianin, ot taki, jak ten, nie chce znać ani księcia, ani tych co są z jego ramienia wysadzeni!

— Wysadzeni! — wtórował wojewoda — ale cóż to było? gdzie?

— A, mała rzecz zaprawdę — odparł Kietlicz, ręką rzucając — nie ma o czem opowiadać.

— Ciekawym — rzekł wojewoda. — Cóż to było? co?

— Wyjechałem jakoś na Sandomierskie ziemie — odpowiedział Kietlicz — bo tam granice od krakowskiego niepewne.

— Granice niepewne? hm! Sądziacie, że niepewne? — rzekł wojewoda dobroduszenie — a ja zawsze

sądziłem, że się to wie dobrze, kędy ziemia krakowska kończy, a Sandomierszczyzna zaczyna!

— Ja tam tego tak bardzo nie patrzę! — mówił Kietlicz — albo to nasz książę nie jest wszędzie zwierzchnim panem?

— A! wszędzie panem! wszędzie! — potwierdził wojewoda.

— Zajechałem do jednego dworu po przewód i obroki, na Sandomierskiej ziemi — ciągnął dalej Kietlicz — he! ci mi nie chcą dawać! Hu! tego ja ścierpieć nie mogę! Niechaj idą z żalobą na mnie kiedy chcą, psu braty jakieś, ale co ja każę to dać muszą! Pobieżyłem z ludźmi do dworu, tam stary niby chory leży, umyślnie się czyniąc takim, aby się mnie zbyć psim swędem.

— He! he! Któryż to? Kto? — począł dopytywać wojewoda.

— Kto? Ot, ja go tam nie pomnę — odpowiedział coraz bardziej niecierpliwie się już tem badaniem Kietlicz. — Ten drab zuchwaly drzwi zaparł przed nosem i do starego, niby chorego, puszczać nie chciał. Kazałem go wziąć, aby się do Krakowa przejechał i trochę strachu najadł, aby drugi raz mi w drogę nie śmiał leżeć.

— W drogę leżeć! w drogę leżeć! — powtórzył Pobożanin ciągle się przypatrując Stachowi. — Ja bo tego człeka gdzieś już widywałem, ohapia mi się a przypomnieć nie mogę!

— Kietlicz widocznie tej znajomości nie był rad.

— Ja tam o niego wiele nie stoję! — odezwał się sądząc, że Pobożanin za nim wstawiać się zechce.

— Cóż z nim czynić myślicie? — zamruezał wojewoda.

— Należałoby go przed sąd postawić — rzekł Kietlicz — za to, że śmiał książęcemu słudze opór dawać. Oni wszyscy są zuchwali, przepuścić jednemu, drugi mi na kark wlezie.

— Wlezie na kark! — rzekł zamyślony wojewoda.

da poglądając ku Stachowi, jakby go sobie usiłował przypomnieć.—Jak on się zowie, ten—ten!

Kietlicz nazwiska nie wiedział, obrócił się do Berezy stojącego blisko i krzyknął wskazując na Stacha, który też niezbyt się oddalił.

— Spytaj go, jak on się tam woła?

Posłyszawszy pytanie i widząc, że się ono do niego stosuje, Stach nie czekając Berezy, huknął ku wojewodzie.

— Zabór z Przegaja! miłościwy panie!

Pobożanin głową kiwnął, zadumał się nieco, zdawało się jakby miał zamiar za jeńcem przemówić, a Kietlicz był gotów mu go dać byle słówko rzekł ale—wojewoda popatrzywszy, rozmyśliwszy się, jakby go jakaś pobudka nieznana wstrzymała od tego kroku, już usta na pół otwarte przymknął zlekka, Kietlicza pozdrowił głowy skinieniem i konia swego podżegnawszy ostrogą, słowa nie mówiąc, wyminął go, puszczając się dalej gościńcem.

Kietlicz jeszcze stał czekając na coś, gdy już pułk wojewody, dwór, wozy przeciągać zaczęły. Z twarzy jego znać było, że mu szło w niesmak, iż się wojewoda nie wstawił za Zaborem — chętnieby się go zbył.

Z dobrej zaś woli puścić go tak nie uchodziło. Klnąc więc po cichu konia gwałtownie w bok zwrócił, i z głową spuszczoną za swą gromadą o kilkadziesiąt kroków nań oczekującą podążył razem z Berezą. Wyprzedzili ją zaraz i stanęli na przodzie.

Mijając Stacha Kietlicz popatrzał nań z ukosa ze złością, chciał może wywołać pokorne słowo, aby mu dać wolność i znajomego wojewodzie ziemianina nie ciągnąć z sobą, lecz Stach jakby nie rozumiał, głowę odwróciwszy stał niemy i obojętny.

Spotkanie z wojewodą i rozmowa z nim na usposobienie wodza wyprawy i jego towarzysza, źle jakoś wpłynęło, buta ich opuściła, twarze pochmur-

niały, stali się milczący, oglądali się po kilkakroć na pułk wojewodziński, mierząc go niespokojnymi oczyma.

— Ot, ot! jakieto wojska za sobą wszędzie pan wojewoda prowadzi!—począł, wpatrując się w pana i śledząc skutek swej mowy. — Czy się sam jeździć boi, czy chce, aby się jego obawiano? Niechajżeby wojewoda, bo na to on wódz, a tu niemal każdy z tych ich panków, władyków ma tyle ludu przy sobie, że i księciu ich na żołdzie utrzymać takiej mocy trudno, aby się im zrównała! Namnożyło się panów, namnożyło! Albo to mała siła w Tęczyńie, a u Leszczyców, a u Ciołków, a u Bogoriów, u Cholewów i... kto ich tam policzył... Pełne śpiczrze broni; jak zechcą więcej jeszcze uzbroić, kto im za broni?...

Kietlicz nie odpowiadał nic, Bereza prawił dalej, cmokając.

— Hej, panku, paneczku! jak sobie człek pomyśli o własnym księciu, aż strach! Jak im to rady dać? Bo to wszystko z biskupami jeszcze za ręce się trzyma.

— Eh! — rozśmiał się Kietlicz szydersko — eh, głupiś! radę im damy, a no nie odrazu... powoli. Niektórzy też z nami trzymają, jak oba z Tęczyna. Od małych też bić poczniemy, przyjdzie na starszyzną kolej.

Bereza, człek napozór prosty, chytrą siłą może pana swojego przechodził.

— Miłościwy panie! — począł, kręcąc głową i uśmiechając się — ja to tam chłopisko jestem i rozumu mam niewiele, ino to wiem, że jak stado zdzi- czeje a zechce je człek wziąć znowu pod bież, nie od cielat i krów poczynąć musi, a od byków co idą przodem. Za temi trzoda pociągnie.

Kietlicz odwrócił się ku niemu zdziwiony, roz- śmiał się na całe gardło, ale nie odpowiedział nic.

Noc tymczasem nadchodziła, piękna, gwiazdzi-

sta, spokojna noc wiosenna. Na ciemnym tle niebios zdala rysowała się czarna góra, na której stał gród, wież parę i kościelne krzyże. Dolem miasto ukryte w drzewach i ogrodach całe tonęło w gęstym mroku, tylko gdzieś w pośród cieni, czerwone, jak gwiazdki zakopane, przyświecały domostw okienka. Chłodem wieczornym wiało od rzeki i doliny. Weselość dawna zupełnie jadących opuściła, gromadka skupiona postępowała w milczeniu, kiedy niekiedy tylko z wozów, na których więźniowie leżeli, jęk lub westchnienie słyszeć się dawało, skrzypienie kół i wymierzony chód koni.

Stach jechał zadumany, nie bardzo strwożony, rozpatrując się swobodnie po okolicy i więcej zdając się śledzić co go otaczało, niżeli się zajmować sobą.

Gdy uwaga straży odwróconą była od nich, albo głośniejsza rozmowa jej dozwoliła, pochylał się ku wozom i po cichu jeńców rozpytywał, którzy mu półgłosem o swojej biedzie rozpowiadali.

Nie bardzo na to zważali dozorca.

— Dobrej myśli bądźcie — mówili do powiązanych. — Co u licha! głowy nam nie zdejmą z karku, a no mieszkaniem trzeba będzie przypłacić.

— Juści! juści! — mruczał jeden — my te sądy książęce dobrze znamy, jam już pod nimi bywał. Nie ujdzie z nich człek całym, nie opłaciwszy się. Kiedy się na siedemdziesiątej skończy, jeszcze Bogu dziękować.

— A jak siedemdziesiątej niema czem płacić? — wtrącił inny — to co?

— No, to ci wezmą i bydło i stado i barcie, aż do zgła, jeżeli je masz; na to rady nie szukać. Daj, choćby gardło.

Tak po cichu gwarząc, już i na zamek wjeżdżali.

W niektórych oknach na Wawelu świeciło jeszcze z po za okiennic pozasuwanymi przez szpary,

kilka z nich stało otworem i czerwone światło z nich się dobywało.

We wrotach straż chodziła, po wałach też snuli się wartowni. Spokój wielki panował na grodzie, martwy jakiś i straszny, jakby ztąd wszelkie życie uciekło.

Kietlicz Berezie coś poszeptawszy, sam przodem, konia sparsłszy, podbiegł ku skrzydlu dworca, około którego kilku ludzi wybiegających pośpiesznie na spotkanie widać było — zsiadł i zniknął.

Wozy z więźniami zawróciły na prawo, po za kościół, w głąb podwórców, ciągnąc ku ciemnym szopom, przy których się zatrzymały. Tu pobudzono czeladź, pacholkiwie poczęli wychodzić na wołanie Berezy i wozy otaczać. Jednooki z konia zsiadł i zaczął wydawać rozkazy, co z jeńcami czynić miało, rozdzielać ich różnie.

Więzień, ciemnie i kar rozmaitych nie brakło na zamku, gdzie od niejakiego czasu na więźniach i pozamykanych ludziach nigdy nie zbywało. Pacholków też do obsługi przy nich było poddostatków. Z wozów spędzać i ściągać zaczęli pobranych, dzielić ich i gnać na wszystkie strony.

Stach, nie zsiadając z konia, na los swój czekał, ale nim się weale nie zajmowano.

Czeladź, zobaczywszy na wozie zabitego niedźwiedzia, naprzód się tłumnie zbiegła do niego, radując się zdobyczą, rozpytując, targając za łapy i uszy.

Tymczasem więźniów po parze, po jednemu, popychając kijami i kulakami, pędzono do szop i komór.

Pacholkiwie z pozapalanymi oszczepami stali we drzwiach, spierając się z sobą i znęcając nad biednymi, z których wielu już wprzód potłuczonych i zbitych, ledwie się wlec mogło.

Dla Stacha widok to był bolesny, ale ciekawy. Nigdy tak z bliska nie widział gospodarstwa Kietliczowego, o którym się nasłuchiwał wiele. Przemyślał

właśnie, co z nim w końcu uczynią, gdy kolej nań przyjdzie, ale popychany, znalazł się nie wiedzieć jak zupełnie sam z ludźmi swojemi po za taborem i za strażą. Żegieć sługa jego wierny i czeladź ręce mieli wolne, w oczy mu patrzyli, czekając skinięcia. Jakby naumyślnie zdali się o nim zapominać, a że Stach zrazu z miejsca się nie ruszał, ten i ów z drogi go spychał dalej, nikt ani nań spojrział, ani się o niego zatroszczył. Brano go może, iż jeźdźcą był, za jednego z przystawów.

Przychodziło mu już na myśl, że gdyby ręk nie miał splecionych, łatwoby mu było cofnąć się w ciemny kąt ku kościołowi, a może nawet i za wrota wydobyć. Widać, że tę samą myśl powziąć musiał Staszka wierny sługa, koniuszy jego Żegieć (od Żegoty tak przezwany), bo przyskoczywszy do pana, nie mówiąc nic, począł mu co prędzej ręce splecione rozwiązywać.

Uczuwszy ręce wolnemi, Stach z koniem w głąb cofać się począł, czemu nikt nie był na przeszkodzie. Czładź go własna zasłaniała i otoczyła. Kietliczowi ludzie, będący na straży, wszyscy około szop i wozów mocno byli zajęci i Stacha, równie jak Bereza, z oczów stracili. Światło od łuczywa nie dochodziło daleko, otoczyła go ciemność nocna. Wszyscy więc razem cofnęli się, z koni nie zsiadając, ku wrotom, w których straż wprowadzić stała, ale ucieczki choć próbować było można. Stachowi się uśmiechała ta myśl dziwnie.

Żegieć milcząc ruszył przodem, starając się przemknąć jak najciszej, wszyscy ciągnęli za nim. Stach jeden oglądał się, czy nie gonią.

Nie było widać nikogo, słyszeli tylko hałas za sobą i krzyki a nawoływania tych, co więźniów do szop pędzili, a śmiechy czeladzi, co jeszcze się niedźwiedziem ubitym zabawiała, ustawiając go przy wozie.

Cofając się tak, bez przeszkody Stach dostał

się pod kościół, zdjął czapkę i przeżegnał się... Przed nim widać już było wielkie wrota zamkowe zaparte i straż z żelazcami na dragach, która około nich się przechadzała. W ciemności rozeznac ludzi, twarzy, nawet stroju było trudno. Żegieć na to pono rachował i niewiele myśląc, zuchwale wprost na wrota już jechał, sam przodem. Dotarł aż do straży, — a tu półgłosem, ale nakazująco wołać począł:

— Wrota otwieraj, słyszysz? pańskie rozkazanie! wrota dawaj! hej! Sam, a prędzej!

Stacha jakoś strach nie brał wcale i o mało się ze śmiałości swojego koniucha nie rozśmiał na głos. Żegieć nakazywał natarczywie i groźnie; a jak to najczęściej bywa, że wielkie zuchwalstwo popłaca, strażnicy rozespiani, posłyszawszy wołanie groźne i śmiałe, nie pytając więcej, rzucili się do wrót, poczynając je otwierać.

Stach jeszcze patrzył i słuchał rychłoli ich nagonią i kijmi może popędzą do więzienia, gdy już wrota skrzypały na wrzeciądach, otwarły się na wpół, a Żegieć nie myśląc czekać na drugą połowę, rzucił się w nie, wołając na swoich, aby za nim pośpieszali.

— Miłościwy panie, za mną! za mną!

Wpadli tedy wszyscy, jak w czarną czelusę, w bramę ciemną, w której z drugiej strony blade światelko niebios migalo, wskazując im drogę. Stach posłyszał mijające straże, jak klęły, że spokoju nie mieli po nocy z wjeżdżającymi i wyjeżdżającymi bez ustanku.

Za wrotami, ku dolinie się spuszczać zaczęły chłodniejsze obwiałło powietrze, ciasną drogą zjeżdżali ku miastu; Żegieć przodem pośpieszał, aby co prędzej minąć wawóz i wpaść w miejskie uliczki, gdzie już byli bezpieczni.

Śmiejąc się, Stach za nim podążał i czeladzi reszta.

— Bóg ci zapłać — rzekł do koniucha — boś ten rozum miał, którego ja nie znalazłem w sobie.

— A czegoż mieliśmy czekać, kiedy, Bogu dziękować, zapomnieli o nas. Musiałem ja rozum mieć, kiedy im go zabrakło! — odparł Żegieć wesoło. — W miasto! w miasto! Tu nas już nie pochwyca!

Ucieczka się tak powiodła niespodzianie, jakby na nią z umysłu przyzwolono; Stach był nawet tego przekonania, że nie wiedząc co z nim robić, a innych mając dosyć, dali im wolę. Jednakże nie bardzo się na to spuszczać było można, pogoń mogła wyniszczyć po obliczeniu się więźniów, uchodzić trzeba było co najrychlej z drogi i gościńca, a wpadłszy na miasto i przedmieścia, szukać sobie gdziekolwiek tymczasowej gospody, bo konie były zmęczone. Stach bywał często w Krakowie, ale poufałej znajomości nikogo tu tak dalece nie miał, do kogo by się o przytułek mógł zgłosić. Szukał próżno po głowie.

Ruszyli więc z Wawelu na oślep, pomijając ledwo większe ulice, w najciaśniejsze opłotki i ogrody, nie oglądając się na resztę ludzi, która za panem i Żegciem jak mogła podążała. O nich się frasować nie mieli potrzeby, bo czeladź była młoda, żwawa i roztropna, po drodze się więc pogubić nie mogła i rady by sobie dała zawsze.

Noc była późna i ciemna; na wypogodzonym niebie iskrzyły się gwiazdy, a rąbek jeden ku wschodowi już, jakby odbłaskiem zbliżającego się dnia bieleć zaczynał.

W uliczkach wąskich, któremi się przeciskali, spało wszystko, okiennice były pozasuwane, światła pogaszone, grobowa cisza panowała, przerywana tylko śpiewem słowików, które zawodziły pieśni po gęstych krzewach ogrodów i paniem kurów czujnych. Gdzieś tam z po za płotów i tynów, budzące się psy ujadają tentent posłyszawszy, a na

ich głos odpowiadające inne, wzdłuż drogi witały ich szczełaniem.

Nie wiedzieć gdzie się podziać było i co czynić z sobą, Stach już myślał, czy się nie rzucić za miasto kędy w lasy, albo tam dnia czekać, konie puściwszy na paszę i wymiarkować co poczynąć dalej, gdy w dali smugą jasną, szeroką światło się pokazało na drodze i trzy okna zobaczyli roztwarte szeroko, jak za białego dnia, z których, oprócz jasności, głosy się buczne i hałaśliwe dobywały.

Zbliżając się bardziej, ujrzeli na drodze około oświeconego dworku, stojące tu i owdzie przy płotach konie posiadlane, wozów parę i czeladzi dosyć leżącej na ziemi.

O tej porze to późne jakieś oczekiwanie w mieście było rzeczą niezwykłą, — zrazu też Stach się wstrzymał, nie wiedząc na co popadł, i chcąc zrozumieć co się we dworku tym działo. Pogrzeb to był, czy wesele?

Jechać miał dalej, czy zawracać? Nie pewien jeszcze, wahał się, gdy przysunawszy się dosyć blisko, z okien otwartych chwycił zaczął dolatujące aż tu głosy. Było ich tyle zmieszanych, że w początku, oprócz wykrzyków i zaklęć, nic nie mógł zrozumieć. Wkrótce jednak gwałtowniejsze wybuchy się uśmierzyły i pojedyncze głosy wyraźniej występować zaczęły.

Widocznym było, że się tu jakieś narady odbywały, z których wielkiej nie czyniono tajemnicy, mając dokoła roztawioną czeladź i nie obawiając się podsłuchania.

Z urywanych słów dorozumiał się Stach łatwo, iż tu jacyś ziemianie zebrani być musieli. Ten i ów występował z narzekaniem na złe czasy, z tem, że nigdy jeszcze tak ciężko nie bywało.

Gdy Stach zatrzymał się, Żegieć, który powodem był rozochocony i śmielszy, nie pytając pana, z konia się zaraz zsunął, dał go trzymać jedne-

mu z czeladzi i pieszo pod płotem przysunął się do śpiącej i spoczywającej służby, porozkładanej na ziemi przy koniach i wozach. Niektórzy gwarzyli i zabawiali się.

Zobaczywszy Żegcia przekradającego się Stach już pewny, że mu języka przyniesie, sam się zatrzymał, nie idąc dalej.

Jakoż nie wyszło i trzech pacierzy, gdy już Żegcieć rażno ku panu przyskoczył, spał się doń i zawołał:

— E, dobra nasza! toć to wszystko swoi! Miłościwy pan znasz dobrze Jaśka Bogorję; onci tu też jest. Pacholka jego Maćka widziałem pod płotem chrapiącego. On sam, jakom żyw! Tylko się wam między nich dostać, a tu już bezpiecznie, ci nas nie wydadzą.

Stach tedy z konia zsiadł i poszedł pieszo.

Jaśka Bogorję znał w istocie dobrze. Był to już naówczas bardzo możnego rodu syn, człek rycerskiego powołania, wesołego umysłu, najlepszego serca, ale wietrznik i szaleniec. Gdzie jeno gwar był, wrzawa, pijatyka, kości i zabawa, tam ino patrzeć, a pewno go znaleźć było można. Znał Bogorja Stacha jako Zabora z Przegaja, czy się domyślał, co się kryło pod tem przezwiskiem, trudno było zgadnąć—to pewna, że nigdy go o nie nie pytał, nawet o dawniejsze lata. Godzili się z sobą dosyć dobrze, choć Bogorja młodszy był a Stach poważniejszy i na oko nie byli do siebie podobni, przecie Bogorja bardzo rad z nim przestawał i czasem po całych tygodniach go u siebie ugaszczał, odpuścić nie chcąc.

Wprost do niego mógł się więc Stach udać, nie tając co go spotkać miało. Weisnąwszy się śmiało pomiędzy czeladź, wszedł we wrota, które stały otworem. Tu gwar jeszcze słyhać było większy, we dworku przez okna poroztwierane zobaczył gromadę wielką ludzi, po większej części poważnych, których znał ledwie z widzenia.

Zatrzymał się w progu, tu mu się człek służebny ze dwoma dzbanami w rękach nawinął.

Sięgnął do kieszeni Stach po pieniążków parę.

— Słyszysz, człeczce? — rzekł do niego — jeżeli Jaśka Bogorję znasz, daj mi go tu: jeżeli nie znasz sam, pytaj o niego.

Tych słów domawiał, gdy po za sienią u drugiego progu Jaśka posłyszał, głośno coś wykrzykującego, nie pytając więc poskoczył i za rękę go pochwycając, wywiódł do sieni. Ten z gębą jeszcze pełną śmiechu, zdumiał się niezmiernie gościowi niespodziewanemu.

— I ty? a to co? — zawołał.

— Chodźmy do sadu na słowo — odparł Stach.

Szli tedy razem w cień pod drzewa, a Bogorja nie śmiał się już.

— Widzisz, bieda mnie tu przygnała — począł Stach prędko. — Byłem w Sandomirskiej ziemi w jednym domu, gdy lieho tam Kietlicza o przewód przyniosło. Nie chcieli mu go dać, mało gródka szturmem nie zdobył; a gdy go puścili, dokazywał tak, iż broniąc gospodarza starca chorego, musiałem mu opór stawiać. Wziął mnie bestya związanego na zamek i aż do Krakowa przyciągnął, alem mu się po ciemku z Wawelu wyrwał, no, uciekłem. Gotowi za mną gonić, nie ma godziny, gdy się to stało. Albo mnie ratuj, a daj się gdzie przechować, a nie, to pójde szukać jakiej mysiej dziury, aby do czasu im z oczów zejść.

Bogorja go po obu ramionach rękami uderzył.

— A psu brat Kietlicz! — zawołał. — Szczęście, żeś się tu do nas dostał. Jest tu kupa ziemian, władyków, starszyzny, nie damy cię choćby przyszli, bywaj z nami! Chodź ino ze mną. W samą porę żywy świadek powiesz im, co Kietlicz dokazuje, on i pan jego już nam wszystkim kością w gardle siedzą.

Przecieśmy tu ojczyce, ziemia nasza, nie czyja! Trzeba radzić. Chodź ino!

Stach z Konar. T. I.

I ujawszy go pod rękę, pociągnął za sobą do oświetlonej izby, w której scisk i gorąco było niezmiernie...

V.

Z dawien dawna tak bywało, że gdzie się ziemian kupą zebrali, nigdy na wesołej myśli nie zbywało.

Sprawa sprawy nie tamuje, mawiano, naradziwszy się o rzeczach poważnych, choć rzadko się na nie kilku zgodziło, miód, wino, ba i piwsko proste wszystkich potem serca i umysły jednało. Dopiero przy kubkach zgoda wyśmienita rosła, a choć z niej czasem znów zniecka zwada wybuchała, byle trochę krwi sobie upuszczono, wracano w przyjaźni do dzbana.

Bez dzbana nie obeszła się ani rada, ani zwada. Dobrze to było, czy źle, dosyć, że serca rozgrzewać musiano; po miodzie w oczach się stawało jaśniej, w piersi swobodniej. Obyczaj to nie dzisiejszy a wiekowy.

I tu też, we dworku pana Leszczyca, który na swój czas obszerne był, a czy pan doma czy nie, za gospodę ziemianom służył zawsze, i jechał doń kto zamarzył — myśl panowała nader wesoła, zwłaszcza, że już nocy zostawało niewiele, na dzień się brało, mieli więc czas ludzie nagać się, pobratać, wyściścić, wyklócić i pogodzić.

Dnia tego pełno było, jak nigdy; zdawało się, że od gąszczy tej ściany się rozsada — ludzie ledwie się poruszali. Ław nie stało do siedzenia, niektórzy już legli na ziemi, inni się spoczywając mieniali, niektórzy na zimny piec wlaższy i nogi pospuszczawszy, bili niemi, aż glina z niego leciała. Siedzieli i na progu i na beczułkach prostych i na kolanach jedni u drugich.

Mówili, prawda, wszyscy razem, ale to nie nie wadziło, bo mało kto czego słuchał. Każdy mówił chciał i tego mu było dosyć, gdy się wygadał. Rozmawiali więc niektórzy podochoceni i w ten sposób, że jeden i drugi razem prawili, każdy co innego, a śmieli się oba, bo im jakoś na sercach lekko było.

W istocie zaś śmiać się tak bardzo nie było czego, gdyż nie lada o czym mowy były w początku i nie na lada co się w skutek narad zbierało.

Gdyby Kietlicz mógł być posłuchać o czym tu gwarzono, włożyłby mu na głowie powstały, tak pana jego i sługi nie szanowano.

A nielada ludzie zbierali się tu we dworku Leszczyca, choć po nich powszedniego dnia nie widać było tak dalece ani zamożności, ani mocy.

Byli to sami władcy, ziemianie, starych tutejszych rodów dzieci. ojcyce krakowscy, siwe głowy, jasne czoła, podnoszące się dumnie do góry.

Nie znajdował się tylko między niemi wojewoda Szczepan, którego na gościńcu spotkali, ale w jego miejscu starszy syn i młodszy brat gościli u Leszczyca. Obok nich Starżowie, Bogorje, Leliwy, Różyce, Ciolki, Gryfy, Kaniowy, Grzymały. Któż zresztą mniejszych i większych policzy. Wszystko to byli potomkowie rodzin, z których książęta musieli brać swych wojewodów, palatynów, sędziów, marszałków, podkomorzich, panów radnych, *Comitów*, — rodzin, których dzieci zasiadały teraz coraz częściej przed cudzoziemcami na biskupich stolicach, tych co naówczas kraj przedstawiali i myśleli zań, a prawie sami nim byli.

To co niżej stało, u pluga, na roli, nie mięszało się do niczego, a słuchać musiało starszyzny. Kmieć, by najbogatszy, choć się trochę sprzeczał i spierał, przecie woli swej nie miał, inne stany jeszcze skąpiej nią były obdzielone i służbę tylko znały. Choć który wolnym się zwał, w rzeczy nim był mało.

Książęta ze swym dworem, duchowieństwo, ziemianie a władcy, rycerstwo z nich złożone, stanowili kraj, reszta się nie liczyła, szła tylko jak na podściół, a miano nad nią tyle miłosierdzia, ile kościół, z nauki Chrystusowej czerpiąc ostrożnie, dopuszczał się litować.

Panowie ziemianie z duchownymi byli w najlepszej zgodzie, lepszej niż książęta, którym władza duchowna zawadzała. Owi więc władcy, co się w dworcu Leszczyca zeszli a naradzali, mieli na barkach całe ówczesne krakowskie, które od wypędzenia Szezołrego w ogromną butę urosło, jak duchowni we władzę.

Przez całą tę noc nie było prawie mowy wśród śmiechu i wrzawy, o czem innem, tylko o Mieszkum i zauszniku jego Kietliczu. Dali się oni już we znaki uboższym ziemianom, przychodziła kolej na potężniejszych, odgrzązał się książę, podsłuchano już niejedno słowo straszne i groźne.

Wiało od wawelskiego grodu jakby niewolą na tych możnych, co sami panami być już nawykliży, żadnej władzy znosić nie chcieli.

Gdy Jaśko Bogorja, za rękę wiodąc Stacha, wszedł do izby, do góry podnosząc dłoń i wołając, że ciekawego wiedzie gościa, którego posłuchać warto; choć wrzawa była okrutna, poczęło się uciszać naprzód w pobliżu Stacha, któremu się przyglądano, potem dalej coraz, dopóki i po kątach milczenie się nie usadowiło. Cisnęli się tylko ciekawi dokoła, rozpatrując w przybyłym, który choć z postawy pokątny, strojem nie bił w oczy.

— Co to za jeden? kto? z kąd?—pytali dalsi.

— Ziemianin z pod Spieymirza — zawołał Bogorja — jago dawno znam, rycersko dużo służywał po świecie.

Uderzył go po ramieniu.

— Tęgi chłop!

— Z kądże się tu wziął? Niech gada sam! — poczęli inni z pieca i z ław się odzywać.

Leszczyce gospodarz, który już częstując innych i sam sobie podochocił, człek siwy, wesołego oblicza, gościnny a uprzejmy, wraz kulek nalał, i nim Stach mówić zaczął, podał mu go.

— Naprzód sobie gardło i usta przepluczyć, aby mowa szła gładziej — rzekł wesoło.

Stach będąc i głodny i spragniony, przyjął chętnie co mu dano i do kropki wychylił. Przypatrywano mu się zewsząd, niektórzy coś szeptali między sobą, bo im się twarz przypominała, że ją kiedyś widywali.

— A no, praw! niechże gada! — nalegano niecierpliwie.

Stachowi miód koło serca rozgrzał, robiło mu się raźnie i wesoło, więc co miał boleściwie stękać na swą dolę, nastroił się do swych słuchaczów i wziął swą przygodę z uciesznej strony.

— Miłościwi panowie — odezwał się, usta ocierając — nie ma to znów nie tak rzadkiego a osobliwego w tem co ja mam opowiadać, pana Henryka z Kietlic małego kto nie zna, że to pan żartobliwy wielce a ucieszny, który podczas i skórkę gotów drzeć z ludzi, aby się pośmiać gdy piszczy.

Buchnęli niektórzy śmiechem wielkim.

— A no! a no, słuchajmy!

— Rzecz się tak miała: — ciągnął Stach — Miałem pewną sprawę własną do starego Ścibora ze Sciborzyc.

— Oh! — przerwał jeden — łatwo zgadnąć, pewno że się jego córki zachciało, a tego draba nikt nie dostanie, choć dziewczka hoża, ale z niej żołnierz, nie żona.

— A no, niech praw! — wołali inni — dajcie mu gadać!

— Nie po dziewczkiem ja tam jechał, bo mi to nie w głowie — odparł Stach — stara sprawa, inna powiodła mnie. Ścibora zastałem, jak on już pono oddawna, niemocą złożonego i z pościeli niewstającego.

— Stary jak świat! — wtrącił ktoś.

— Gdy my z nim gwarzemy, a bramy słyhać łomot. Krzyki, lud się zbiega z gródka, myśleli, że zuowu Połowce czy Ruś nadchodzi, wrzawa, hałas, aż strach; stary mnie do bramy kazał — pobiegłem. Pod wrotami Kietlicz stał i rwał się je tłuc a wybić, że mu ludzie we wsi przewodu odmówili dla jego czeredy. Ściborzyce są już na Kaźmierzowej dzielnicy w Sandomirskiem. Patrzę, gdy Kietlicz z koniem skaczę, a klnie i odgraża się.

Kazał go Ścibor puścić. Wpadli na zamek jak do zdobytego grodu, dawaj przewód, obroki, strawę, a łają, a grożą, a biją. Wieźli z sobą ziemian, kmieciów nabranych po drodze z chat, po gościńcach, po polach, powiązanych, zbiedzonych aż strach.

Ścibor odczepnego dawać kazał co zażądają, aby się zbyć. Mało było wszystkiego. Ledwie nahałasowawszy wyszedł Kietlicz od chorego Ścibora, zamknięto drzwi, bo zaniemógł gorzej stary. Począł się do nich dobijać, a jam stanął wehodu bronić, więc i mnie ziemianina obcego wiąź i prowadź pod sąd na zamek.

— A psubrat! — zawołał któryś z tłumu. — Zapłaci mu się za to!

— Dostałem się i ja w jego łapy — kończył Stach — a com się po drodze napatrzył, włosy na głowie stawały. Byle za co ludzi chwyтали. Niedźwiedzia jeden ubił, co mu barcie i pola psuł, wnet go pod sąd chwycili. innych pobrano, że się wygadać nie umieli co zacz byli.

— Toć to powszednie rzeczy! — dodał inny.

— Dostałem się tedy na Wawel, na zamek, a tu ot, sam nie wiem jak się stało. pakując innych do ciup, o mnie zapomnieli. Staliśmy, stali czekając. aż mi sługa mój ręce rozwiązał, no, i pojechaliśmy do wrót. Stać się uprzykrzyło. We wrotach kazaliśmy otwierać, otwarto, my i konie i ot, zbiegłem tu do łaski waszej.

Poczęli się śmiać.

— Dobrześ uczynił!

— Byle w pogoń nie puszczili się., — zawołał któryś.

— To się na strych schowa, albo do szopy! — odparł Bogorja. — Kietlicz tu pomiędzy nas nie wlezie, nie byłby bezpieczny od kulaków! ma on węch, tam gdzie oberwać można, drugich posyła.

Mówili jeszcze, gdy w uliczce tentent posłyszano — wszyscy zaczęli wołać — ot i pogoń macie! Bogorja z Leszczycem zabrali Stacha do komory — zniknął.

Inni oknami poczęli wyglądać, poświstując.

Dnieć już poczynało, choć słabo, w uliczce postrzegli konno jadącego jednoookiego Berezę, który z kilką pachółkami za sobą przybywał. Stanął przed dworkiem, ale postrzegłszy gromadę wielką ziemian, nie śmiał iść między nich, a w początku i pytać nie chciał. Oglądał się dokoła, potem obrócił się do czeladzi przy koniach stojącej.

— Nie jechał kto tedy?

Czeladź zmilczała, ale z okien podweseleni krzyceć zaczęli.

— A no! jechał na srokatym koniu mnich z dziewczyną! Czy tych szukacie?

Drugi poddał:

— Jechał dyabeł na krowie, nosem do ogona, trzymając się chwosta. Czy tego wam trzeba?

— Jako żywo — prawil trzeci — jechał na świni Serb z Lużyc, poganiając pomiotłem, pytał o drogę do Budziszyna i Kietlic! Jedźcie za nim prosto, potem od se, potem ksobie. i jak strzelił w wilczą jamę!

Ślady szkapa zostawiła po drodze. nosem do dziecię.

Śmiano się do rozpuku z grubych tych żartów. Bereza jedynem okiem błyskał, trzęsąc się z gniewu i rękami zgrzytał. Drwiny z niego nie ustawały.

Ktoś inny poczał z za okna:

— Ja to tylko wiem, kogo szukacie! Posiuchaj-

cie mnie! Ja wam powiem. Jechał tylko co go nie stało palatyn Kietlicz dworno bardzo. Psiarzy miał z sobą dwudziestu, a na wozach świń. wieprzów i wszelkiej zdobyczy co niemiara. Ruszył wprost na Łużyce, jedźcie i wy za nim, to go napędzicie i słoniny dostaniecie!

Bereza już dłużej nie mógł wytrzymać, podniósł rękę z bizunem do góry, konia ściągnął i żeby zaciśnawszy, szybko popędził dalej. Poguano za nim śmiechami.

Choć to rozweseliło i tak podochoconych po odjeździe Berezy, poważniejsza myśl wstąpiła we wszystkich.. Młodzież się poczęła rozlać na siano i po domach dla spoczynku, kupka starszych została sama w izbie, Stach z Bogorją przyłączyli się do nich.

Wtem Wawrek Leliwa, mąż poważny. pomyślawszy i rozglądawszy się, iż płochy młodzieży a obcych nie było, począł mówić:

— Ot, czegośmy dożyli! Pęta nas ziemian czekają, pęta! Nie ma się tu już co okłamywać. Mieszek chce tu sam jeden sobie panować bez nas, hez duchownych i ziemian. Nas czeka ciemnica albo kłoc, a on sobie z Łużyc Kietliczów na wojewodów pościaga. Panowie ojczyce krakowskiej ziemi, trzeba około swej skóry radzić.

— A no—odparł stary Cholewa (brat tego, który niedawno biskupem był) — radzić trzeba, ino nie sierzdzisto, powoli. Jak my wszyscy ziemianie i ksiądz biskup z nami zaśpiewamy, że tego nie ścierpiemy, musi się książę miarkować.

— Jako żywo — przerwał Stach, który wśród ogólnego milczenia głos zabrać się warzył—ja, choć do ziemian krakowskich się nie liczę, przecie słowo rzec mogę. Mieszka starego znam z dawna. Człek to twardy jak kamień, nie zmoże go nikt, ani nawet biskupi.

Ufa w to, że szwagrów i zięciów ma po Niemczech i po całym świecie. chce mu się być więcej niż

królem nad nami. Wszyscy gardła damy, jeśli się tak pociągnie, nikogo on nie oszczędzi. Gorzej to niż z Władysławem.

Śmiała ta mowa wszystkim usta zamknęła.

— Ino powoli!—odezwał się Cholewa — wyście młodzi w ukropie kapani. Myślicie pewnie tego się zbyć, a drugiego posadzić, albo to tak łatwa rzecz?

— Tośmy już przecie probowali — odezwał się Leszczye—gdy pana Władysława przegnano!

— A mało to krwi kosztowało? — podchwycił Cholewa.

— Dziś, że się ona nie leje? albo nie zabijają, nie sieka i niedrą ziemian ze skóry? — odparł Stach.

— Posłuchajcie mnie — odezwał się Cholewa — z tem naprzód potrzeba iść do biskupa. do Gedki. niechaj ojcowie duchowni poprobują i pogrozą.

— Tych on się nie zleknie — wrzucił Stach, — Samem na uszy słyszał jak się Kietlicz odgrażał na duchownych, że i ich rozumu uczyć mają a posłuszeństwa.

— Co takie puste odgróзки ważą — odparł Cholewa!

— Zatem nie nie czynić i dać się ze skóry drzeć?— spytał Bogorja.

— Uchowaj Boże, coś się na to uradzi i poradzi—zawołał Cholewa—Kietlicz musi iść precz.

— Choćby tak i było—odezwał się Stach — nie pomoże to wiele, bo Kietlicz nie z siebie to czynił

Zmłczeli trochę spoglądając po sobie, a tu dzień biały w okna zaglądał. Stach widząc, że niektórzy ze znużenia ziewają dłońmi się zastaniając, począł wnet, póki by się rozchodząc nie myśleli.

— Nie byłoby już żalu i sromu tego pana znoś z Kietliczami, gdyby jego jednego mieli, a innego na podoręczu nie było. A tu—obok, tuż, jak ze złota ulany siedzi pan, co go zda się umyślnie dla naszej szczęśliwości Bóg stworzył. My białe kołacz mając, suchar spleśniały gryziemy.

-- He? co?—zakrzyczeli drudzy—gdzie! o czym mowa? Kędy kolacz twój?

— Któżby inny miał być, jeśli nie Kaźmierz — dokończył Stach.—U niego rozum i serce, praw jest i miłosierny, wszelakiej cnoty pełen. Jemu się dostało na szmatce ziemi siedzieć gdzieś w kącie, a nam trzeba Mieszka znosić z różgą żelazną! Ot dola jego i nasza!

Zamilkli znów wszyscy, tylko Bogorja gorętszy poparł.

— Pan dobry, miłosierny, ludzki bardzo. Boga się bojący—a no, niewiem, czy gdyby my go chcieli, on nas zechce.

Już za Kędzierzawego prosił go Jaksa i Światosław i drudzy, klęczeli i błagali, aby Kraków brał. odpowiedział, że jako żyw, bratu krzywdy nie uczyni,

— Bał za Kędzierzawego!—przerwał Stach—za Kędzierzawego całęco innego było, to i książę Kaźmierz sam poczuje. Tamtego jedni bili, drudzy nie, a pan znośny był i na ziemian się ogładał:

— Prawda — dodał Leszczyc — Kędzierzawego z Mieszkiem nie równać. jakby nie jednej matki dziećmi byli. Tamten i słodkim pod czas umiał być, ten ino grozę zna, więcej nie, ale Kaźmierz jak na tamtego isć nie chciał, tak nie pójdzie i na tego. Przecie po śmierci zaraz prosili go i niedoprosili się, nie chciał przed starszym miejsca zabierać. Kruk krukowi oka nie wykole, brat nie pójdzie na brata.

— Co? brat! brat! — zaśmiał się stojący z tyłu żartobliwy zawsze Chmara, stary ziemianin, który zwykł był ze wszystkiego przedrzwiewać — książęta krewnych nie mają *). Widzieliśmy przecie, jeśli nie my, to ojcowie nasi, jak na siebie nastawali i oczy sobie łupili.

*) Principes non egunt sognatis; w przypisku do kodeksu Eugenjuszowego Kadłubka, stoi to jako polskie przysłowie.

Jedni się uśmiechnęli, ziewać już poczynali drudzy, nastąpiło milczenie znowu. Dzień się wielki robił, od zamku i od świętego Michała słychać już było dzwonki kościelne. W uliczce pastuch miejski, który zbierał bydło, aby je gnać na paszę, trąbił w róg, oznajmując o sobie. Zwolna otwierały się wrota domostw i krowy rycząc szły do gromady. Rozmawiający znużeni bezsenną nocą zabierali się rozechodzić, kto spoczywać inni jechać po domach, lub szukać kąta, aby nocną zabawę wydychać na sianie.

Bogorja też kołpak z kołka na ścianie zdjawszy gotował się wychodzić, Stachowi dając znaki, że go z sobą zabierze.

Już mieli żegnać gospodarza i precz isć, gdy Leszczyc się z ławy podźwignął, idąc do Stacha.

— Możecie u mnie jaki dzień przesiedzieć — rzekł—i nie wylazić na ulicę, dopóki o was nie zapomnę. Zostańcie tu lepiej, komorę wam dam dla spoczynku, a może też i nie zmarnujecie czasu u mnie, zdacie się wy nam, my wam. Pogadamy o Kaźmierzu.

Ostatnie słowa wyrzekł ciszej i tajemniczo jakoś. Stach posłyszawszy to, Bogorji zaś na ucho szepnął i został. Rozechodzili się wszyscy. Konie gości już dawno z Żegciem były pod szopą u żłobów. Leszczyc do komórki od ogrodów zaprowadził Stacha na posłanie i rzekł mu krótko.

— Teraz sobie wypocznij, pomówiemy później o naszej sprawie.

Zmęczonemu długą jazdą miło było móżdż się wyciągnąć na sianie i skórze, oczy przymknąć i snu próbować. Złamany był na ciele, ale w ciągu tych dni kilka różnych rzeczy zakosztowawszy, pragnął więcej jeszcze, potrzebował się też z pamięcią obrachować i tem co czuł, a przeżył więcej niż snem pokrzepić. Ochota do czynnego jakiegoś zajęcia, przejmowała go, rzeczy się dlań pomyślnie składać zdawały.

Dziwną ten Stach naturę miał, choć lata i przygody znacznie ją już ukołysały i przytarły; gorący

nad miarę, gdy sobie w łeb wbił ćwiek jaki, nikt, ani on sam nawet już mu go z niej dobyć nie mógł. W innych ludziach lata tępią co przyostre było, chłodzą co za gorące, w nim się wszystko zdawało zaostrić jeszcze i rozpalać z latami. Tak dla sprawy księcia Kaźmierza nietylko nie obojętniał i nie ocieęzał, ale coraz stawał się gorliwszym. Zdało mu się, że właśnie teraz przychodziła chwila najpomyślniejsza, aby go na stolicę wprowadzić. Cieszył się nie pomiernie, że on mały niewidoczny, pomoże do tego, podbudzi i wahających się napędzi. Snuł już teraz jak to zrobić, aby Mieszka co rychlej się pozbyto, a Kaźmierza wzięto. Ziemianie byli do tego przygotowani, wahali się tylko obawiając ofiar, trzeba ich było zagrzać i do stanowczego skłonić kroku.

W Krakowie przekonał się, krótszą chwilę goszcząc pomiędzy niemi, że choć stary Cholewa i inni ostyglejsi jeszcze się nad zmianą wahali, wojny, krwi i zamieszania lękając, młodszy i butniejszy codzień drażnieni przez Kietlicza, zżymali się niecierpliwi, pragnąc jarzmo zrzucić z siebie. Stach chciał żelazo bić póki gorące i z młodych korzystać, aby starych popychali. Sam los zdawał się mu sprzyjać, nastęrczywszy schronienie u Leszczyca i Bogorję do pomocy; ztąd jak z ogniska na wszystkie strony sięgnąć było można.

Dokąd się naprzód miał udać i jak poczynąć, rozmyślał właśnie. Leszczyc mu się dogodnym wydawał narzędziem, a dom jego najlepszym do wycieczek obozem. Bogorja mógł być pośrednikiem, inne znajomości łatwo się przez niego porobiłoby dały. Imię Kaźmierza już raz rzucone zostało i nie znajdowało oporu, trzeba więc było otwarcie go zalecać i jednać mu pomocników.

Z temi myślami płaczącemu mu się po głowie. Stach rozgorączkowany to się zdrzemnywał, to budził, a nie one jedne go trapiły marami swemi. Biedny człek, który imienia i przeszłości wyrzec się musiał,

nie miał gniazda ni rodziny, niewiast też nie znalazł takich, z któremi gdy się jednego dnia zrobi znajomość, drugiego się do nich nie przyznaje.

Piękne liczko Ściaborzanki śmiałej, dumnej, prawdziwej córki rycerza, utkwilo w jego pamięci dziwnie: prześladowało go przez drogę, nie dawało pokoju i teraz. Dziewka dlań była jakby z innego świata, rodem z niebios czy z piekła, podobnej i w swych włóczęgach po świecie nie spotkał nigdzie. Wzrok pogardliwy, lekceważący, nienawistny jakim na niego rzuciła, piekło go dotąd jeszcze, oczów tych zapomnieć nie mógł, widział je zwrócone ku sobie, paliły go, jak dwa węgle rozżarzone, padły jak dwa noże w piersi w bite.

Opędzał się tym myślom niedorzecznym, a wracały uparte. Marzył ci on też o niewiastach za młodu i później, ale zawsze o innych cale, o takich giętkich, miłych, łagodnych co się na ramiona wieszają, do piersi lgną, uśmiechają słodko, szepeczą cicho, a drżą i płaczą rade. O takiej dziewce królowej ani mu się śniło, ani by jej pożałował, przecie zobaczywszy, chciwym się czuł poznać ją lepiej i przybliżyć się do niej. Mówił już sobie, wziąłbym ją, choćby ona mnie potem, albo ją ją zabijać musiał.

Naprzemiany tak, to o dziewce myśląc, to o Kaźmierzu swym, to o tych oczach dwojgu co nań patrzyły z głębi ciemności same, bez twarzy, straszne, Stach w końcu snem usnął kamiennym. Tyśiące obrazów zwiły się w jakiś jeden zamęt straszny i zapadły w mrok nieprzebity. Spał potem już snem śmierci bez marzeń, bez czucia, bez miary i nie-rychłoby się był może z niego przebudził po znużeniu ciała i ducha, gdyby Żegieć nie poczał go targać a ciągnąć, gdyż pod wieczór już było i sługa lękać się poczał, czy się co panu złego nie stało.

Stachowi gdy oczy otworzył zdało się jakby ledwie tylko co usnął, spierał się, gdy mu Żegieć przez okno brzask zachodzącego słońca za krzakami

ukazał. Leszczyc też dawno już był wypoczał i na nogach, czekał na Stacha, kilku już starszych mając znowu w goście. Prędko więc zerwał się rozespany i z pomocą sługi umył i przyodział, aby czasu marno nie tracić. Dziwno mu tylko było, że sen co miał pokrzepić, gorzej go jeszcze złamał i znużył. Czuł się po nim zbity i osłabły.

Wielka izba, do której wszedł, po wczorajszej w niej ciżbie, wydała mu się prawie pustą. Leszczyc jeden chodził po niej, Cholewa i Leliwa siedzieli za stołem, dwu na uboczu w kącie szeptali coś ławę zajmawszy.

Stach począł się tłumaczyć, iż zasnął tak długo, uśmiechano się nie dziwując. Gospodarz kazał podać jeść, bo sen głodu przysporzył, nie mówiono zrazu nietylko o małych sprawach, a jak się wczoraj zabawiano. Dopiero gdy się służba rozeszła, zostali sami, Leszczyc zagaił.

— Wczoraj rzekliście słowo, pewnie nie na wiatr — odezwał się do Stacha — utkwilo ono w pa mięci u nas. Znacie wy bliżej księcia Kaźmierza niż my? mówiliście z naprawy czyjej czy z siebie?

Tu, że się nań wszystkich oczy obróciły i utkwily w nim. Stach zarumienić się musiał, zmieszał, oczy spuścił, uląkł czy się czego nie domyślano. Przyznać się nie mógł kim był, kłamać dobrze nie umiał, musiał więc wywijać ni tem ni owem.

— Księcia Kaźmierza znam dobrze — odezwał się. — Czasu swego byłem u niego na dworze, a choć zdala stałem od osoby pańskiej, toć się zdaleka często lepiej widzi niż zblizka, gdy oczy są olśnione. Znam go sam przez się i przez ludzi. Zreszta, miłościwi panowie, mało to, że ja go znam, mnie się zda, że go wszyscy znają.

Z całego potomstwa Krzywoustego, nie było nad ich dwu najmłodszych, jak perły w koronie, siedzieli oni w rodzie swym; nieboszczyk Henryk złota dusza, rycerz pobożny, który się w ojca wdał, a no mu Bóg

długiego nie użyczył żywota, i oto ten nasz Kaźmierz, co bezdomnym był, jak sierota się tułał, w niewolę był oddany przez braci, a wyszedł z niej i z rąk Niemców, jak złoto z ognia.

Dość powiedzieć, że go nieboszczyk Henryk kochał, to starczy za wiele pochwał, a przyszloby go zalecać, nie wiedzieć od czego poczynąć, na czem kończyć.

Teraz tylko dodam, że co mówię, z nieczyjej naprawy nie jest, ale z własnego serca.

— O! o! — przerwał Cholewa — coś boście się wy w nim do zbytku może rozmiłowali.

— Ja? — odparł Stach — miły panie, jednego nie ma, coby znając go nie miłował!

W tem Leliwa milezący dotąd, ozwał się kręcąc wąsa.

— Prawda święta, że pan miły, dobry, sprawiedliwy i pobożny, a no tak to dobry pan jest, że go łatwo źli ludzie poprowadzić mogą kędy zechcą.

— Nie! zaprawdę nie! — rzekł Stach gorąco — dobry pan złym się prowadzić nie da, a że go pociągnąć niełatwo mimowoli, najlepszym dowodem, że gdy Jaksa, druh jego chciał go prowadzić przeciw Kędzierzawemu, jemu i Światosławowi oparł się, odrzucił pokusę i większego panowania nie pragnąc, przy swoim został.

Pamiętał o tem, że go Bolesław wychowywał, że się miłowali, miłości tej został wiernym do śmierci nieboszczyka, który mu opiekę nad żoną i synem umierając przekazał.

Nie odpowiedział Leliwa.

— Kiedy tak — ozwał się Śreniawa — toć się oni z Mieszkim starym też kochają, siedział Kaźmierz i przy nim, nie zechce i przeciw temu iść pewnie.

— To pewna — odparł Stach śmiało — że sam przeciwko bratu nie wystąpi, ale gdy panowie biskupi i ziemianie gwałt mu zadadzą, posłuszny im będzie

Tu nie o niego chodzi, ale o ziemię wszystkie; musi je wziąć gdyby nie chciał, aby je wybawić od niewoli.

Spojrzeni po sobie starsi w milezeniu, głowami tylko dając znaki potwierdzające. Zeszli się potem do gromady i cicho, długo poczęli szeptać z sobą. Stach na boku pozostał, czuł, że ich przekonał, nie przeciwwili się więcej.

Po naradzie Leszczyc doń przystąpił.

— Co wy z sobą myślicie czynić? — zapytał Stacha — Kietlicz już was ma na oku, czy do domu chcecie jechać, aby zejść od niego?

— Doma ja nie mam co robić — odezwał się Stach. — Koło roli chodzić nie nawykłem, rycerstwem się i dworem parać za młodu, radbym u kogo służbę znalazł, przecie bym się na co zdał. Przy mocnym panu choćby i Kietliczowi zajrzeć w oczy strachu-bym nie miał.

— Niema dla was, chyba ks. Gedko biskup albo wojewoda Szczepan — rzekł Leszczyc — od tych was porwać nie będzie śmiało.

— Właśnie pan wojewoda widział, gdy mnie związanego prowadzono, cośmy go na gościńcu spotkali — rzekł Stach.

— Widział was? — spytano.

— Widział i Kietlicza o mnie pytał i więźniom się przypatrywał długo, ale nie rzekł nic, pomrukiwał coś tylko z pod nosa.

Rozśmiało się Leszczyc, a za nim inni.

— To jego obyczaj! — rzekł — z niego niełatwo co kto dobedzie, ale oko bystre ma i pamięć dobrą.

— Szkoda, że wyjechał, poszedłbym doń — dodał Stach.

— Niebawem powróci, sądzę — rzekł Śreniawa — poza Krakowem teraz długo bawić nie będzie, wie, że tu gorąco u nas i potrzebny nam a biskupowi.

— Tymczasem też u mnie macie gotową gospodę — dodał Leszczyc — nie nawijajcie się tylko Kietliczowym na oczy.

Stach ramionami ruszył.

— Miłościwy panie — odparł — choćby się do mnie uczepić mieli, ja skóry nie pożałuję, byłem się jemu i sprawom jego mógł zbliżka przypatrzeć. Kto na zwierzę polować ma ochotę, powinien długo wprzód nań nagładać.

— O! o! ochotę nań macie! — rozśmiało się Leliwa.

— Jak Bóg żyw, ogromną — zawołał Stach. — Toć lepsze niż na niedźwiedzia polowanie.

Rozmowa się przeciągnęła jeszcze, gdy ten i ów poczęł Stacha rozpytywać o Kaźmierza, o życie jego, o którym on nie rad był szeroko rozprawić, aby się nie zdradzić. W tem Jaśko Bogorja nadciągnął za druhem zatęskniwszy. W progu zaraz się z tem oświadczył, że radby go zabrać z sobą do miasta, bo o mroku nikt poznać nie może, a dobrej myśli razem zażyć chciał. Leszczyc przestrzegał, aby na Kietliczowych gdzie nie popadli, ale oba młodzi to sobie lekceważyli.

Nie broniono więc im uciechy i pod ręce się pobrawszy ze dworku poszli.

Bogorja w rynku mieszkał gospodą i tam przyjaciela ciągnął. Wieczór był już, ale nie noc jeszcze, lepsze oczy łatwo człowieka poznać mogły, na to jednak nie zważano. Uliczkami mniejszemi śmiejąc się i gwarząc ciągnęli ku rynkowi, gdy od strony zamku zatętniało i tuż w kilka koni jadący Kietlicz pokazał się za niemi. Chciał się Stach cofnąć do wrót których, ale już było zapóźno i wstyd uciekać przed zbójem, szli więc dalej ufając, że Stacha nie pozna, gdy jadący za Kietliczem nieodstępny Bereza krzyknął.

— Ot że on! ot on!

Kietlicz się odwrócił. Stach z Bogorją stanęli, a Jaśko zastawił się hardo na przyjaciela.

— To wezorajszysy zbieg! ten sam! — wołał pokazując Bereza.

Stach z Konar T. I.

Kietlicz na nich natarł z koniem żywo, ale zobaczywszy Bogorję, którego znał, strzymał się nieco.

— Ot on! — powtarzał natarczywie Bereza — ot on!

Stach nie chcąc się ukrywać ni zapierać, wystąpił śmiało.

— Al tyś tu! — krzyknął Kietlicz.

— A jam jest! albo co? — zawołał Stach.

— A jakoś to zbiegł wczora? — począł Serb.

— Ja nie zbiegłem jako żywo — zawołał Stach śmiało. — Stałem w podwórze zapomniany, aż się rozleźli wszyscy, a mnie samego zostawiono. Cóżem miał czekać? jechałem do wrót; wszakciby konie z głodu pozdychały, wrota mi otwarto nie pytając. Widzicie żem ani uszedł, ani się skrył.

Kietlicz śmiałością tą zmieszany, zżymając się, burząc, rzucając pono nie wiedział, co poczie, aż Jaśko Bogorja ufając w swój ród i znaczenie — krzyknął:

— Znacie mnie, miłościwy panie, otóż ja za niego stawię porękę. Jeśli zawinił w czem, toć go sądzić. Stawi się na sąd i ja z nim i niemało innych przyjaciół, bo on i ja ich mamy. Czego więcej możecie chcieć? Przecie o gardło nie idzie!

— A kto wam rzekł, że nie o gardło? — rozśmiał się dziko Kietlicz — albo to trzeba zabić lub gwałt zadać, by być karanym na gardle, a on ten — wskazał Stacha — porwał się na mnie!

— Nieprawda — odezwał się Bogorja porywczo — wyście się pierwsi na niego porwali!

— Jaj! ałem ja tam książęcą ręką byłem co wy się ze mną mierzyć będziecie! — zawołał z gniewem Kietlicz.

— No, to niechaj książę sędzi, czy tam ręka jego była prawa — odparł Bogorja. — Do sądu ja go sam dostawię i dziesięciu ziemian, jeżeli potrzeba!

Kietliczowi brwi się strasznie ściągnęły, wusa zakąsywał jak gdy złym był nad miarę. Sąd ten

i sprawa licha warta, były mu teraz nie na rękę, aby ziemian bez potrzeby nie drażnić, ale od poczętego cofać się nie było sposobu.

— A no! zobaczemy! na sąd! na zamek! — krzyknął — niechaj on stanie, stanę i ja, wyrok dadzą!

— A kiedyż się stawić? — zuchwale spytał Stach.

— Jutro! — odparł Kietlicz — na gród jutro! nie-dalej. Wy — odwrócił się do Bogoryi — wy mi za niego odpowiadacie!

— Odpowiadam i przyjdę sam, a przywiodego. Ma być sąd, niech będzie, zobaczemy jaka u was sprawiedliwość — rzekł Bogorja.

Kietliczowi pilno już odjechać było, cisnął okiem krwawem na obu stojących i na Berezę swego, na którego złym był może, iż mu niepotrzebnego napytał kłopotu.

Bogorja, aby go utrafić więcej, śmiał się głośno. Zaledwie kilkanaście kroków odjechali, gdy Kietlicz ku Berezie zwrócony, pięścią mu pogroził. Jednooki zrozumiałwszy to, łeb spuścił na piersi. Wiedział teraz, że chcąc bardzo usłużyć panu, na wspak mu uczynił. Stało się.

Tymczasem rozgrzany Bogorja copędzej do gospody szedł ze Stachem, aby mieć czas dziesięciu ziemian zebrać na jutro, i jak obiecał, stawić się z niemi do sądu na zamek.

Takie już było usposobienie wszystkich w Krakowie, iż każdy z ziemian chętnie się ofiarował za Stacha stawiać, aby Kietliczowi pokazać, że się go nie lekają.

Bali się go mimo to, lecz burząc i okazując niechęć sędzi, że Mieszka zniewolą, aby go precz odeśłał. Byłoby może naówczas starczyło odprawienie człowieka nienawistnego, gdyby w porę się stało. Książę jednak wcale nie myślał pozbywać najlepszego sługi, którego sam z dziecka prawie ułożył do

swych posług, który był w rękach jego narzędziem, żeż jakiego obejśćby się nie mógł.

Na Kietlicza zrucano wszystką winę, gdy on spełniał tylko co mu zlecono i szedł, jak rozkazano, nie troszcząc się o nienawiści, a ziemian krakowskich mając za obcych i wrogów.

VI.

Stoją wieki mury jedne, ni z nich cegła wypadnie, ni kamień do nich przyrośnie, przeżyją ludzi nieruchome, niezmienione, ale z niemi jako z gniazdem, w które się co wiosną inny ptak wnosi. Z nowym panem i gniazdo zaraz wygląda inaczej. Tak do grodu gdy nowy wnijdzie gość, wszystko się zda zmienione.

Na nowym grodzie Wawelskim mało kto co pod te czasy budował, przystawiał i lepił, przecie za każdym nowym panem, zdawał się on innym. Mrowił się inny lud, występowało życie odmienne, różne odzywały głosy, inaczej ludzie patrzali na mury i mury na ludzi.

Wiele już razy odmieniał się ów lud od Szczodrego. Za Kędzierzawego roilo się dosyć rycersko i ludno, a luźno nieco, wrzawliwie i nie smutno. Gdy ten zmarł, żonę i synka schorzałego przekazując Kaźmierzowi, a Mieszko potem zajechał na stolicę, zaraz się wszystko zmieniło.

Pan był wcale inny, do braci swej mało podobny; jeszcze za młodu Starym zwany, poważny, surowy, mało mówny, stateczny, swoje państwo noszący tak dumnie, jakby na króla był stworzony. Mi-

łości u ludzi nie miał on wiele, ale się go obawiali wszyscy, począwszy od żony i dzieci.

Spojrzawszy nań poznał zaraz każdy człowieka, któremu o pozyskanie sere ludzkich, nie wiele chodziło.

Z namarszczonem czołem, z długimi napuszczonemi na nie włosami chodził, patrząc z wysoka i nie rad się z nikim szeroko rozprawiać. — Słuchał cierpliwie, a wysłuchawszy, gdy swoje słowo rzekł, drugiego już nie miał. Co powiedział stać się musiało. — Prosić go i jednać było próżno.

Gdy na stolicę swą wjeżdżał, ziemianstwo krakowskie, które naówczas na cały kraj najbutniejsze było, zbiegło się go witać z pokłonami. Postrzegli zaraz w pierwszej chwili, że z tym panem nowym nie łatwa będzie sprawa. Hołdy przyjmował jako należne sobie, ale odpłacać za nie ani myślał. Rozkazywał, nie troszcząc się, czy mile będą rozkazy.

Wszystko co po Kędzierzawym tu zastał nie w smak mu szło, potrząsał głową, przebąkując.

— U mnie tu inaczej być musi. — Rozprzęgło się, nie cierpię tego!

Gdy rządzić zaczął, poznano, że nadaremno nie mówił. Duchowieństwo nawykło stawać na równi z książętą, wystąpiło śmiało do boku mu się cisnąć, przyjął je chłodno. Biskupi poculi, że ich chciał mieć pod sobą nie przy sobie. Szanował je, ale się z niem nie bratał.

Zmarł wkrótce jeden z pasterzy, nim drugiego obrano i zamianowano w Rzymie, książę dobra biskupie zajechać kazał, zajął i trzymał je, mimo wielkiego wrzasku i nacisku, póki z Rzymu potwierdzenie nie przyszło.

Ani się myślał z tego tłumaczyć. — Popłoch poszedł po wszystkich, i duchowni pierwsi na gwałt wołać zaczęli.

Z Mieszkciem przybywał Kietlicz, którego on z pacholećcia sobie na ślepego wykonawcę sposobił,

prowadził go tak po stopniach, próbując, puszczać, strzymując, podnosząc, dając mu coraz szersze pole, aż pewnym go będąc zrobił zeń rękę prawą. Poczęły się na zamku sądy surowe, napaści na ludzi bezłitośnie zalegało do koła.

Ziemiańskie się ode dworu przez ruszać zaczęły i zehodzić z oczów księcia. Myśleli, że weźmie to do serca, aliści nie pokazał, aby go to obeszło. Swóich zastąpił obcemi, ci jeszcze lepiej słuchali.

Poczęły się rozjazdy wielkie po wszech gościach pańskich urzędników, chwyтали podwody, ludzi, konie, kmieciów objadali; na skargę próżno iść było, bo kto z żałobą przyszedł, odchodził z karą.

Na zamku też teraz choć nie było pusto, bo pański i liczny dwór otaczał księcia—cicho wyglądało i grobowo. Mieszek się mało okazywał, zabawy nie lubił, na łowy jeździł sam, do rozmowy z sobą nikogo nie wołał. Przybył doń z biskupów który, sadził go poczestnie, słuchał obojętnie, zbywał pół słowem.

Ani go było rozgniewać ni zmiękczyć.

Kamiennym go zwali, chciał takim być i nie zmieniał się. Skarżono mu się na Kietlicza, słuchał, a potem jego nagradzał i wywyższał, a płacącym odprawę dawał, podniósłszy do góry czoło chmurne.

— Z mojego rozkazania to czynił—nie winien nic—tak ja chcę, tak ma być.

Od biskupich dworów popłoch popadł na ziemiańskie.

— W niewolę nas myśli zakuwać!—wołano — a no, nie damy się. Ziemiańskie sobie pana wybierać mogą, starszeństwo dla nas nie wiele waży. Poszedł ci Władysław ztąd, gdy nam krzyw był, może i ten pójsz gdy dokuczy.

Tak mówiono po dwerach, na zamku nie troszczono się wcale o pogroźki. Mieszek miał możnych zięciów i powinowatych, patrzył się na Niemców

i u siebie inaczej mieć nie chciał, tylko aby mu kto żył posłuch dawał.

Na grodzie codzień sądy się odbywały, żalób bywało mnóstwo, a i z ramienia książęcego do nich ciągnano nieustannie, grzywnami okładając za najmniejsze przewinienia.

Chciał pan grozy, wysadzeni sędziowie umieli ją siać, nie było człowieka coby z pod ich sądu wyszedł czystym.

Najwyższym sędzią na grodzie był podówczas człek, co się do dojadania ludziom jakby narodził umyślnie. Zwał się Gabryk Mierzwa; mówiono jakoby z ubogich ziemian na Szlasku pochodził. Dali go byli za młodu do szkoły biskupiej, na księdza chciał kierować, uczył się lepiej od innych, ale dokazywał też lepiej niż wszyscy i w suknię klesząc odziać go nie było sposobu, bo nim święceń dostał, dzieci miał kilkoro w domu i bab tyle na karku, że go biskup o to chciał wykłinać. Właśnie surowsze były dla duchowieństwa nastąpiły prawa, wzbraniające ożenienia i wszelkiego zgorzenia. Mierzwa wcale na nie nie patrzył. W kości też grał tak, że się do ostatniej koszuli zgrywał, a kiedy pił to go na rękach potem do łóżka zanosić musiano. Z tem wszystkim głowę miał taką, że mu żaden duchowny nie sprostował w kanonach, a żaden prawnik w kodeksach i dekretach. Jakim sposobem dostał się ów pół-klecha do Rzymu i Bononji, nikt nie wiedział, dość że tam lat parę przebywszy, nauczył się u tych co Rudobrodemu prawa układali takiej mądrości, iż gdy z nią do kraju wrócił, musiano go szanować i nim się posługiwać. Umiał na pamięć wszystkie rzymskie zakony, a gdy je po swojemu subtelnie wyklądać zaczął, wywodzić, naciągać, robił jak chciał z czarnego białe, a z białego czarne.

Na śmiech, gdy sobie podochocił, a podobało mu się z rozumem popisać, dowiodłszy raz cokolwiek bądź, wnet sprawę na nice obracał i jak począł mę-

drować, kręcić, kazał, że co wczora było prawdą, jutro fałszem być musiało.

Sumienia w tym czleku wcale nie było, ale rozum dostatek i frymarczył nim, aby zań grosz zyskać. Zarobiwszy grosz jeszcze ciepły w świat puszczał, potrzebował wiele, marnował dużo, więc na wszelaką podłość gotów był, aby tylko zarobek.

Przed księciem Mieczysławem, do którego Kietlicz go pierwszy zalecił, Mierzwa przybierał postawę człowieka surowego, spokojnego, pokornego, jakby postami i wstrzemięźliwością wysuszonego.

Słuszny był Mierzwa, chudy, nieco w lewo pochylony od młodu, bo łopatkę jedną miał niższą, głowę spiczastą, twarz bladą wygoloną, po której miał zwyczaj ręką gładzić ciągle, gdy o jakiej wielkiej podłości zamyslał... Oczu nigdy nie pokazywał nikomu, zerkał niemi tak, aby w nie nie mógł zajrzeć nikt. Rozpusta go zniszczyła i zjadła, ale tak jakoś dziwnie, że na anachoretę wyglądał, co mu bardzo było na rękę. Świętego mógł udawać wyśmienicie.

Gdy do zamku na sądy szedł postawę przybierał mniszą, oczy spuszczał, ręce składał, zginał grzbiet, głowę na piersi zwieszał, litość brała nań patrzeć.

U sądów też, choć ludzi żywcem jadał, zawsze kasał tak słodko, tak miłosiernie zabijał, tak karał serdecznie, jakby mu dusza się wzdrygała nad wymiarem sprawiedliwości. Nie nazwał nigdy nikogo inaczej jak dzieckiem swem, kochaną istotą, bratem, ojcem, ale gdy go ujął w szpony, wyssał ostatnią krewi kropelkę. Czy się tam było kłaniać, prosić czy bronić lub gniewać, napróżno; słodki a dobry Mierzwa nie uląkł się, nie zmiękł, westchnął, czasem zapłakał, ale świętej sprawiedliwości domierzył.

Na cztery oczy gdy go datkiem zmięczyć usiłowano udawał zadumanego, nie bronił się, co mu dano do kieszeni schował, ale nie zmieniał to wcale jego postępowania, dał ze skóry tego co go przekupił, tak samo lub gorzej jak tych co nie dali.

Spraw do sądu książęcego było zawsze co nie-miara, niekiedy sam Mieczysław siadał je rozstrzygać. Naówczas z innemi dworu urzędnikami stał u boku jego Mierzwa dla parady; częściej się jednak trafiało, że na niego samego spadało rozstrzyganie spraw i wydawanie wyroków.

Obok Mierzwy, w drugiej izbie tuż zasiadał skarbnik książęcy, który kary pieniężne odbierał od osadzonych, a do pomocy przy nim byli pacholkowię, aby kto zapłacić nie mógł zaraz, do więzienia pociągnąć.

Całe jedno na zamku skrzydło izby te sądowe zajmowały, do których przez kryte chodniki, gdy chciał, przystęp miał Mieszko. Oprócz tego, izba dlań była tak urządzoną, że mógł z za gęstej kraty drewnianej, okrytej zasłoną, gdy chciał, siadłszy u niej, słuchać co się na sądach działo i patrzeć na obwinionych. Mierzwa niby nigdy nie wiedział kiedy miał pana za sobą, ale bystry człtek, chwycił szelest najmniejszy, lada drgnienie zasłony nie uszło z ukosa rzuconego wejrzenia, a miał też ludzi co skinać umieli; aby wiedział, gdy książę był przytomny.

Naówczas sędzia stawał się jeszcze troskliwszym, pilniejszym w wymiarze sprawiedliwości, wiedząc jak do smaku pańskiego przygotować potrawę.

Następnego dnia rano, nad zdobyczą Kietlicza można się było spodziewać sądów i rozpraw ciekawych, bo ciemnice i szopy pełne były ludzi, którzy wszyscy stawieni być mieli.

Zawczasu też w podwórzu zamkowym ukazał się Mierzwa, w długiej sukni czarnej nakształt kleszej skrojonej, tylko bez kaptura, pasem rzemienym podpasany, u którego miał wiszący kałamarz i pochwę, a w niej zamknięty przyrząd do pisania. Wysoką szczególnego kształtu czapkę, podobną do zawoju czarnego, nakrytą miał głowę, ręce w szerokie rękawy pozasuwane, a chłopak za nim z krótko ostrzyżoną głową, na ramieniu dźwigał księgę

ogromną w drewnianych okładzinach, z klamrami mosiężnymi.

Straszemu temu ramieniu sprawiedliwości wszyscy ustępowali z drogi, obchodząc go zdaleka, bał się go bowiem każdy, nikt nie mogąc być pewnym, ażeby nie popadł w jego ręce. Ten i ów kłaniał mu się zdala i uchodził.

W izbach sądowych wszystko już było pogotowiu na przyjęcie, wymieciono je i posypano podłogę kosaćcem, bo ludzie zawsze tyle błota i pyłu ponosili, iż po skończonych sądach kupy śmiecia wyprzątać było potrzeba. Smutne to były izby, niskie, ciemne, ławami dokoła otoczone, a dla zaduchy w nich i przykrej woni, drzwi i okiennice ciągle stać musiały otworem. W pierwszej izbie trzymano obwinionych i skarżących się. Tu czasem tłum był taki, że się przecisnąć było trudno. Ztąd po jednemu, po dwu, gdy świadkowie byli potrzebni, przyprowadzano ich do trybunału.

W samym sądzie nieco pokażniej wyglądało. W głębi, na przypadek przybycia samego księcia, stało zawsze wysoko na stopniach podniesione siedzenie, obite suknem szkarłatnem, a po za niem ławy dla dworu. Niżej dopiero stała ława z poręczami dla Mierzwy i dla tych, których czasami do boku swego przybierał. Przed nią był stół wielki, a na nim krzyż czarny w pośrodku. Tu składano ową księgę praw przynoszoną przez chłopca i ewangelię dla przysięgi. Wielkiego owego kodeksu sędzia czasem się niby radził w razach trudniejszych, ale to była gra tylko, gdyż z pamięci tak dobrze kłamał i prawił, jak z księgi. Obok leżały długie zwitki pozszywanego z wąskich pasków pergaminu, na których kleryk chudzina, służący przy zamkowej kaplicy, dekreta w kilku słowach zapisywał znaczniejsze.

Gdy książęcia nie było, a sądy się przeciągały, Mierzwa znużywszy się wychodził czasami do trzeciej izby skarbnego, do której w rogu wiodły drzwiczki.

Tu balasami drewnianemi oddzielony od ludzi zasiadał człek stary, z siwą rzadką bródką i głową zaw sze czarną czapeczką okrytą, z nosem kobuzim, oczkami maleńkimi, jakby w głowie wyświdrowanemi. Zwał się Joachim, a że imię to niezbyt było powszechne, częściej go na Juchima przerabiano. Ludzie mówili, że skarbną był pochodzenia judzkiego, ale mu z tego nie czyniono winy, ani w głos zadawano, gdyż u księcia był w wielkich łaskach i u niego wszystek pieniądz był pod kluczem. Podskarbną był Niemir, zacny pan, ale ten pono tylko dla popisu czasem przed księciem stawał z workiem, bo Juchim w rękach trzymał wszystko.

Mówiono też, że skarbną bardzo się był już zbogacił, ale tego po nimcale widać nie było, cho dził ubogo, dominę miał lichą, żył w niej na rygle zamknięty, sam i oprócz księcia, podskarbnego, Kietlicza i Mierzwy, z nikim się nie bratał.

Sam przez się wszystko był zwykł robić, dla tego też na sądy przychodził, aby grzywny do rąk pobierać, nie spuszczać się na nikogo. Z Mierzwą jawnych a ścisłych stosunków nie mieli; prawiono jednak, że po nocach do siebie chadzali i długo jeden u drugiego przesiadywali. Gdy Mierzwa w sądzie się znużył gadaniem, bo mówić musiał wiele, dawał sobie czasem chwilę wypoczynku i wysuwał się do skarbnego. Postrzegali ludzie, iż od niego powracając, twarz zwykle bladą miewał, czasem zarumienioną mocno i usta ocierał rękawem. Domyślano się, iż Juchim pod płaszczem fłaszke nosił dla pokrzepienia siebie, z której po bratersku Mierzwie kapka się jakaś czasem dostawała.

W sądzie się wszystko z nader surowym odbywało obrzędem. Gdy Mierzwa przybył na swe miejsce, księgi, kałamarze, pergamin i kleryk także, gdy pierwsza komora wypełniła się ludźmi oczekującymi lub z więzień posprowadzanymi, Mierzwa naprzód kłękając przykładowie, ręce składał i przeżegnawszy się, mo-

dlitwy do Ducha Świętego i *Veni Creator* odmawiał, przy czem kleryk i pacholę responsoria dawali.

Potem dopiero zasiadał w pośrodku ławy blady mąż, oczyma rzucił w około, suknię pociągał, rękawy zarzucał, brodę potarł i dawał znak, że sądy się rozpoczynać miały. Było zaś we zwyczaju, że naprzód powoływano tych, których książę chciał mieć sądzonych, dopiero po nich szli, którzy przynosili żaloby i domagali się sprawiedliwości.

Dnia tego właśnie obłów Kietlicza, spędzony do pierwszej izby, na powoływanie po kolei oczekiwał. Sam Kietlicz i Bereza namiestnik jego, jako świadkowie, w izbie się sądowej znajdowali.

Pierwszy z nich zasiadał na górnej ławie za tronem u ściany, w której była krata przysłonięta, aby Mieszko mógł każdego czasu słuchać przez nią, drugi stał w kącie u drzwi wchodowych.

Kleryk blady i mizerny z długą szycją obnażoną, w rogu stołu pilnował oprócz pargaminu i piaskowego zegaru, który czas mierzył. Gdy się z niego ostatki dosypywały, przewracał natychmiast.

Gdy Mierzwa zasiadł, Kietlicz z górnej ławy dał znak, wprowadzono naprzód kmiecia, który niedźwiedzia ubił u siebie.

Człek był odziany jak do lasu, bo go niespodzianie pochwycono, trochę już wylękły, pomięszany, jednak nie tracący ducha, bo ufał, że mu się nie stać nie może.

Sprawa była jawna.

Mierzwa, naprzód uwiadomiony, jakby na szyderstwo przybrał postawę sędziuchną, usta mu się uśmiechały łagodnie, kazał się przybliżyć do stołu.

— Miły człeczko, kmieciu mój—odezwał się głosem miękkim—cóżecie to takiego się dopuścili, że was tu przed sobą widzę? Człkiem mi się wydajecie statecznym i spokojnym! Miałyżby mylić pozory?...
Kmieć jeszcze nie zebrał się na odpowiedź, gdy

z górnej ławy zabrzmiał głos Kietlicza, na swój sposób opowiadający przygodę. Mierzwa, zwrócony ku mówiacemu, słuchał z nategzoną uwagą, dając oznaki podziwienia, przestachu, grozy, litości. Ręce łamał, głową trząsał, ramionami poruszał, oczy ku niebu wznosił.

— Miły Boże! możeż to być!—zawołał, gdy Kietlicz dokończył—możeż to być, abyście się wy tak strasznej dopuścili zbrodni?

Kmieć (zwał się Ladra), słuchając, ruszył ramionami.

— Miłościwy sędzio a panie—rzekł—cóżem ja to tak straszno uczynił? Bronilem mojej własności. Świadcę się wszystkiemi, co w pobliżu mieszkają, iż niedźwiedź mi barcie ze szczerem popsował i gdyby na sobie dziesięć skór miał, nie zapłaciłyby one dziesiątej części szkody mojej.

Mierzwa, ręce załamawszy, głowę z ramienia na ramię przechylał.

— Miły, kochany kmieciu mój—odezwał się.—Nie przeczę, że czuleś się pokrzywdzonym, niebożatko! Barcie wiele warte, pole też trudu kosztuje dużo, słuszną bardzo jęła cię chęć powetowania szkody swojej.

Niedźwiedź winowajcą był, łupieżcą—zgoda! a ty—sędzią we własnej sprawie i sprawcą. Aleś się tu grubo omylił, kochanie moje! A możeż kto być sędzią we sprawie własnej, he? A kto ci miły, kochany człeczko, niebożatko moje, dał one najwyższe prawo i miecza? A wiesz że ty, dziecko moje, że targnąłeś się przez to i przywłaszczyłeś sobie władzę, którą sam Bóg daje w ręce książąt, że przez to stałeś się tak winnym, tak winnym, jakbyś nie na niedźwiedzia, ale na samego się porwał księcia! Dziwujesz się? Toć jak na dłoni!

Kmieć stał osłupiały. Subtelna ta argumentacja siły umysłu jego przechodziła; z usty otwartymi, drżący słuchał, bronić się już nie umiając. Brzmiało

mu jeszcze w uszach oskarżenie, niepojęte dlań, iż na niedźwiedzia się porwawszy, księcia samego znieważył i dotknął.

Mierzwa się uśmiechał zwycięzko.

— Przecie to jasne jak słońce — dodał. — Nie przysługiwało ci prawo karania bo nie jesteś księciem, miłe dziecię moje, sędzią też nie jesteś; stałeś się więc buntownikiem, znieważona powaga prawa wymaga surowego sprawiedliwości wymiaru. Serce boli, ale zbrodnia tak straszna bezkarnie ująć nie może. Występek twój równa się zbrodni obrażonego majestatu.

Tu głowę spuścił ku księdze.

— Bez wątpienia, surowym chcąc być, skazałby cię można na ścięcie, powieszenie, rozszarpanie końmi, bicie kołem, postradanie ręki lub kopanie kruszców życie całe. ale musimy mieć miłosierdzie nad nieświadomością twoją, litując się nad tobą, dziecię miłe, nie możemy mniejszej ci kary naznaczyć nad siedemdziesiąt!

Kmieć jęknął. — Siedemdziesiąt grzywien! — Zkąd miał wziąć tyle pieniędzy? Załamał ręce, rzucił się na kolana. Bereza usta zatulając, śmiać się począł.

Nie chciano już nawet słuchać winowajcy dłużej, pacholkiwie chwyciwszy pod ręce, natychmiast go do izby skarbnego poprowadzili, a że z sobą ani siedmiu grzywien nie miał i nie wiedział na razie, zkąd miał wziąć sumę tak znaczną, wkrótce go też pod strażą zaprowadzono do więzienia.

Mierzwa otarł pot z czoła, spojrział ku Kietliczowi, a we wzroku jego można było niemal przeczytać pytanie: — A cóż? albowiem nie dobrze usłużył?

Kmiecia wypychano już za drzwi, gdy drugiego ciągnął Bereza. Za nim z tyłu szedł parobczak krępy, niski, z głową wielką, na nogach grubych jak kłody, w siermiżkę dziwną przyodziany, bosy, w spodniach zgrzebnych, u dołu sznurkami słomianymi poprzywiązywanych.

Kmieć idący przodem zamożnego i śmiałego miał

postawę. Odzież na nim sukienna szykownie leżała, zgło pod nią widać było białe, na guz świecący zapięte pod szyją. U pasa kaleta wisiała skórzana, w rękę trzymał kołpak z lisa. Kmieć widać do swobody lasów swoich nawykły, wśród których sam był panem, rozglądał się tu zdziwiony swej niewoli i temu prawu, co go nagle dało w niewolę. Mierzwa przypatrywał mu się bardzo bacznie, jakby badał, z której go ma zejść strony i jak doń zaśpiewać?

Zuchwała postawa dawała mu do myślenia. Człek był już widać na wszystko gotów, byle go raz do jego lasów zwolniono. Szedł przed stół niecierpliwie, gdy Kietlicz z ławy mówić począł:

— Ten winien jest więcej jeszcze! O! kmieć zuchwały! Ludzi sobie w niewolę zabiera! Patrzajcie, wina jawna. Parobka oto tego, który tu stoi, wziął na służbę — he? jakim prawem? bez prawa, bez pozwolenia, — gwałtem!

— Jako żywo! miłościwy sędzio — począł kmieć oburzony — parobek tu oto jest, niech świadczy sam. Przyszedł do mnie na służbę się prosząc, wziąłem go.

Powołany parobczak zaczął wprowadzić coś belkotać, ale językiem takim i tak niewyraźnie, że nikt go zrozumieć nie mógł. Widać jednak było, że do swojego gospodarza żadnego żalu nie miał.

Mierzwa nastawił ucha, kiwał głową i udawał, że chwyta znaczenie belkotu parobka; uderzył ręką o stół i pogroził kmieciowi łagodnie.

— Miły, kochany czleku! dziecko moje — odezwał się — złą, ej! złą wybraлиście się drogą. Ta was nie zaprowadzi gdzie myślicie! A godziź się to targać na najdroższą człowiekowi swobodę! Toć kary najgodniejsza zbrodnia. Powiecie mi może, iż on wesółym nie był? Tem ci gorzej, kochanie moje, a więc miał pana, do którego należał! Pytaliście go? Nie. Targnęliście się więc na własność cudzą!

He! widzicie, darmo się wykręcać, nie wyjdziecie z tego. Wzięliście wolnego, zbrodnia! zabraliście

cudzego poddanego, rabunek! Żle i źle, ani wynijść z tego.

— Miłościwy sędzio... — począł kmieć, któremu krew na twarz wystąpiła.

— Miły kmięciu, ostrożnie — przerwał Mierzwa, nie dopuszczając tłumaczenia — ostrożnie! Przez miłosierdzie nad wami mówię to, patrzcie, abyście jakim słowem nieopatrznem sprawy sobie nie pogorszyli. Możecie popaść głęboko! Litość mając nad wami, po ojcowsku was tylko grzywnami siedemdziesięcią obłożę. Winnicie za to księciu, którego jesteście sługą maluczkim, do nóg upaść i podziękować, bo Pismo powiada, zakon głosi. prawo wymaga: oko za oko, ząb za ząb! Cóż z tego wynika? oto że wy coście tego nieboraczka, chudzinę chcieli niewolnikiem uczynić, sami winnicie za to pójść w niewolę. Tak ci jest!

Kmieć zamilkł pomieszany. Nie dało mu już ust otworzyć i popechnięto do izby Juchima, który przez drzwi otwarte ciekawie się przysłuchiwał sprawie. Siedział z głową na rękach spartą, poglądając ku roztwartej skrzyni, która przed nim stała, jak zwierz zaczajony na przesmyku.

Gdy kmięcia doń wprowadzono, drzwi się zamknęły.

Mierzwa, odpoczywając po drugim wyroku, rozłożył wielką księgę i cały się w niej zatopił, czekając aż mu nowego winowajcę przyprowadzą.

Bogaty kmieć, który już musiał zawczasu los swój przewidywać i co rychlej chciał się z więzów wydobyć, miał już gotowych grzywien siedemdziesiąt spełna, w wypchanej kalecie, która u pasa wisiała.

Na widok zbliżającego się, Juchim łokiecie ze stołu usunął i zmierzwszy go oczyma, chrypliwym, zgasłym głosem zapytał pacholków wiodących go:

— Siedem dziesiątna?

Kmieć na skarbnego popatrzywszy, westchnął

ciężko, kaletę odpiął, garść w niej utopił i dobywając srebrne pieniążki, liczyć je począł.

Lecz zaledwie się one ukazały na stole, Juchim porywając się za głowę, wykrzyknął głośno:

— Gwałtu! gwałtu!

Kmieć osłupiał, nierozumiejąc co się stało i ogłędając dokoła.

— Co to jest? — począł skarbný — a toć fałszerz pieniędzy!

Pochwycił kilka z nich, popatrzał na nie i cisnął, spluwając pogardliwie.

— Cóż—to? czy to są pieniądze? Cha! cha! to plewy, nie pieniądze! to skorupy z garnków potłuczonych! Takimi to pieniędzmi chcecie płacić panu swojemu?

— Na milego Bogal — zawołał kmieć strwożony — czegoż wy chcecie odemnie? Toć są pieniądze, któremi wszyscy płacą i każdy je przyjmuje.

— Ale ja ich nie przyjmę! — krzyknął żyd — to plewy! to śmiecie! to drzazgi, nie pieniądze!.. Patrz! gdzie na nich pieczęć państwa?... gdzie znaki?...

— Toć nie moja wina, ale tych co je bili! — zawołał kmieć zrozpaczony.

— Aha! aha! — zawołał Juchim — tu się dopiero odkrywa całe niepoczeiwe zuchwalstwo wasze! Obwiniecie menniczych, a to są z ramienia pańskiego urzędnicy! Ho! ho! Sprawa nowa, będziecie za to odpowiadali. Kto urzędników pańskich obwinia, pana obwinia. Hej!

Skinął na pacholków.

Kmieć przywiedziony do rozpacz, na wszystko się już ważąc, z błagającym wzrokiem zbliżył się do stołu, ale Juchim się cofnął od niego, ręce podnosząc. Gniew objął uciśnionego.

— No, niema ratunku! — zawołał zębami zgrzytając — róbcie ze mną co chcecie, drzyjcie skórę z żywego! Mówcie, co mam czynić?

Stach z Konar t. I.

— Co? dawaj coś winien!—odparł Juchim—dawaj coś winien! ja więcej nie chce!

— Płacę czem mam! odrzucacie, coś więc poradzę? Pieniądze te biorą i dają wszyscy.

Za drzwiami zamkniętymi co się już później z kmieciem działo, nikt nie widział; bolesne krzyki jego i miotanie się aż w izbie sądowej słychać było. Mierzwa i Kietlicz uśmiechali się, poglądając ku izdebce Juchima, z kąd ciągle szum, wrzawa i wołanie o ratunek dochodziło. Domyślali się wszyscy, że kmiecia męczono, bo kilku oprawców z powrozami i żelaznemi na ręce śrubami pobiegło do drzwi skarbnego...

Tymczasem nowa sprawa się przed sąd wytaczała.

Z wielkiem wołaniem ukazał się w progu człek rozczochrany i odarty, lat średnich, w odzieży poszarpanej, z nogami bosemi, zaledwie płaszczem obłocnym przysłaniając nagość swoją.

Na twarzy miał ślady świeżego pobicia.

Wpuszczony do izby, ledwie się dowlóklszy do stołu, upadł na kolana, jęcząc i szlochając.

— Zabili! zabili, rozbójnicy! patrzajcie! Spokojnego, niewinnego człowieka napadli w biały dzień na ulicy. Aj, gwałt! zabili.

Z mowy żalącego się, rozerwanej, niewyraźnej, szlochaniem gwałtownem przerywanej, zrozumieć nie było można. Wtem wystąpił inny ode drzwi człek w czarnym płaszczu, z brodą długą, wzrostu słusznego w śpiczastym kapeluszu z żółtą łatą na wierzchu, i ręce rozkrzyżowawszy, zaczął wołać, jakie się działo pod bokiem pańskim bezprawie, iż biednego człeka żaki szkolne potłukli, nie żeby im w czem winnym był, ale że w nim żyda czuli. A książę sam i jego i innych współwyznawców gościnnie u siebie przyjmował, opieką ich swą okrywał.

Do drzwi pachółkowie przypędzili kupę chłopaków wylekłych i postavili ich sędziemu; ci tak byli

przerażeni, iż słowa nie mogli przemówić, wielu płakało. Biedactwo to było, z garnuszkami u pasa, żyjące jałmużną dla nauki, służące przy kościołach i zakrystiach, przybłądy, bezdomne sieroty.

W całej naówczas Europie wojny krzyżowe wywoływały podobne na żydów napaści, w Niemczech krwawe, bo tam Ren nieraz płynął trupami, a rynki pełne były ciał pobitych.

Tu Mieszek żydów w opiece miał, Juchim za niemi obstał. Mierzwa też, rozsluchawszy się w sprawie, ze zgrozy uszy zatulił.

Zabitego nie było nikogo, żacy tylko z namowy starszych, suknie na biednym żydzie poszarпали.

— Świętokradzcy są! — krzyknął sędzia — tak jest świętokradzcy! Albowiem kto gościa pańskiego, któremu sam książę dał opiekę i płaszczem go swoim otulił, napada i targa się nań, ten jakby na pomazańca Bożego się targnął. O, zbrodni straszliwa! niewysłowiona, o pomstę do nieba wołająca! A to popelnili ci, co zaledwie żywot rozpoczynają, coś tedy uczynią, gdy dorosną?

Z wielkim zapalem puścił się sędzia w długi wywód popelnionego świętokradztwa i byłby srogie wydał wyrok, gdyby starszy ów człek, co w obronie pobitego stawał, nie zmiarkował, że zbyt surowa kara za żydów domierzona, mnożąc ku nim nienawiść, na nich samych spaść może.

Cicho więc jakoś zagodzono ją i pobity, nogi wlokąc za sobą, jęcząc i płacząc wysunął się razem z obrońcą, a chłopaków zabrali pachółkowie.

Znowu tedy nastąpiła chwila odpoczynku dla umęczonego sędziego, który ku drzwiom skarbnego się oglądał, jakby tam pragnął zajrzeć, lecz dochodzące jeszcze ztąd krzyki dowodziły, że sprawa z kmieciem upartym o pieniądze jeszcze skończoną nie była. Mierzwa ani się do niej mieszać i świadkiem jej być nie chciał.

Po chwili wypoczynku, wprowadzono człeka

dobrze odzianego, z twarzą okrągłą i spasłą, który od tego począł, że zdala siedzącemu Kietliczowi pokłonił się nisko, potem Mierzwie niemniej głęboki złożywszy pokłon, nie pominął w poszanowaniu nawet kleryka. Ten do odbierania pokłonów niezwykły, dłonią usta zatulając, uśmiechnął się, widząc się tak uczczonym.

Rażna mina wchodzącego, który tak pięknie kłaniał się na wsze strony, kazała się domyślać, że chyba obwinionym nie był. Kietlicz też spoglądał nań bardzo łaskawie. Mierzwa trąc brodę, uśmiechał mu się i okiem pomrugiwał. Tuż za nim wciągnięto opierającego się, związanego, bez czapki, z rozczochranemi cudzemi rękami włosy, człeka który stękał i jęczał.

— O, Boże mój miłościwy! o, święci pańscy! ratujcie!

Usłyszawszy to Mierzwa, ulitował się niby wielce, ręce złożył.

— Biedny człeczku! — zawołał — a cóż to ci jest? a czegoż to tak jęczysz nieboże? Mów a prędko, aby prawica książęca domierzyła ci sprawiedliwości, jeżeli jesteś pokrzywdzonym. Na to ja tu jestem wysadzony, na to władza książętom dana od Boga, aby zakon trzymali. Mów, kochanie, nie sromaj się, rozkryj serce, otwórz usta i ulży uciskowi swemu...

Jęczący człek miał się już odezwać, gdy pierwszy, który był wszedł przed nim, uśmiechnięty i kłaniający się, nie dał mówić i sam pochwycił:

— Miłościwy panie! (tu wskazał na związanego obu rękami) toć zbój jest, złodziej jawny! Krów mi moich dwie z cielećkami skradł i w swoim chlewie zamknął. Nieszczęśliwy, pokrzywdzony tracąc ostatnią chudobę, rozpaczalem! Myślałem że wilec rozszarpali żywicielki moje, że mi z głodu przyjdzie zdychać z drobnemi dziatkami, gdy mi dano znać, że moje krówki u tego złodzieja w chlewie. Odkryło się złoczynstwo!

Związany człek, słuchając oskarżenia, wzdrygnął się.

— A niechże cię kłameo bezwstydnym, niech cię pomsta dotknie Boża! — zakrzyknął

— Człeczko dobry! nie unosz się, nie klnij, proszę! — odezwał się Mierzwa.

— Jakże się tu wstrzymać, gdy tak jawna krzywda się dzieje! — zawołał związany. — Nie skradłem mu nic; jawnie w biały dzień zająłem mu krowy, które moje zboże spasy, na polu własnem. Było żyta na pięć kop, nie zostanie go i na dwie. Bydło zająłem w szkodzie.

Obwiniony spasy człek, uśmiechnął się pogardliwie i ruszył ramionami.

Mierzwa przerwał:

— O źle, źle, kochanie moje! Radzisz sobie nieładnie! Do występku swojego dodajesz gorsze może odeń kłamstwo. Gdzież świadkowie! Niema? widzisz! Bydło skradzione znaleziono w twojej oborze, rzecz jawna. Kajaż że się i sromaj niepoczciwej sprawy twej.

— Miłościwy panie — zawołał, w piersi się bijąc związany — przysięgnę!

— O! o! zgroza! okropność! krzywoprzysięstwo... — zakrzyknął Mierzwa. — Tego już nadto! A toć staje i świadczy przeciwko tobie człowiek znany, który nigdy obwinionym nie był, wierne sługa zamkowy, panu swojemu miły... I wy śmiecie!...

— Panie! — głosem rozpaczliwym odezwał się obwiniony.

— Bereza! — przerwał Kietlicz z góry — końca nie będzie temu, pysk mu kneblem zabić, niech nie bluzga!

Nim się spełniło rozkazanie, nieszczęśliwemu głowa na piersi opadła, złożył ręce, na kolana się rzucił, zdawał modlić do Boga, u ludzi nie znalazłszy sprawiedliwości.

Mierzwa tymczasem mówił z uroczystością wielką:

— Cóżby to z tobą się stało, nieszczęsny winowajco, gdyby obok sprawiedliwości nie zasiadało miłosierdzie? Głowę byś przypłacić musiał, albo by cię na kopanie soli i kruszców na cały żywot dać musiał książę, abyś więcej światła słonecznego, którego oglądać nie jesteś godzien, nie widział. Złodziej, potwarca, kłameca, krzywoprzysięzca, zbrodzień wielokrotny! Miłosierdzie tylko pańskie zwalnia ci karę na siedemdziesiąt!

Domawiał tych wyrazów, gdy w izbie wchodowej wrzawa głośnie słyszeć się dała. Kietlicz się namarszczył, ruszył i Berezie dał znak... Tymczasem dwu sporzących, z przed stołu popchnięto ku Juchimowi. Drzwi się otwarły i Stach wszedł, a za nim dziesięciu młodych ziemian krakowskich, z Bogorją na czele.

VII.

Dla Mierzwy było to całę niespodziane zjawisko, Kietliczowi też może nie bardzo pożądane i miłe, bo na ławie się kręcił, spostrzegłszy wchodzących i wargę zagryzł.

Sędzia wnet postawę przybrał poważniejszą, poprawił suknię na sobie, na klechę popatrzył, aby mu też wrazić powagę, na chłopca skinął, księgę posunął.

Stach przybrany rycersko, z mieczykiem u pasa, dość strojny, hardy, a butny, szedł przodem ku stołowi. Tuż za nim stapał jeszcze wykwiniejszy

przyodziany Jaśko Bogorja, a dziesięciu poręczycieli, chłop w chłopa, wszyscy szli ziemianie możni, dzieci żupanów i władyków, pod czas na dworach biskupim, wojewody i książęcym nawet bawiający.

Naówczas już młodzież naukę życia w ten sposób kończyła, a często ją i poczyniała od chłopiat służąc przy możniejszych krewnych. Dobrze jeszcze, jeżeli który wprzód klechę miał, co go choć czytać nauczył, albo trochę pobiegał do szkółki przy kościele i łaciny liznał; ubożsi czasu od tego nie mając ni ochoty, poczynali wychowanie od końskiego grzbietu, włóczni i łuku, a kończyli je na rycerskich dworach, pasa się dosługując.

Dziesięciu tych poręczycieli Jaśko Bogorja dobrał naumyślnie co najpokaźniejszych, co najsmielszych, aby nie ulękli się i plecy mieli za sobą.

Kietliczowi a sędziemu występ ten nie był do smaku i Mierzwa spoglądał niespokojnie ku górnej ławie, jakby tam z oczów pana chciał wyczytać, co ma poczynąć, srogim być czy łagodnym, oczyszczać czy płatać?

Dwaj wspólnicy znali się dobrze, zamieniwszy wejrzenie, Mierzwa oczy wnet spuścił na księgę i przybrał postawę człowieka, na którym cięży brzemie wielkie. Ręką swą bladą, kościstą, smarował się zwolna po brodzie i twarzy, usta wydymał, głowę pochylał na strony.

Kietlicz ujrzawszy wchodzących dał im stanąć przed stołem gromadą całą, ruszył się nieco i w boki ujawszy, przybrał postać surową.

— Ja tu jestem oskarżycielem — zawołał — ja! przeciw temu! — wskazał na Stacha. — Oto ten jest, który mi, wysłańcowi, urzędnikowi książęcemu, prawej ręce pana, śmiało stawieć opór! Tak samo to jest jakby się książęciu swemu opierał! Sądźcie, jak wielka wina.

Mierzwa siedział zrazu jakby struchlały, twarz

surową, z usty zaciśniętymi, około których fałdy wystąpiły głębokie, zwrócił ku Stachowi.

Ten słuchał wcale nie zmięszany. Towarzysze jego spoglądali też na Kietlicza, na siebie, na Mierzwę, a trwogi po nich żadnej widać nie było.

Sędzia z Kietliczem znowu ukradkiem poradzili się oczyma.

Sędzia odegrywał rolę swą dobrze, ale skutku ona nie miała, młodzież nie zdawała się go ważyć wielce. Trzeba było przyoblec go powagą wielką i dać płochym młokosom naukę, wrażeń poszanowanie. Mierzwa więc otworzył wielką księgę, kilka kart w niej przewrócił, namarszczywszy czoło, zaczytał się, ręką o pergamin uderzył i podniósł głowę.

— Jestli to prawda, co prawdą być już musi, bo płynie z ust takich co się nigdy fałszem nie zmazały — począł powoli — jestli to prawda, może to być, aby ziemianin śmiał się opierać temu, któremu winien służbę i posłuszeństwo? Nie dość na tem, winien mu choćby życie dać każdej chwili! O grozo! o czasy, o obyczaje! zawołałam z mędrceem rzymskim. Mam li wierzyć uszom moim? oczom zaufać? W jakich że to ciężkich żyjemy latach! Jest to kraj chrześcijański, czy barbarzyński i bezpański?

Stach słuchał, kilku młodzieży śmiało się po cichu.

— Mówcie, proszę, błagam, zaklinam, macie co może na swą obronę? — dodał Mierzwa.

— Innego nie mam nic — odparł Stach — krom, żem chorego starca bronił od napaści. A działo się to nie na krakowskiej dzielnicy księcia naszego, ale w Sandomirskiej, kędy panem jest książę Kazimierz.

Tu Mierzwa z podziwieniem szyderskim się wzdrygnął.

— Co słyszę? — zawołał — jest więc na tej oto ziemi dzielnica, na którejby zwierzchnia władza najstarszego pana naszego nie była uznawana? Cóż to się stało? Rozerwały się więc węzły, które łączą te

ziemie wszystkie? Jawnie więc wypowiedziane posłuszeństwo?

— Miłościwy panie — odezwał się Stach wcale nie zmięszany — nie wywodźcie tak przemądrze ze słów moich czego w nich niema. Nikt nie śmie przeczyć panu Mieczysławowi władzy zwierzchniej, ale ona w cudzej dzielnicy inaczej się sprawnia niż we własnej. Jeśli ten, którego sądziliście przed chwilą, nie miał prawa zabić niedźwiedzia nie spytawszy wprzód o pozwolenie, toć urzędnik książęcy Kietlicz Sandomierskiego ziemianina na którego gród naszedł, winien był skarżyć wprzód do jego pana, domagać się nań kary, a nie sam ją domierzać. Mnie ziemianina wiązać i wlec do grodu prawa nie miał.

Kietlicz zerwał się z ławy.

— O zuchwałstwo! — krzyknął — otóż prawniki oto wywody. Ucz że się sędzio praw od ziemian, oni je lepiej od was znają.

Mierzwa oczy sobie zakrył ręką.

— Niestety — zawołał — do tegośmy przyszli, do tego, iż ziemianie prawa książąt będą rozbierali i sami o nich wyrokowali. Sodoma i Gómorha! Książęta a bracia nie mogą się między sobą ułożyć ku wspólnemu zaszczytowi władzy swojej, bez zezwolenia ziemian!

Tu na chwilę zamilkł i powiódł oczyma.

— Miłościwy panie, ziemianie — odezwał się do Stacha. — Serce mi się ściska i boli, iż tak złych zaprawdę, wykrętnych a nieprawych środków zażywacie na waszą obronę. Mogliście krewkość młodzieńczą, namiętność nierozważną, uniesienie się przemijające stawiać na ulagodzenie winy, a wy do praw i kodeksów ściągacie! Wy, którzyście ich ani dotknęli, ani powąchal!

Samiście się tem potępiłi, Niestety, ręce mi wiążecie!

— Młodość waszą widząc a litując się zaślepieniu,

bylibyśmy skłonni łagodnie brać, co surowo być wziętem powinno—a—nie możemy! nie możemy!

Tu jakby mu słów zabrakło, mileczący Mierzwa oczy spuścił na rozwartą księgę, westchnienie głębokie z ust mu się wyrwało.

Szelest niedosłyszany prawie w tej chwili za drewnianą kratą przysłoniętą przybycie księcia zwiastował. Kietlicz spojrział w tę stronę, Mierzwa przeczuł czy odgadł, iż świadka miał i nadzorcę nad sobą.

Młodzież wcale się nie domyślała tego, tylko Jaśko Bogorja zwany Żywcem, bo był niecierpliwy i drudzy też z nim poczynali się tym powolnym sądem niepokoić, iż się do zbytku przeciągał. Spoglądali po sobie, ramionami zżymając, jakby mówić chcieli—a pókiż to tego będzie!

Sądzili pewnie, że lik ich i postawa, znane imiona Kietliczowi dadzą do myślenia, tak jak on sądził, iż grozą sądu ich upokorzy. Obie strony stały teraz naprzeciw siebie, ważyło się między nimi, która weźmie górę.

Nie szło o wyrok, bo ten miał paść zawsze na stronę Kietlicza, ale na zwycięstwo niewidzialne śmiałości i buty. Niewiadomo któraby strona wzięła przewagę, gdyby Kietliczowi niespodzianie w pomoc nie przybył, ten który go nigdy nie opuszczał. Czuł było Mieszka za kratą.

Stach nabierał odwagi, a może Jaśko potrąciwszy go i coś mu poszeptawszy do ucha, nią go natętnał. Odezwał się śmiało.

— Miłościwy sędzio, czym ja co winien, we własnej sprawie trudno mi wyrokować, ale że urzędnik książęcy Kietlicz nie bez grzechu jest, to pewna! Albo to tak ziemiańskie dwory na cudzych dzielnicach najeżdżać wolno? bramy tłuc, wyłamywaniem się grozić, przewód brać, gdy go nie należy, chorego starca straszyć, nieposzanowawszy siwych włosów rycerza co Krzywoustemu stał u boku? Cóż

biedny starzec zawinił, iż go znieważono, toż nie gwałt? nie przestępstwo?

W oknie zadrgała zasłona, Kietlicz podniósłszy się z siedzenia, pięści wyciągnął ku siedzącemu.

— Słuchaj sędzio! słuchaj!—zawołał gniewnie—patrz do czego zuchwalstwo dochodzi! W co ufa ono? Ufacie żeście ziemianie i ojezyce? Więc wam ma być wszystko wolno, panu przewodu odmawiać, pogoni, strawy i obroku! A co dalej będzie, gdy się tego nie ukarze?

Mierzwa głowę zatopił w ramionach. Mileczenie panowało w izbie, gdy w ścianie pod krata, drzwi niewidocznie się uchyliły, zaskrzypiały, ci co siedzieli powstawali, popłoch się zrobił wielki. W otwartych drzwiach ukazał się Mieszek. Stał nie wchodząc jeszcze, izbę mierzył oczyma, najpilniej ową gromadkę młodzieży, a najsurowiej Stacha. Stał tak długo jakby wzrokiem sobie drogę uściślał, chcąc postrach siać. Potem powoli ruszył się ku siedzeniu na stopniach wywyższonemu i słowa nie rzekłszy, głową nie skinąwszy tym co mu bili pokłony, zasiadł a raczej padł na siedzenie.

Postać to była w istocie strwożyć mogąca, majestatyczna, z twarzą nachmurzoną, bladą, z usty które się niechętnie otwierały, ale i milecząc groźne były. Wejrzenie oczów przeszywało. W drganiu muskułów twarzy czytać było można, iż gniew tłumiony przynosił z sobą.

Na ramionach płaszcz miał szeroki, spodem suknię szkarlatną, pas złocisty i miecz u boku. Na złotym łańcuchu u piersi klejnot wisiał błyszczący.

Mierzwa posłyszawszy przybywającego pana z miejsca swego zszedł na bok i pod ścianą pochylony krocząc z rękami na piersiach złożonemi, pośpieszył wraz z Kietliczem stanąć za pańskim siedzeniem.

Przytomność księcia czyniła go sędzią, przy nim ten co zastępował, mileczeń musiał. Klecha

i chłopak od stołu w bok zbiegli, Stach, Bogorja i poręczyciele znaleźli się niespodzianie przed obliczem ksiązęcyem, z którym sprawa stokroć gorszą była jeszcze niż z wykrętnym Mierzwą.

Mieczysław zwrócił się do Kietlicza naprzód i oczyma mu dał znać, aby obwinienie powtórzył.

Urzędnik, któremu książę nigdy winy żadnej nie przyznawał, ani się go zaparł, śmiało powtórzył o co Stacha winił.

Nic nie mówiąc, długo nań patrzył książę.

Stach sądząc, że i jemu należy powtórzyć obronę, już ją rozpoczynać miał, gdy Mieszko po kolanie go uderzywszy dał mu znak aby milczał.

Podparł się na łokieć i milczał groźnie.

— Coś za jeden?—zapytał.

— Zabor z Przegaja z pod Spiecmierza, ryccerskom służył—rzekł Stach krótko.

Książę pogardliwie głowę odwrócił ku Kietliczowi.

— Jakiej nań chcesz kary?—zapytał.

Zagadnięty mocno się zawahał, nadto srogim być na ten raz nie chciał, aby na siebie nie oburzać więcej, zbyt łagodnym być nie mógł, wołał się zdać na księcia.

— Wasza miłość niech sądzi, ja nie chcę nic—rzekł z pokłonem.

— Bez kary nie ujdzie!—rzekł książę.

W tem Jaśko Bogorja zapragnął przemówić, książę mu ręką pogroził.

— A ty, milcz!—rzekł krótko.

— Skarb potrzebuje grosza — mówił po namyśle—niech siedemdziesiąt zapłaci!

To rzekłszy, ani już spojrzawszy na gromadę, wstał, tyłem się do niej obróciwszy i wnet nazad szedł, Kietlicza prowadząc za sobą.

Kara nie była tak sroga jak upokarzająca, Bogorja ramionami dźwignął, cheieli już ruszyć, i iść precz, gdy Mierzwa rękami począł wskazy-

wać na drzwi Juchima, skazanemu drogę wyznaczając.

— Tam się płaci — dodał — tam idźcie! a kto grosza nie ma idźcie gdzieindziej! Wskazał z uśmiechem drzwi drugie, przy których czatował Bereza z pacholkami.

Nie szło o siedemdziesiąt grzywien, które poręczyciele złożyć mogli między sobą i zapłacić za Stacha byli gotowi, Stachowi wstyd było pożyczać.

Szepnął Bogorji. — Postójcie mało a czekajcie na mnie, ja się sam ze skarbnym rozprawię.

— Masz że czem—spytał Bogorja.

— Dam jakoś rady!—odparł Stach obojętnie.

To rzekłszy śmiało wszedł do izdebki.

Przed chwilą właśnie kmiecica w niej umęczonego jakimś gwałty, okrwawionego wyprowadzone do więzienia. Stach się z nim minął po drodze, Juchim siedział licząc i ważąc pieniądze drobne porozsypane po stole. Zobaczywszy ziemianina przy mieczu, począł od tego, iż mu pilnie się przypatrywał zmrużonemi oczkami, jakby rachował co z niego wycisnąć może.

— Siedemdziesiąt!—zawołał głos od progu.

Juchim ciągle się przypatrywał w przybyłego, mierzyli się wzajem oczyma. Stach, który dotąd odwagi nie stracił nie wiedzieć z jakiej przyczyny, pokonany wejrzeniem bystrem Juchima, mięsząc się począł.

Żyd ręką wskazywał na stół, zapraszając do liczenia pieniędzy, na które czekał.

— Miłościwy panie — szepnął głosem stłumionym—my się bodaj nie pierwszy raz widzimy? Jam już gdzieś was spotykał?

— Niewiem — odpowiedział Stach, odzyskując odwagę — gdybyście wy mnie widzieli, pewnie bym i ja was zobaczył i nie zapomniał — a — niepamiętałem!

— Niech no, miłość wasza, dobrze sobie tylko przypomni?—szydersko trochę dodał skarbnym.

— Niemam na to czasu — odparł Stach — musimy się rozplacić.

— Nie pilno mi — rzekł żyd — miłość wasza krótką ma pamięć!

— Jaką mi Bóg dał — odpowiedział zagadnięty. — Do sprawy.

— Dziwna rzecz — powiedział Juchim — ja stary, a przysięgłbym że was znam i żeśmy nie jeden się raz widywali.

Stach spuścił oczy, naleganie to niepokoiło go.

W istocie przypominał on sobie Juchima, były to stare młodości dzieje. Skarbny nie miał naówczas jeszcze miejsca przy dworze, dostawano u niego pieniądze na zastawy, młodzież co grała w kości, często się u niego zapożyczała. Naówczas dzisiejszy Zabor z Przegaju zwał się jeszcze Stachem z Konar i brał u Juchima pieniądze, gdy z księciem Kaźmierzem grywali. Długi te wszystkie pospłacane były, ale pamięć ich została żydowi. Stach, który potrzebował aby o nim zapomniano, nie rad był, że Juchim go poznał i mógł nawet może sobie nazwisko jego prawdziwe przypomnieć. Dziś ono było w ohydzie i wstydzić się go musiał.

Juchim ciągle mu się pilno przypatrywał, uśmiechając się potrosze.

— Panie skarbny — rzekł Stach, usiłując co prędzej z nim skończyć — kazano mi siedemdziesiąt zapłacić, pieniędzy z sobą nie mam, a choć poręczyciele za mną stoją, Jaśko z Bogorja i inni, nie radbym u nich prosił o pomoc. Wy mi nie zawierzycie i ja też o wiarę nie proszę.

To mówiąc dobył z pod kaftana łańcuch złoty, ciężki i piękny i na stole położył.

— Wart on pewno więcej we dwójnasób niż te grzywny — chcecie go przyjąć w zastaw?

Niestety, zapomniał był o tem Stach, że ten sam łańcuch przed laty już był u Juchima w za-

stawie, gdy na te nieszczęsne kości grosza było potrzeba.

Juchim pochwycił go w chude palce kościste, popatrzył, poszukał jakiegoś znaku i znalazłszy go śmiać się począł.

— Aj aj! — zawołał — toś to sami dziś znajomi do mnie przychodzą! Ja ten łańcuch znam bardzo dobrze, on w moich rękach już był!

Stach się zarumienił.

— Ach! — zawołał — nadrabiając zuchwałością — wszystko to może być. Ten łotr, niepoń, kostera, zbój Stach z Konar, mój cioteczny, do którego nawet mówią że mam być trochę podobny, był właścicielem łańcucha. Jedyny to spadek jaki po tym łotrze otrzymałem. On ci to go u was zastawiać musiał.

Zdało mu się, że tem kłamstwem się wykreści, Juchim nie dając poznać po sobie, głową potrząsał, łańcuch w rękach ważąc.

— A! a! to był wasz cioteczny — zawołał — cóż się tam z nim stało?

Mnie jego było zawsze żal.

— Niemasz go co żałować! — rzekł Stach żywo — przepadło licha, nie wiedzieć gdzie się podział. Powiadają, że zginął z ks. Henrykiem poszedłszy na jakąś wyprawę. Łańcuch mi przyszedł przez dziecięte ręce. Ale co my tam o tym łotrze mówić będziemy, mówmy o łańcuchu. Weźcie go na zakład póki nie wykupię.

Juchim kręcił dziwnie głową, ciągle się bawiąc łańcuchem, zdawał się jakby umyślnie rozmowę przeciągać i męczyć nią Stacha.

— To się mnie nie godzi — rzekł powoli — ja jestem skarbny, ja muszę dziś pieniądze złożyć księciu, a z kąd ja je wezmę tak prędko? On łańcucha nie potrzebuje!

Bawił się nim żyd ciągle, a może i Stachem, na którego z pod brwi spoglądał.

— Wy to nie wiecie—dodał—kto pieniędzy nie ma idzie do ciemnicy, dopóki ich nie da. Tak!

Stach oniemiały stał, Juchim nie mówił nic stanowczego, a łańcucha z rąk nie puszczał i przypartywał mu się ze stron różnych.

— W ciemnicy siedzieć, a jeszcze ziemianinowi i rycerzowi co do wolności nawykł, to jest zła i paskudna rzecz—dodał żyd.

— No w ostateczności to przyjaciele moi, którzy czekają na mnie, zapłacą — rzekł Stach po łańcuch sięgając.

— A gdzie oni czekają—spytał żyd.

— W podwórzcu...

— A co po nich! Wam, nie dawszy pieniędzy kroku ztąd zrobić nie wolno—mówił żyd. — Oni tam sobie mogą czekać do jutra, a was tedy (wskazał na drzwi boczne) powiodą prosto do ciemnicy.

Stach pobladł i wstrząsł się, więzienia się teraz więcej niż kiedy obawiał. Juchim łańcuchem ciągle potrząsał.

— To jest bieda — mówił obojętnie — że ja nie mam pieniędzy. Gdybym miał, założyłbym za was te grzywny—choć łańcuch, kto go wie ja nie powiem, żeby on był wart i tyle? Aj! aj! ciężki się on zdaje, ale czy to my nie wiemy jak złotnicy we środek ołowiu nalewają. On może i siedemdziesiąt nie wart!

Dla Stacha z Konar, waszego ciotecznego pamięci, który ze mną był w przyjaźni, jabym chciał co zrobić dla was...

Zdawał się wahać, kto wie, kusił może Stacha aby mu się wydał z sobą, ale ostrożny człek nie odzywał się. Wolał cierpieć niż się przyznać do Stacha.

— Szkoda w istocie, że ja tu wam nieboszczyka sprowadzić nie mogę—odezwał się namyśliwszy—ale na to rady niema. Dziękuję wam żeście na tego biedaka byli łaskawi, dajcież łańcuch, pójdę do ciemnicy, póki mnie przyjaciele nie wykupią.

Wyciągnął rękę. Juchim nie puszczał łańcucha, uśmiechał się.

Widać po nim było jakąś walkę wewnętrzną.

— No—chcecie dać łańcuch za grzywny? głowa na głowę? — spytał.

— Nie mogę — rzekł Stach — pozbyć się pamiętki tej mi nie godzi. Raz, że tego lotra Stacha lubilem, a to po nim jedyna spuścizna, powtóre, iż łańcuch ten od Szczodrego wyszedł, który go dziadowi dał. Sprzedać mi nie wolno.

I ręką wziął za leżące na stole ogniwa.

— Wiecie co — dodał. — Za te siedemdziesiąt dam wam sto, ale za pół roku. Jaśko Bogorya da porękę za mnie.

Juchim puściwszy łańcuch zamyślił się i partrył mu w oczy.

— A gdzie on jest ten poręczyciel? — zapytał.

— Znajdziemy go w podwórzcu.

Juchim myślał, głową potrząsał.

— Nie mogę, łańcuch wolę — rzekł cicho...

— Weź go z tem, abys mi odprzedał? — rzekł Stach zniecierpliwiony.

— Mogłoby to być — zamruczał Juchim—ale co on ma tak leżeć u mnie! Ja go zaraz dam do złotnika, aby go piękniejszym i ważniejszym zrobił jeszcze. Trzeba będzie dołożyć złota, kto wie ile? Może on wówczas i dwieście kosztować.

Stach wzięty na te tortury zżymał się, chciał łajać, wstrzymał miarkując, iż to by nie pomogło.

— Obedrzeć mnie chcecie! — zawołał.

Żyd milczał—a potem z westchnieniem jakimś począł, cedząc słowa.

— Aj! aj! za każdą posługę płacić potrzeba! Lepiej—że wam będzie w ciemnicy siedzieć i Bożego światła nie widzieć? Co znaczą te grzywny przeciw wolności—a jeszcze młodemu? Dla nas starych już tylko w nich pociecha...

Jeszcze się wahał Stach, gdy stary tymczasem

Stach z Konar. T. I.

zadumany to na niego to na łańcuch spoglądał i ciągle z sobą walczyć się zdawał. Niezrozumiale wyrazy jakiegoś z ust mu się wyrzywały.

Czas upływał, a Stach się niecierpliwił.

Wytrzymał go Juchim długo, naostatek z siedzenia wstał i skrzynię otwartą, która przy nim była, począł pilnie na kłódki zamykać—Stach z łańcuchem w ręku czekał.

Nagle dziwny obrót wzięła sprawa, żyd z uśmiechem jakimś smutnym odwrócił się ku niemu.

— Jakże was zowią? — zapytał.

— Zabór z Przegaju.

— Panku Zaborze—odezwał się żyd z wolna—coby to było z wami, żebyście wy tego Stacha nie mieli ciotecznym? Musielibyście albo łańcuch stracić, albo dać grzywnien dwieście, albo w ciemnicy siedzieć. A no! idźcie sobie z Bogiem i z łańcuchem! Dla pamięci waszego ciotecznego, ja za was grzywny zapłacę. Oddacie mi je bez lichwy, gdy będziecie mogli. Stach mnie raz w ulicy od motłochu wybawił i życie obronił. Godzi się, abym za niego wam zapłacił.

Stach zarumieniał się mocno, przygodę tą, dawniejszą jeszcze ledwie sobie teraz przypominał, skłonił głowę.

— Bóg zapłać! — rzekł.

— Nie był to zły człowiek ten wasz cioteczny, choć wy go łotrem zwiecie.

To mówiąc Juchim się uśmiechał chytrze.

— Szkoda tego człowieka, że umarł — dodał.

— Z niego by kiedyś był urósł mąż słuszny, młodość by przeszumiała, a co dobrego byłoby zostało.

— I za to dobre słowo, Bóg zapłać! — odezwał się Stach mimowolnie wzruszony mocno.

Skarbny zawołał zaraz na pachołków stojących za drzwiami, aby więźnia wypuścili, i tak Stach nie spodzianie obronną ręką wyszedł z gorącej łaźni.

Nie miło mu wszakże było, iż Juchim mógł się w nim prawdziwego Stacha domyslać.

Gdy powrócił do swoich poręczycieli, którzy opodal od dworca w podwórzu nań czekali, na twarzy jego widać było pomieszanie tak wielkie, iż Jaśko Bogorya z daleka już począł pytać go, co mu się tam stało.

— A no, jeszcze nie—odparł Stach, który spowiadać się nie chciał. — Stało się lepiej, niżem się mógł spodziewać. Skarbny mi przez osobliwe miłosierdzie jakiegoś na grzywny czekać bez poręki przyobiecał.

Gdy się to działo w podwórzu, do izby skarbnego, który jeszcze swą skrzynię zamkami ubezpieczał, wsunął się Kietlicz. Wszyscy oni tam na dworze Mierzwa, Kietlicz, skarbny za ręce się trzymali. Były to narzędzia w ręku księcia posłuszne, uległe, pokorne, ale zarazem o sobie też nie zapominające.

Kietlicz z góry biorąc rozkazy wszystkiem kierował. Gdy wszedł, Juchim podniósł się od skrzyni, i stanął z wielkiem uszanowaniem, pokłon mu oddając. Tuż za nim uśmiechnięty! wśliznął się Mierzwa pociehu. Nigdy go idącego słyhać nie było, chód miał miękki i ostrożny.

— Spodziewam się — odezwał do Kietlicza — iż z dzisiejszych sądów miłość wasza będzie rada!

Spojrzał ku niemu, Kietlicz miał twarz posępną, skinął tylko obojętnie głową. Juchim mileczał ściągając swe rupiecie do wyjścia. Nikt się już odzywać nie śmiał, czekając, aż nachmurzony pan przemówi raczy.

— Tak wszystko to dobre — rzekł w końcu — ale to początek dopiero, ani księży, ani ziemian jeszcześmy nie nastraszyli i nie złamali. Nie trwożą się, a burzą. Żle mi to jakoś wygląda!

Księżę w nie wejrzeć nie chce, a ja czuję, że oni się już na nas zmawiają.

Mierzwa kościste swe, chude ręce podniósł do góry.

— Ol ol czyżby śmieli! — zawołał — a któżby się na to ważył. Jest-li na kogo podejrzenie? dajcie go tylko w ręce moje, znajdziemy winę i posadziemy tam, gdzie ciało z niego kawałkami opadać będzie.

Kietlicz popatrzał nań z politowaniem.

— Myślicie, że to łatwo dać wam w ręce tych których ja podejrzewam? — począł szydersko — he? dać wam Wojewodę Szczepana, Biskupa Gedkę i wszystkich tych niecnótów, co się kręcą około księcia Kaźmierza, jemu dworną, jego pod niebiosą wynoszą, aby naszego pana zohydzić?

Mierzwa się zadumał, usta zacisnąwszy.

— Miłościwy panie — rzekł z wolna wychodząc z zadumy. — Księcia Kaźmierza się obawiać śmiesz-nemby było. Ja go znam. Pan to dobry, ale miękki, woli on z klechami rozprawiać o Bogu, o duszy, o prawach wszelkich i zwyczajach, woli słuchać rektorów i czytania z ksiąg starych, niż dobijać się władzy. Dawali mu ją za Kędzierzawego, a wziąć nie chciał. Strach to próżny. — Kaźmierz na klechę stworzony, jemu Cystersi i ich klasztory smaczniejsze, niż krakowski zamek.

— Jeżeli on nie straszny — odparł Kietlicz to ei co o nim myślą, że są tacy, co już powiadają, że lepiej im z Kaźmierzem było, to ja wiem.

Mierzwa usta wykrzywił.

— Co tam zważać na trutniów brzęczenie — rzekł — ludzie, co gadają wiele, robią mało. A księżę Kaźmierz, woli mieć z jednej strony księdza, z drugiej piękne liczko niewieście, niż moc, z którąby nie wiedział co robić.

Popatrzeni sobie w oczy. Mierzwa pokornie spuścił głowę, zerknął ku Juchimowi, jakby mu chciał dać znak jakiś do porozumienia, pokłonił się Kietliczowi i powoli z izby wyszedł, przybierając postawę jaką zwykł był dla ludzkiego oka przywdziewać. Kietlicz sam pozostał ze skarbnym, przeszedł się parę razy po izdebce.

— A wy, Juchim, co o tem myślicie? — zapytał, stojąc przed nim.

— Ja? — rzekł skarbnym — a co ja mam powiedzieć oprócz tego, że wasza miłość, gdy co mówicie, zawsze macie słuszość. — Sędzia (wskazał na drzwi), ten póki sędzi rozumny człek jest, a gdy z ławy zejdzie ślepy.

Na księcia jeżeli się już nie zmawiają, no to przynajmniej mruczą, a jak ziemianie krakowscy mruczeć poczną, to do biedy niedaleko. To naród jest bardzo zapalczywy...

Kietlicz słuchał bacznie.

— A i to jest prawda — kończył stary, długie włosy wiszące mu z obu stron twarzy gładząc chudymi rękami — że na tego księcia Kaźmierza oczy mają wszyscy, bo to jest miękki człek, któryby słuchał wszystkich i biskupów i władków — a takiego im potrzeba, bo oni chcą panować nie słuchać, a księcia mieć tylko na okaz.

Kietlicz głową potakiwał staremu. Ten z za drewnianych balasów, za którymi stał dotychczas wyszedłszy zbliżył się do Palatyna, aby się ciszej mógł z nim rozmówić.

— Co miłość wasza myśli? jeżeli się co knuje — dodał — pierwsza rzecz mieć na Sandomierz oko i ucho. Tam najlepiej poznać można, czy się co gotuje, kto jeździ i posyła...

— No — dodał zniżając głos — na to potrzeba człowieka, coby dobrze usłużył, a mnie się zdaje, że ja takiego będę miał.

— Ty? — zapytał Kietlicz zdziwiony.

— Nu! Kto to wie! Ja! — rzekł stary. — Nie jestem pewny, ale mi się coś zdaje...

— Tu zatrzymał się trochę. — Widziała miłość wasza, tego ziemianina, co naostatku kazano mu zapłacić grzywny?

— Tego, co mi się opierał? — mruknął Kietlicz.

— On się opierał? — zapytał Juchim — a no, go-

raça krew, to nie nie znaczy. — Wie miłość wasza kto to może być? Jak on się zwie?

— Zabor z Przegajul

— Ach! — rozśmiał się Juchim. — Ja powiadam, że nie jestem pewny, ale mnie się zdaje, że ja go znam. On się tego wypiera, a to jest ten Stach z Konar, co księciu Kaźmierzowi dał w policzek, co go kołmi szarpać miano.

Kietlicz cofnął się słuchając, zdumiony mocno.

— Co ci się śnił — zawołał — zkadźby się wziął, mówiono, że przepadł bez śladu.

— Ja nie jestem pewny — dodał żyd — ale mam dobre oczy i pamięć dobrą — to on jest! A jeżeli on, nie może być, ażeby w sereu przeciw Kaźmierzowi jadu nie miał!

— Książę mu darował życie — przerwał Kietlicz.

— Al! al! — rzekł Juchim gładząc włosy — człowiek zawsze ma największą urazę do tego, co go dobrodziejstwem upokorzył. Tego żaden człowiek nie przebaczy. On go musi nienawidzić — a przez to może nam być przydatny.

— No — i ubogi jest... — dodał żyd ciszej.

To mówiąc twarz dziwnie wykrzywił, zmrużył jedno oko, usta mu się przeciągnęły — Kietlicz zamyslił się.

— On mi jest nawet trochę pieniędzy dłużny — dodał żyd — mogę z nim pogadać...

Kietlicz przetrwał zadumę,

— Zuchwalec jest! — rzekł krótko.

— Al! al! — zawołał Juchim — z ostrym nożem niebezpieczno, to prawda jest, ale on lepiej kraje niż tępy.

Człowiek biedny bywa zuchwały z rozpacz. Jeżeli to Stach, a mnie się tak widzi, czemu koło niego nie próbować? czemu go nie wziąć na żołd.

Myśl poddana przez skarbnego zdała się przyjąć. Mowa powoli w Kietliczu, ale ani przyzywał ni się z przyjęciem śpieszył.

— Nie jesteście pewni kto on — rzekł podumawszy — popróbujcie wprzódę się o tem przekonąć. Na dwór do Sandomierza lada kogo posłać nie można! Niepewnego człowieka używać gorzej niż żadnego... To wasza sprawa... no — próbujcie go...

Ruszył ramionami.

— Ja mam moich, co mi donoszą — począł ciszej. — Nowych rzeczy się nie dowiem. Zmowy na nas czynią, zbierają się, jeżdżą, jedni drugich podszezuwają. Kaźmierza oni wszyscy na ustach mają.

Chytry wojewoda po nocach jeździ do biskupa, a Gedko wszystko prowadzi, do wszystkiego podburza. Na biskupim dworze wszystkiego złego gniazdo! Książę się nierad porwać na niego; z nim się pojednać, to mu się trzeba pokłonić, na to Mieszko nie przystanie...

Westchnął Kietlicz. Juchim czapeczkę niecierpliwie na głowie poprawił, zdjął ją, włożył i począł szepejąc z gorącością wielką.

— Al! al! miłściwy panie! jeżeliby się co złego miało stać najmiłściwшему księciu naszemu, to kto będzie winien? Chyba on sam. Albo on siły nie ma w ręku? albo zięciów nie ma takich, co mu dać mogą wojska choćby na zawojowanie tej ziemi? albo jemu kto się sprzeciwić będzie śmiał, gdy karać zechce? Czy to on i do Sandomierza i na dworzec biskupi nie może sięgnąć? Czy to już nie bywało??

— Książę Kaźmierz, albo to on nie człowiek? — zakończył Juchim znacząco.

— A kto siebie broni — dodał jeszcze — temu wolno wiele! At!!

Na tem głośnie się skończyła rozmowa, Kietlicz i skarbnik poszli do kąta i szeptać zaczęli. Przeciągnęło się to dość długo, nareszcie w zgodzie się być zdawali, Kietlicz raczej izdebkę opuścił, niż wchodził do niej; Juchim zdjął z kolka swój płaszcz, przy-

odział się i zaryglowawszy drzwi wolnym krokiem puścił się ku miastu, starając przejść niepostrzeżonym.

VIII.

Pomiędzy Krakowem a Tęczynem, stał naówczas, do panów z Tęczyna należący dwór, którego dziś śladu i pamięci nie ma. Zameczek to był chędogi, na skale wzniesiony, który zwano Panieńskim.

Po ojcu Tomku na Tęczynie, który był zmarł lat dziesiątek temu, ulubiona córka jego Dorota, za życia ojca wydana za Różyca, który ją wprędce odumarł, miała sobie przekazaną ową piękną murowankę przez miejskich murarzy niemieckich pięknie z ciosu wystawioną i ślicznym otoczoną lasem. Raj tam był prawdziwy, nieopodal od gwaru miasta i dworu książęcego, osłonięty ciszą, spokojny a rozkoszny wielce.

Miejsce to pono obrane było niegdyś na klasztor, aż gdy Tomek stary mury już wznosić począł, tak mu się tu samemu upodobało, iż pobożną myśl zmieniwszy, co dla sług Bożych było przeznaczone, dla samego siebie zatrzymał.

Nie wyszło mu to na dobre, bo gdy owe domostwo z ciosu stanęło dlań gotowe, a gdy się doń przeniósł, nie długo zażywając w niem rozkoszy, zachorzał i umarł. Pan to był natury dziwnej, gwałtownej we wszystkim co kochał i co nienawidził, miary nieznający w niczem. Dwu synów po sobie zostawił i córkę jedną, tę którą był wydał za Różyca.

Nie wiedzieć dlaczego obu synów, gdy obrastać zaczęli rychło znienawidził, że ich na oczy niedopuszczał, córkę zaś tak ukochał, iż jej wszystko było wol-

no. Z dziecka urosła na samowoli, a była bardzo piękna, ale nikogo, nawet wstydu niewieściego słuchać nie chciała. Owszem, im ją więcej pohamować się starano, szalała na złość gorzej jeszcze. Ojciec pobłażał ukochanej i ślepy dla niej był. Synowie, którzy siostry widząc życie, sromali się wielce i do ojca ją skarżyli, w tem większą u niego popadli niełaskę. Dorota, zaledwie z dzieciństwa wyszedłszy, prostego jakiegoś sokolnika ukochała, jawnie z nim wdając się w miłostki— a że inaczej złemu zaradzić nie było można, stary ją wydał za owego Różyca, którego ona ani chciała znać. Małżeństwo nie pomogło nic, mąż musiał mieszkać sam, sokolnik przy pani był nieodstępny.

Bracia, którzy tego cierpieć nie chcieli, ulubienca siostry, zasadziwszy się nań w lesie, porwali i na dębie obwiesili.

Nie pomogło to nic, nie upamiętała się płocha niewiasta, mężem pogardzając, poczęła sobie innych gachów szukać, na przekór braciom, tajemnicy nie czyniąc z tego i na jaw występując z niemi. Kraków jej bywał pełen, gdzie w kamienicy pod rynkiem takie się działy uczty a swawole, że biskup musiał ją precz z miasta przegonić. Szalała więc na Panieńskiej Skale, a ojciec ni widzieć ani wiedzieć o tem nie chciał, oczy zamykając— i umierając, owo domostwo z ziemią około niego, puścił jej dożywociem.

Bolalo to braci bardzo. Po śmierci męża, wdowa żywot wiodła jaki za życia jego poczęła, nie myśląc się uspokoić. Majętności z ojca i matki miała dosyć, młodość kwitnącą, śmiałość mężką, więc do niej ludzie jak na lep ciągnęli i jak oczarowani lgnęli do niej. Za mąż—jak głośno się odzywała— nie chciała iść, aby pana nie mieć, na gachach jej za to nie zbywało.

Kogo zapragnęła sobie ująć, wzięła pewnie, a dokazywała srogie rzeczy, iż pocziwym ludziom, słuchając o nich, włosy na głowie powstawały. Bra-

cia po śmierci ojca, odgrążali się na nią coraz gwałtowniej. Chciała mieć kogoś, coby stawał w jej obronie, więc naprzód jednego z książąt umyśliła sobie przyzwać, a gdy się to jej nie powiodło, starego wojewodę krakowskiego Szezepana Pobożanina, który żonę miał i dzieci, a człek był poważny i dotąd stateczny, uwzięła się obalamucić i przyciągnąć.

Zdało się to rzeczą niepodobną, bo mąż był Boga się bojący i w latach podeszły, ale co pięknej a zalotnej niewieście niemożliwe! Święci Pańscy nieraz gorzkiemi łzami upadek swój oplakiwali. Dorota jechała potajemnie do Krakowa, wiedząc, że wojewoda tam pod czas był, z tą myślą upartą, iż go mieć musi. Słała do niego, prosząc o rozmowę, jako biedna wdowa, opieki i rady potrzebująca; wojewoda Szeze-pan udał się do niej, aby skarg na braci wysłuchać.

Piękna niewiasta dnia tego, choć się żalobno odziała, a łzy z pod powiek wymusiła, tak się wystroiła i mówić umiała a przymilać, jednać, patrzeć, wzdychać, uśmiechać, mrugać, że stary wojewoda, któremu, jak powiadano, napoju jeszcze jakiegoś poddała, ledwie pod noc wyrwać się od niej mógł, nie tyle pijany, co upojony.

I stał się eud, że ów oto dziad milezący, zimny, który nigdy na żadną niewiastę nie spojrzał, jak zielony młokos przystał do wdowy.

Drugiego dnia sam już pojechał do jej domu, a trzeciego wybrał się na Skąły do niej, i już ludzie dziwowali się a gwarzyli, że go miała, że rzucała nim jak sama chciała.

Stał się z tego rozgłos wielki, tak, że Gedko biskup krakowski, widząc zgorszenie jawne, bo stary się ze swoją miłością kryć nawet nie umiał, zwołał do siebie krewniaka, a strofował go mocno.

Gdy i to nie pomogło, zagroził mu, że będzie trwać w grzechu, ile razy do Krakowa wjeżdżać zechce, każe nań w dzwony bić, jak na jawnego zło-czyńcę, aż będzie musiał precz.

Ułakł się trochę wojewoda i opamiętał, ale to krótko jakoś trwało. Dorota z obawy, aby jej nie porzucił, z małym dworem, przebrana sama pojechała do niego; wygnać jej nie śmiał i popadł znowu w dawne zdrożności.

Niewiasta bo była jakby stworzona na pokuszenie ludzkie.

Przy najdorodniejszych mężczyznach gdy stanęła, żaden jej i o pół palca nie przerastał głową, a była tak zbudowana, iż się przez to wielką nie wydawała. Urodę miała nie tylko twarzy, ale całego ciała tak przedziwną, iż gdy zwyczajem onego czasu włożyła suknię bardzo obcisłą a szła, ludzie stawali patrzeć, jak na cudo. Przytem i lice było pańskie a królewskie, oko czarne, ogromne, nasek orli, usta maleńkie, czoło jak ze słoniowej kości utoczone, włos ciemny, gdy go puściła, do kolan sięgał. A wszystko to niczem było przy kunszcie niewieści, czynienia z siebie co się jej zamarzyło. Mogła godziny jednej być straszną i miłą, wesołą i smutną, jak chciała. Łzy rzęsiście miała zawsze w pogotowiu na zawołanie, a w mowie jej nikt też nie sprostował. Na mężtwie nie zbywało równie, im trudniejszem co było, tem się chętniej do tego brała. Z koniem w Wisłę skoczyć, przepłynąć ją, na górę się wdrapać, z urwiska się rzucić, na zwierza się porwać z oszczepem, niczem dla niej było. A zachciało się jej potem doma niewiastą być łagodną i miłą, potrafiła jak najlepiej.

Żeby zaś kogo miłować miała naprawdę, oprócz może powieszonego owego przez braci sokolnika, nie wierzył nikt. Z mężczyznami zabawiła się tylko, mieniając ich jako dziecię kukły; jeżeli się nawet który więcej podobał, po kilku dniach pewnie pogardliwą dostał odprawę. Ci, którzy u niej łaski wprzód mieli, a potem zostali odegnani, szaleli chcąc się pomścić—ona się z nich wyśmiewała.

Szydła też ze starego swego wojewody, który zalecając się młodej wdowie, śmiesznym się stawał,

bo córki od niej miał starsze; ale że potrzebowała obrony i opieki, na uwięzi go trzymała. Bracia patrząc na to, co Dorota dokazywała, żżymali się i wściekali, ale z wojewodą Szczepanem zadzierać się nie chcieli, mając zawsze nadzieję, że na babę z czasem przyjdzie upamiętanie, albo wreszcie znajdzie się dla niej mąż, który płochości jej płaszczem swym pokryje.

Tymczasem po staremu wszystko szło, gdy wojewody nie było, młodzież się w murowance na Skałach zbierała, sprawiano uczty, przybywali grajkowie, rozlegały się pieśni, wino lalo w bród i po nocach otwarte okna gorzały tak, że ludzie pobożni zdala na nie patrząc, żegnali się.

Miała to do siebie owa Dorota z Tęczyna, że sama zuchwałą będąc nad miarę, najwięcej się rozlubowywała w ludziach mdłych a spokojnych, w nierozgarniętych wyrostkach i w takich, co swej woli mieć nie śmieli. Zresztą, byle kto wesół był, niebrzydtko wyglądał, pieśni zawodzić umiał, do płasów się zdał, głowę miał tęgą, gębę wyprawną, przyjmowała u siebie chętnie. Na te zaś czasy, gdy sama w domu ze dworem być musiała, że samotności znieść nie mogła, trzymała czeladzi i dworzan pleci obojej czeredę wielką. Dziewcząt zawsze przy niej bywało dwanaście co najrychlejszych a zręcznych, a że z nich często która ubywała, albo za mąż idąc, lub pochwyciona bez wieści przepadając, zaraz na ich miejsce drugie dobierała sobie. Nie obawiała się Dorota, aby przy niej która piękniejszą się wydała, bo miała taki urok, że wszystkie gasiła.

Z różnych jej miłostek przemijających, z których tajemnicy nie czyniła, najnieszczęśliwszą była jedna, z której się wyśmiewano po cichu. Podtenczas gdy jeszcze książę Kaźmierz w Krakowie przebywał i dosyć płocho czas trawił, choć naprzemiany i mądrymi się zajmował rzeczami, zobaczyła go Dorota naprzód w ulicy idącego, a że młodzian był bardzo piękny,

nad którego chyba we wszystkich tych ziemiach urodziwszego nie było, wpadł jej w oko bardzo. Wiedziała też, że od niewiast nie stronił, za co go duchowni strofowali i w końcu ożenili, aby odwieść od nich.

Rozmiliwała się w nim zdala Dorota, mówiąc sama, że dla tego pana, o sokolnikuby nawet zapomniła. Szukała go, zabiegała, w końcu i znalazła, ale Kaźmierz, którego o to pomawiano, że dla niewiast słabym był, dla tej się okazał surowym i obojętnym. Czyniła co tylko mogła, aby się zbliżyć doń i zjednać go sobie — i ten raz się jej nie powiodło. Żal miała wielki, zapomnieć nie mogła tej porażki, tak, że często powtarzała:

— Niema nieszczęśliwszej niewiasty nademnie, albo mi to co kocham śmierć weźmie, lub wstręt odemnie odpycha.

Frasowała się tem wielce Dorota, że Kaźmierza w swe sieci ułować nie potrafiła, biadała na to ciągle, a nie wychodziło jej to z myśli i teraz. Ci, co ją znali, zapowiadali, że prędzej, później na swoim postawić musi, bo wiadano powszechnie, iż księcia mimo jego woli z Rusinką ożeniono i serca do niej wielkiego nie miał.

Tymczasem wdowa, choć jej ten Kaźmierz w pamięci był, zabawiała się jako przedtem, a co było w Krakowie i okolicy młodzieży ziemian i rycerzy, ciągnęło do niej na płasy, uczty i śpiewy. Czas tam schodził jak najmilej, choć nieraz zazdrośni się pookrławiali, a nie jeden te rozkosze życiem przypłacił.

Starzy ojcowie synom tam na Skałach bywać zakazywali, matki dzieci straszyły Dorotę jak wiedźmą, ale utrzymać było trudno, sama ciekawość ciągnęła, wyrostki i mężowie dojrzali jak w dym biegli do wdowy.

Tylko gdy się wojewody spodziewano, który widzianym być nie chciał, gości odprowadzała Dorota, inaczej zawsze im była rada. Stoły dzień i noc były

pozostawiane, izby pooświecane, grajki brzdąkali, dziewczki śpiewy zawodziły, a wśród tego gwaru i wesela, czasem chodziła jak skamieniała, posępna,— a gdy kto do niej przemówił, nie wiedziała co odpowiedzieć.

Dnia tego, gdy Stach szczęśliwie się wyrwał z pod sądu, a Bogorja z towarzyszami ujęli go w podwórcu zamkowym, poszli naprzód wszyscy w miasto zażywać dobrej myśli, potem zachciało im się psów, sokołów i koni próbować—i puscili się ku Tęczynowi.

Tu zapędziwszy się dość daleko, Bogorja, który wdowę Dorotę dobrze znał, bo nawet przez dni kilka u niej był w łaskach takich, że się ze Skał nie ruszał i jak w domu się u niej rozgościł, począł drugich nakłaniać, aby jechali do wdowy. Wielu się wzdragalo, Stach też, który o niej słyszał, brzydził się płochą niewiastą, ale Jaśko nalegać zaczął, upewniając, że długo tam popasać nie będą—kilku się więc jechać zgodziło, a Stacha tem pobudzili, że mu o zabiegach Doroty około księcia Kaźmierza z przy-padku opowiadano, skłonił się więc jechać, aby poznać niewiastę, którą za niebezpieczną uważał.

Ciągle myśląc o tem, jakby księciu służyć miał, wziął zaraz do serca, aby bałamuctwu temu, szkodliwemu dlań, przeszkadzać.

Droga boczna do dworu wiodła pod górę, wijąc się nad urwiskiem, u którego stał on drzewami staremi otoczony.

Dnia tego pusto jakoś było dokoła w domu nad pospolity zwyczaj cicho. Że droga stroma była bardzo, posiadali wszyscy z koni i szli śmiejąc się pieszko. Już byli pode dworem, gdy na łące dębami wkoło ostawionej, które się właśnie świeżym liściem okryły, postrzegli Dorotę o pień drzewa opartą, siedzącą na ziemi, samą jedną. Głowę miała w tył odrzuconą i patrzyła kędys w błękit niebios, gdzie skowronki zwijając się śpiewały. Smutną się wyda-

wała i znużoną. Zdala dziewczęta uwijające się około domu, czekały, aby je zawołała.

Gdy na drodze ukazał się Bogorja i śmiechy słyszeć się dały, wdowa popatrzyła na przybywających, poznała ich pewnie i chustką, którą miała w rękę, na powitanie powiała.

Stanęli tedy goście przed nią, kłaniając się, a Jaśko, który był wygadany i już tu obyty, wystąpił z przemową. Stacha nie знаła, więc go stawiono przed nią jako Zaborę z Przegaja, świeżo ze szpon Kietliczowych szczęśliwie uwolnionego.

Mileżąca z początku wdowa, wstała twarz rozcłmurzając, bo miała to w naturze, że ją nowi ludzie najwięcej zabawiali. Jak dziecko zabawkę nową, chwytala ich, póki złamawszy rękę lub nogę, precz nie odrzuciła.

Popatrzyła na Stachę, który choć do zbytku młodym nie był, przystojną miał twarz i postawę rycerską, wnet poczęła go pytać o to i owo i tak wiodła do dworu. Stacha uderzyło to, że choć słuszniejsza wzrostem, śmielsza jeszcze w obejściu, podobną była do Sciborzanki. Lecz gdy tamta na nim czyniła wrażenie miłe, ta mu się wydała wstrętliwą.

Obyczajem było na Panieńskim, że w dolnej izbie wielkiej, przyjęcie i stół zawsze były dla gości gotowe. Skinęła tylko na służbę, wnet niesiono misy i dzbany.

Gospodarzem był stary i siwy Przegala, który ochmistrzował u stołu, wesół zawsze, przepijał, zachęcał i panią zastępował. Człek był mimo siwego włosa śmieszny jakiś, nikt go nie szanował, naśmiewać się z niego było we zwyczaju. Dorota lajała, goście stroili zeń żarty; on to wszystko znosił, jakby skórę miał łosią i nie przez nią nie czuł. Poszturgano go czasem nawet, na ręce pochwyciono, sińce mu się dostały; nie poskarżył się nigdy.

Głodna gromada zaraz się do stołu przysiadła. Izba też owa murowana z głęboko w ścianach sie-

dząciami okienkami, z pułapem, który miał misterne belkowanie, chłodna, dość jasna, opatrzona w ławy kryte, posypana zielenią, do wesołego wytechnienia dobrze się nadawała.

Chociaż Stach rad był zdala się trzymać od wdowy i przypatrywać się jej tylko, Dorota nie puściła go, rozpytując się o przyszłe życie, o rodzinę, o niego samego tak, że gość był jak na mękach, bo kłamać nie lubił, a tu się ni tem, ni owem zaslaniać musiał, aby się nie wydać, kim był. Dowiadywała się, kędy bywał, co robił, kogo znał, a zbywając się ciekawej, Stach przebąknął, że i na dworze księcia Kaźmierza był czas jakiś, gdy w zastawie u Rudobrodego siedział.

Zaledwie księcia Kaźmierza wspomniał, gdy niewiastę jakby co poruszyło, uczepiła się go mocniej jeszcze, nie odpuszczając od siebie.

— A miłujecie wy księcia Kaźmierza? — spytała — boć to pan, którego nie wiem jak mężczyźni, ale niewiasty wszystkie za nim przepadać muszą!

— Mężczyźni go też kochają — rzekł Stach bo nie można z nim być, znać go, aby się w nim nie rozmiłować. Niewieściej miłości on nie żądny — dodał — bo miał jej i ma pod dostatkiem.

Dorota, jakby nie słyszała, mówiła dalej:

— O! piękny pan jest jako żaden, królewską krew w nim czuć!

— I serce też królewskie — dorzucił Stach mimowoli.

— O, ja o nim też wiem wiele — mówiła Dorota — bo on u mnie w głowie i sercu oddawał! Albo to nie piękna historia tego Stacha z Konar niegodziwca, co śmiał go uderzyć, a któremu on tak wspólnie przebaczył!

Stach głowę spuścił, aby skryć nagle na twarz nderzającą krew. Dorota nie przestawała.

— Wyście powiedzieli, że on miłości niewiast nie żądny, a ja wiem, że tak nie jest. Piękne liczko

mu mile! Żonę mu narzucili, mówią nie hożą i nie spełna rozumu, miłośnice musi mieć. A czemuby ich nie miał?

— Jako żywo ich nie ma — przerwał Stach — na dworze żadnej nie słyhać. Więcej tam księży, niż niewiast, a co z księżną Heleną najechało z Rusi, na to się nikt nie połakomi, bo umyślnie dobierali pono, aby zgorszenia nie było.

Dorota się rozśmiała.

— Wy widać nie o wszystkim dobrze wiecie — odrzuciła śmiało — ja na pewno wiem, że choć jedną miłośnicę i pewno ją jeszcze ma! Mnie on głowę zawracał ten piękny książę — poczęła z dziwną otwartością — nie sromam się wyznać, że wołałabym go nad was wszystkich wiele jest.

Uśmiechnęła się lekceważąco, dumnie, Stach na nią spojrział, ciągnęła dalej:

— Był taki czas, żem ja go koniecznie ująć chciała, ale ani patrzeć nie myślał. Zarazem wyrozumiała, że inną krasawicę musi mieć, boby nie oparł się mnie.

Rozśmiała się sucho, przykro, aż po Stachu ciarki poszły.

— Ja jak mi co na sercu legnie, nie zaśpię, nie spocznę, aż na swoim postawię — mówiła Dorota.

Stach, którego to paplanie gniewało już, przerwał umyślnie.

— Pewnie miłość wasza tyleście się dowiedzieli, co i cały świat wie. Nie tajna to nikomu, że książę jakąś niewiastę zdawna sobie upodobał, że się do niej wykradał, a choć duchowni karcili, nie porzucił jej pono, ale kto ona i gdzie jest i jaka, o tem nie wie nikt, i wy miłościwa pani wiedzieć nie możecie.

Dorota głową potrząsała.

— Ja pono wiem trochę więcej — dodała dumnie — przyznam się, żem nie doszła, kto ona niewiasta jest, ałem widzieć ją widziałam.

Stach z Konar. T. I.

Stach ciekawie a niedowierzająco popatrzał na nią.

— El! el — syknął na pół szydersko.

— Nabiedowałam dobrze, namarzyłam i przy-marłam głodem — ciągnęła dalej wdowa — a było tak, że m ludzi przekupiła, aby wiedzieć, kiedy na te łowy książę wyjedzie, z których w lasy gdzieś zbiega i znika, i po kilka dni go nie widać.

Puściłam się śladami w pogoń za nim, a com twarzy i rąk nadarła o krzaki, tom nie czuła wcale, bo w takiej pogoni gdyby i głowę urwało, nie zarazbym się opamiętała.

Wszyscy słuchali ciekawie, nie zmieszanie mówiła ciągle Dorota.

— Otóżem ich złapała we dwoje, w chacie na lasach, stałam na czatach, aż póki się nie rozjechali. Gdy ruszyła ja w pogoń za nią. W głuchej puszczy, gdy konia już pędzić nie mogła, spotykałyśmy się oko w oko. Hoża dziewczka a śmiała! spojrziała na mnie grożąc oszczepem... Myślę, że ubiłaby mnie, gdybym popatrzywszy nie dała jej ujsć, bo pocóż gnać ją było? Chciałam tylko wiedzieć, która z nas piękniejsza.

Stach oczyma zdawał się zadawać pytanie, ale wdowa nie odpowiedziała na nie.

— Myślałam jeszcze zajść ich w chacie, ale jeździć do niej przestali, albo ją Kaźmierz porzucił może.

— Ludzie o tem plotą baję—odezwał się Stach—prawdy pono nie wie nikt. Bywało co może, ale przebyło pewnie. Pobożny i mądrość miłujący pan, choć młodość miał burzliwą, ożeniwszy się, starego obyczaju zaniedbać musiał.

O książętach radzi ludzie mówią i więcej zawsze, niż prawdy jest.

Dorota rozśmiała się, czarne jej oczy błyskały straszno i groźnie.

— El! ty pobożny czleku!—zawołała.—Myślicież

wy, że kto za młodu kosztował napoju, na starość trzeźwym być może? O! nie!

Albo ust weń nie maczać, albo się upijać potrzeba.

— Nie będzie ta, będzie druga! — dokończyła — i nagle zmieniając rozmowę, poczęła całę inną, zwracając się do Bogoryi i towarzyszków.

— Cóż u was słyhać w Krakowie? Kochacie bardzo Mieszka? he? dobry pan? nieprawdaż? Widziałam go raz, dobrze go starym nazwali; pewnie młodym nigdy nie był! wygląda jak niedźwiedź, gdy go z barłogu ruszą, broda mu się rozczochrana do góry zadziera, a usta ma jakby ćwiekiem zabite! He! dobry pan!

Cóż myślicie z nim żyć?—plotła prędko i żywo.—Nie babska to rzecz kto tam rozkazuje i rządzi, ale pomyśleć wstyd nawet niewieście, że on wam na łbach kolki ciesze, a wy stoicie jak trusie. El! el! z mężów się teraz baby stały, zobaczycie wkrótce, z was się mężowie porobią! Za Szczodrego się ziemiaństwo nie dało, za Włodka też nie pozwolili sobie oczów łupić bezkarnie, a no teraz Kietlicze z wami robią co chcą!

Stach usta zaciął, prawda mu do smaku, ale, że baby nie lubił od pierwszego wejścia potakiwać jej nie chciał.

Ona ciągle mówić jeszcze nie przestawała.

— El! el! żeby ja na waszem miejscu była, wiedziałabym co robić. Mieszka by posłać w pogoń na Niemcy za Władysławem, niechby razem cesarzowi służyli, a Kaźmierza na pana wziąć! Zarazby nam było raźniej, bo dobry pan, a co mnie, serce by aż poskoczyło, bo do Krakowa niedaleko, takiby choć spojrział.

Rozśmiała się pokazując zębki białe, wstydu najmniej nie okazała, tak jej to szło z ust, jakby nie czuła nawet, że zasromać się była powinna.

Jaśko Bogorya stojący blisko, wysłuchawszy co mówiła, skinął ku niej.

— Nie od rzeczy mówicie — odezwał się — ale kto co poczynąć chce, zawczasu nie trąbi z wieży!

Jak do was pan wojewoda Szczepan przyjedzie, z którym wy czynicie co chcecie, jemu o tem szepnijcie... Oni we dwu z księdzem biskupem więcej mogą niż nas stu.

Na wspomnienie o wojewodzie, Dorota uśmiechnęła się inaczej, brwi się jej namarszczyły, cisnęła na Bogoryę liśmi, które trzymała w ręku.

— Co ty mnie wojewodą czy będziesz wypiekał? — odezwała się — myślisz, że ja się tego starego dziada wstydzę, że się wypieram, iż go na powrozie trzymam, a choć biskup go za mnie wyklina, ja odczyniam śmiechem kłatwy biskupie.

— Ej! ej! toć to moja pociecha! Co za dziw, że młodzi szaleją za mną? Suche takie próchno przegniłe rozgrzać, to dopiero nie każda potrafi.

— Wojewoda? — dodała — o wilku prawisz, tylko co nie widać, dlategoście mnie zastali samą i zasępioną. Dziad mnie nudzi, a do śmiechu zazdrosny jest, samby rad być i wszystkich odemnie przepędzać.

Obejrzała się dokoła.

— Byle go oznajmili — rzekła — i wy się sobie wynoście, nie chcę, aby mi się siedził, a bez niego panom braci się nie oprę.

— Pójdziemy my i sami — przerwał Bogorya. — Zagadajcież o królewiczu Kaźmierzu wojewodzie, a no baczcie, bo jak poczuje, że wam on miły, to go do Krakowa nie wprowadzi.

— A wy mnie nie uczcie! — odparła Dorota — będę ja wiedziała jak mówić z nim.

Zamyśliła się piękna gospodyni, i na chwilę umilkła.

Poważniejsza nieco rozmowa niedługo potrwawszy, wpędce się na żarty i zaloty śmiało do zbytku zamieniła, ale Dorota tego dnia serca nie miała do niego, myślą była gdzieindziej, spoglądała oknami na drogę ku Krakowu, niepokoiła się widocznie,

a goście, co się trochę rozruszali, wzrokiem jej i mową onieśmieleni stygli i milkli.

Stach byłby się dawno wyrwał z tej niemilej gościny, która mu wcale nie smakowała, ale nowy człek jeszcze miał od innych więcej łaski, niepuszczano go, a z nim i drugih, i dotrwać musiał aż nadbiegł stary Przegala, oznajmując, iż wojewodę na gościńcu ujrzano.

Znakiem to było dla młodzieży, aby się chyłkiem wynosiła. Bogorya pożartowawszy z wdowy wesoło, wziął odprawę i obiecał swoich poprowadzić boczną drogą tak, aby się z Pobożaninem nie spotkali. Wdowa słuchając tej obietnicy ramionami ruszyła, jakby jej to było obojętnem.

Jeszcze Jaśko z towarzyszami ledwie był na bocznej drożynie za wrotami, gdy spostrzegli mały i skromny orszak gościńcem po cichu i jakby ostrożnie podążający ku dziedzińcowi. Stawał on i rozpatrywał się a przysłuchiwał, wysłano czleka na zwiady. Wojewoda, który zawsze co najmniej po kilkadziesiąt koni z sobą prowadził, miał ich teraz tylko kilka, całe skromny swój zwykły ubiór powszedni na bardzo pyszny i okazały strój zamienił. Wjeżdżając już we wrota, jeszcze jakby się obawiał być spostrzeżonym, oczyma naprzód powiodł po dziedzińcu ku dworowi, a nie znalazłszy ani koni, ani ludzi, ani zwykłej tu wrzawy, raźniej pode drzwiami podjechał. Widać było samą panią, która na spotkanie jego wychodziła.

Stary aż nadto żwawo na swój wiek, udając młodego, spuścił się z konia i podbiegł ku wdowie. Z nią razem znikli wchodząc do sieni.

Widocznem było z niespokojnych ruchów i twarzy Pobożanina, że się sromił tego, co czynił, a namiętność go wiodła silniejsza nad srom i postanowienie, nad groźby i przestrogi biskupie.

Razem z wdową weszli do wielkiej izby, ale tu pozostały świeże ślady po gościach, które wdowa ukryć chciała i poszeptawszy coś, posunęła się z nim

razem do bocznej komory... Tu znać było dobrze załotną zbytnie, żadna królowa pewnie kosztowniej ustrojonej sypialni nie miała.

Wszystko na co się ów wiek mógł zdobyć, składało się na jej upiększenie. Od rana podłoga posypana była wonnem zieleń i kwiatami, których zapach odurzał. Po rogach stały całe rozkwitłe i jak śniegiem osypane gałęzie czeremchy przyniesione z lasu. Na ścianach wisiały opony od jedwabów i złota, część podłogi zasłana była sukniem, a sprzęt w większej części poobijany złotem blaszkami, świecił i połyskiwał. Na stole w pośrodku stały dla oka więcej niż dla użytku zręcznie dobrane naczynia złociste, ze szkła kolorowego, nasadzone kamieniami, w kształcie zwierząt i ptaków, emaliami okryte.

Na ścianach też, na oponach pozawieszane były błyszczące naramienniki, sznur pereł, koralów i bursztynu. Srebrne konwie i misy stały u łóżka, około którego fioletowa zasłona drogo ceniona wówczas dla barwy swojej spadała w fałdach bogatych, obramowana złotem.

W tej izbie tak strojonej, pełnej woni i barw w pół mroku zlewających się w mozaikę różnokolorową, piękna wdowa rzuciła się na pościeliste krzesło poduszkami wysłane miękkimi, siadła w postawie wyzywającej i załotnej, a wojewodzie wskazała wygodną ławę, którą on zajął uśmiechnięty, usiłując się jak najbardziej do niej przybliżyć.

— Al królowko ty moja! — zawołał głosem drżącym — tęskniłem, że ja tęskniłem za tobą! A tu się ani wyrwać! Biskup bez miłosierdzia kłatwą straszy. Musiałem, Panie przebac, zwodząc go, udać się w drugą stronę i cichaczem manowcami, nocą ku tobie podążyć, ludzi moich porzuciwszy w obozie.

— I chwalcie się z tem — przerwała Dorota — jakbym to ja tego nie była warta? — Poczęła się śmiać przymuszonym śmiechem. — El ty stary! ty stary!

— Choćbym życiem nałożył, nie pożałuję go dla ciebie! — dodał wojewoda, bijąc się w piersi.

Popatrzała nań Dorota, ale w jej wzroku czułości nie było, trochę tylko litości a dużo pogardy.

— Biskupa się widzę, więcej niżeli mnie boicie — odezwiała się. — Niech on lepiej swoich księży pilnuje, aby po dwie i trzy żony nie trzymali i brody golili.

Rozśmiała się znowu.

— A! ten wasz Gedko! — dodała.

— Gedko mi powinowatym jest, a miłosierdzia nie ma nademną — począł wojewoda. — Przecie i drudzy nie lepsi odemnie, choć starzy i żonaci duchowni i świeccy, którzyż z nich kochania jakiego nie ma? a mnie biskup karci i smaga dlatego, że na widoku stoję. Od kłatwy ledwie się wypraszam.

Wdowa nie zdawała się bardzo zabawiać tą rozmową, patrzała na wojewodę i uśmiechała się niepocześnie szydersko.

— Przecież — dodała — biskup was potrzebować musi i nie obejdzie się jeśli z księciem chce rozpocząć sprawę.

Wojewoda zamilkł nagle, jakby przestraszony.

— Jaką sprawę? — zawołał — z kądem wy o tem wiecie?

— El wróble już o tem na dachach ziemiańskich gródków świergocą — rzekła Dorota — a wy jeszcze chcecie z tego przedemną czynić tajemnicę.

I ręką zamachnęła około twarzy starego jakby go uderzyć chciała. A wojewoda pochwyciwszy ją namiętnie ścisnąć i całować począł, pewnie naraz o księciu i biskupie zapomniawszy.

— Ja — szepnęła Dorota — chcę wiedzieć o wszystkim.

— O czemże?

— Co z Mieszkim myślicie uczynić?

— A cóż my z nim czynić mamy! — wyjąknął zafrasowany stary.

Dorota pogroziła mu.

— Cóż? dobrze wam z nim?

— Dobrze czy nie, przecież to tak z panem zwierzętnym nie łatwo.

Wdowa usteczka wykrzywiła.

— Nie chcecie przedemną prawdy powiedzieć bom niewiasta długowłosa i długojęzyczna. Mniejsza o to! Wiem przecie dobrze, iż ziemianie z Mieszka nie radzi, a więcej jeszcze z Kietlicza.

— To nie tajemnica dla nikogo — odparł wojewoda — przecie próbować potrzeba, nietykając księcia, Kietlicza wygnać. Tak ci bywało z Sieciechem i z Dobkiem, gdyby w czas go odegnali nie poszedłby Władysław precz

— Wyście tchórze i miękkich serc ludzie — przerwała Dorota — jeśli wam Mieszek dobry, niech na barkach siedzi — Kietlicza nie stanie, znajdzie się drugi. Wyrwiecie babie pomiotło, to weźmie kociubę, baby się zbyć trzeba, aby koniec był.

Pobożanin zamyślony w frasobliwej zadumie, nierychło mówić począł.

— Biskup — rzekł — musi użyć naprzód wszelkich środków do upamiętania księcia, nim wyrzeczy słowo ostatnie, które zważy biskup...

Dorota mu nie dała dokończyć.

— E! słowo! słowo! co tu po słowach — rozśmiała się lekceważąco — weźcie za miecze i tarcze, one tu potrzebniejsze od groźb i napomnień biskupich. A co pomogło, gdy Gnieźniński Wodzisława wyklinał?

Macie księcia Kaźmierza pod bokiem, z którym by wam było jak najlepiej, a wolicie starego tego cierpieć.

Na wspomnienie Kaźmierza wojewoda niespokojnie z siedzenia się ruszył.

— Najmilsza królowko moja — zawołał czule — jam do was przybył zapomnieć o wszystkim, upoić się wami, a wy mnie książętami karmicie, których ja

mam do syta, i nędzę moją powszednią! Dajcież bo mi lepiej w oczy wasze popatrzeć i... — Wojewodzie plątał się język.

Rozmówany starzec drżący, tak był śmieszny, gdy powagę swą na młodzieńczą swawolę chciał mieniać, iż Dorota mu się w oczy rozśmiała.

— E! stary ty grzybie — przerwała mu nagle — młodości ci się zachciewał! Biedaku ty! nie wraca ona, nie wraca!

Purpurą okryła się twarz wojewody, który blizkim był gniewu, ale dość było wdowie spojrzenia nań, aby niechcąc go przywozić do rozpacz, zmieniła ton natychmiast. Białą rączką pogłaskała po zmarszczonej twarzy i tem trochę ulagodźwszy, klasnęła w rękę.

Dwoje dziewcząt z długimi kosami, w białych obcisłych sukienkach, w wiankach różanych na głowach, wbiegło na próg.

— Hej! żywo, grzanego wina dla pana!

Był to środek, którego zwykle używała Dorota, aby się trochę jego pieszczot i umizgów pozbyła. Wniesiono zaraz dzban pozłocisty i kubki, sama nalała mu po brzegi. Wzdrygnął się zrazu, bo znał napój zdradliwy.

— Dla miłości i dla rozkazania mojego musicie pić! — zawołała i sama mu do ust, śmiejąc się, kulek przyłożyła.

Patrząc jej w oczy, rad nie rad, wojewoda pić musiał. Wnet Dorota, unikając czulszych rozmów, zagadnęła o sprawy poważne.

— Nie myślcie — rzekła — że ja darmo się tak troszczę, co się z Mieszkiem stanie. Rozumiecie to, że bracia, którzy czyhają na mnie, nienawidzą, radziby mnie pochwycić i zamknąć, u Mieszka służyć, jemu dworują i z Kietliczem na mnie znowy czynią. Jeżeli Mieszko rządzić będzie, mnie chyba w świat przyjdzie uciekać!

Wojewoda się porwał gwałtownie.

— Do tego nie dopuszczę! — zawołał. — Gdyby uchowaj Boże, targnąć się i porwać was śmieli, z wojskiem bym na Tęczyn poszedł i zdobył go, aby was uwolnił!

— I nim byśmy go zdobyli, bracia by mnie udusić dali! — odparła Dorota. — Niema co czekać, panie wojewodo, chce się wam ze mną spokojnie siedzieć i zalecać się, myślcie zawczasu o Mieszku i o Kietliczu. Muszą oni przez iść!

To mówiąc, staremu drugi kubek nalala, a że się opierał, znowu poddała mu go do ust ręką własną, gładząc drugą po twarzy.

— A no, pijcie! — rzekła, swawolnie nóżką tupiąc. — Nie wiecie chyba, że wino was odmładza, rumieni się zaraz twarz, oczy pobłyskują, zarazeście inni! Pij, miły wojewodo, pij!

Oczarowany starzec, chciał ją wpół ująć ręką, ale mu się zręcznie wysliznęła. Musiał naprzód spełnić kubek, po którym, gdy go wino grzane a korzenne rozmarzać zaczęło, pochylił się na poręcz ławy i westchnął. Czuł, że mu ono nie dodawało siły, a odejmowało.

Dorota siadła opodal trochę, dała znak, z drugiej izby ode drzwi ozwała się pieśń dziewcząt, która miała do reszty starego rozmarzyć gacha. Była już teraz uspokojoną, że zbyt natarciwym nie będzie.

Trzeci kubek rozpaczliwie sam już wychylił za zdrowie gospodni i tak w nią patrząc nieruchomy, przykuty do ławy, pozostał z oczyma osłupiałemi.

IX.

W rozwartem oknie biskupiego dworu w Krakowie, w jednej z izb jego przedniejszych, której ściany ciemnem obiciem były pokryte i zawieszone godłami pobożnemi, stał mąż lat średnich, z twarzą posępną, zadumany.

Chociażby nie miał na sobie stroju duchownego, krzyża złocistego na piersiach i ogromnego pierścienia na palcu, choćby miejsce w którym się znajdował nie kazalo się domyślać jednego z najwyższych dostojników, — z postawy i twarzy wszędzie w nim łatwo było poznać człowieka wielkiego rodu, ciężkie brzemie dźwigającego na ramionach.

Twarz to była już długimi laty jak wyrzeźbiona do infuły, usta nawykle do błogosławieństwa i nauczania, rzekłbyś, jedna z tych głów Cezarów rzymskich, w twardym kamieniu wyrzezana, co się wiekom oparła, świadcząc, jakiego majestatu panowie ziemią dawniej władali. Czoło wysokie jak kopuła świątyni, siwiejącemi włosy gdyby wieńcem opasane, mimo zmarszczek, które myśli na niem poorały, wypogodzone było siłą woli. Z pod niego patrzyło oczu dwoje wielkich, jasnych, niezamglonych, choć barwy lazuruwej i razem łagodnych. Usta, około których pofaladowała się twarz pełna, wyraz miały zgodny z wejrzeniem, namaszczone były dobrocią razem i ukrzepione siłą. Całość przedstawiała piękne harmonijne oblicze, choć ze śladów na niem pozostałych widać było, że się ono ogniem i potęgą wielką zmienić mogło w groźne i nieubłagane.

Cała postać odpowiadała wspaniałej głowie, a była krzepką, silną, pełną, choć nie rozrosła zbyt znacznie. Pół kapłana, pół rycerza, coś królewskiego w nim było, a więcej nad wszystko spokoju i majestatu, jaki daje poczucie własnej potęgi.

Był to Gedko Gryf, biskup krakowski, po gnieźnieńskim metropolicie, pierwszy w Kościele dostojnik, a ze stanowiska swojego przy głównej państwa stolicy, u boku najwyższego księcia, często większego wpływu i znaczenia na losy kraju od samego arcybiskupa.

Kraków liczył się za gród główny, w Krakowie wiązały się i rozwiązywały sprawy państwa, ziemiaństwo też i duchowieństwo krakowskie nad inne miały powagę większą i przewagę. Duchowieństwu zarówno i ziemianom przodował biskup. Władzy książęcej można się było naówczas opierać i ziemianie butni porywali się na nią łącznie; na powagę ojca i pasterza nikt nastawać nie śmiał.

Biskup był tu panem istotnym.

Szczęśliwą też była ta stolica, że na niej jeden po drugim zasiadali mężowie dorośli do wysokiego swego stanowiska; po Rupercie Cholewa, po Cholewie Gedko. Takich właśnie potrzeba naówczas było państwu i kościołowi. Łagodny Rupert zajmował się budową katedry, Cholewa uczony światło szerzył i uczonych gromadził ku sobie, dowcipem swym rozbudzając umysły, Gedko pod te czasy grożące niespokojem, gdy ziemianie z panów swych nie radzi, burzyli się, stawiając im ostro, musiał najwyższą władzę w silnem trzymać ręką, aby jej między siebie nie rozerwało niespokojne rycerstwo. Gdyby jej nie ujął w dłoń żelazną, zamieszkom i bezrządom nie byłoby końca.

Od Szczodrego już rosła moc ziemian, którzy z duchowieństwem razem wyparli zabójcę biskupa na wygnanie. Od tej pory ziemianie coraz głośniejsze sobie przyznawali prawo stanowienia panów i rzucania ich, gdyby nie po myśli im rządili. Miał książę prawo, nie pytając nikogo, leć dać uciąć ziemianinowi; ale gdy się zań butne rody ujęły, precz też iść musiał.

Gedko nie od dziś w rozmyślaniu pędził godziny

swę i rozterce z sobą. Wiedział on co się działo: na Kietlicza wykrzykiwano, odgrążano się na księcia, zjazdy po zjazdach się mnożyły, w Krakowie, po gródkach tu i owdzie już coraz głośniejsze przebąkiwano, że Kaźmierz lepszym by był, że potrwa li Mieczysław, swoboda i prawa ziemian za niego przepadną. Duchowieństwu też zagrażała samowola księcia, bo nie tajemem było, iż Mieszko się i na biskupów odgrążał, że ich do posłuszeństwa przywiedzie. Trzeba było ratować kraj od zamieszania i samowoli.

Biskup dnia tego wysłał był właśnie po wojewodę Szczepana, który mu powinowatym był i we wszystkim szedł za nim. Gedko znał jego nieszczerliwe miłostki i oburzał się na nie, ale bez Szczepana obejść się nie mógł. Postanowił więc razem zagrozić mu i przywieść do upamiętania, a naradzić się, co czynić przystało, aby się uciskowi oprzeć i praw swych bronić.

Wysłany w świat za wojewodą dworzanin biskupi, Samko, pojechał był języka dostawszy do dworu wojewody w mil kilka od Krakowa, ku górcom położonego. Zastał tam orszak jego, dwór i kilkuset ludzi leżących obozem; powiedziano mu zrazu, że Pobożanin chory był, że widzieć go pod czas nie mógł, ale sprawny Samko rychło się dorozumiał, iż wojewody na dworze nie było, a kędy go szukać miał, o tem mu powiadać nie potrzebowano.

Miłostki wojewodzińskie, o których już raz dzwony krakowskie z rozkazu biskupiego głosiły, nikomu nie były tajne, namyślał się więc krótko Samko, co miał czynić i, że sprawa ważną była, ruszył zaraz nazad wprost na Panieńskie skały. Tu przybywszy i ludzi wojewody znalazłszy, mocno ich zmieształ tem, że biskupi posel na gorącym ich złapał nieczynku. Koniuszy Pobożanina, wierny jego sługa nieodstępny, który mu wszędzie towarzyszył, natychmiast do dworu pobiegł oznajmić panu.

Wojewoda właśnie upojony słuchał pieśni, oczy-

ma chodząc za wdową, która mu się szydersko uśmiechała i starała uspokoić, aby sobie marząc wypoczywał, gdy koniuszy i ochmistrz Przegala nadbiegli, dając staremu znaki. Zrazu upojony nie zrozumiał ich; wyszła sama Dorota do nich, a dowiedziawszy się o posłańcu, gniewna wypchnęła zaraz wojewodę, aby biedę latał jak chciał.

— Biskup niema wiedzieć, żeś tu był! — rzekła rozkazująco i gniewnie. — Dosyć już na mnie nawieszali sromu. Czyń co chcesz!

Wybiegł stary do podsienia, na nogach się chwiejąc, bo mu wino w głowie szumiało, strapiiony i zburzony.

Tu koniuszy nań czekał i rzekł krótko:

— Samko, posłaniec biskupi, przytarł aż tu, widział was, domaga się gwałtem do miłości waszej.

— A niech idzie na wskroś ziemi! — krzyknął w uniesieniu wojewoda — niech przepada! Ubij go, rób z nim co chcesz, a mnie tu nie było i nie ma. Słyszysz! zapakuj mu głowę złotem, aby milezał. Nie ma mnie tu... nie było, niech idzie przez do kula-wego szatana, szpieg ten niegodziwy!

Kto mu o mnie powiedział? kto zdradził, bodaj go pioruny paliły!

Ja jutro do biskupa przybędę!

Koniuszy chciał coś odpowiedzieć, gdy wojewoda dodał pośpiesznie:

— Daj mu co sam chcesz! łańcuch z szyi, kiesę moją całą, aby mi przed biskupem milezał. Mnie tu niema! niema! niema! nie było nigdy. Niech mi się ztąd wynosi!

Tak odprawiony koniuszy, pobiegł posłuszny pańską sprawę naprawiać, lecz źle stała. Samko, dworzanin biskupa, przyjąć nie chciał, mileczeń obiecywał, ale się domagał, aby wojewoda zaraz z nim jechał do Krakowa.

Gdy koniuszy z tem do starego pana powrócił, wyszła doń razem z wojewodą Dorota, rozsierdziwszy

się mocno, jak to jej było łatwo. Wnet wojewodzie płaszczy podawać kazala, miecz przypasać, konia doprowadzać, aby nie mieszkając jechał.

Stary gniewał się, opierał, modlił, prosząc do jutrzejszego ranka — nie pomogło nic. Dorota rozkazywała, słuchać musiał. Co się tam przekleństw posypało po cichu, zliczyć nie można.

Kazano na kilkoro stać przodem jechać posłańcowi biskupiemu, a otrzeźwiony już wojewoda, rad nie rad, konia dosiadł i kazawszy go przez las i wąwozy w rękę wieś przy łuczywach, nie pożegnany prawie, ruszył nocą już ku Krakowu.

Po kilku dniach ciepłych, jak na biedę od Tatrów ciągnęła burza, chmury ciemne waliły, błyskało zdala strasznie i nimby wojewoda do miasta się dostał, ulewa się obiecywała. Jechać przeto musiał, gniew mu siły dodawał i gorącości młodzieńczej. Ochłonał rychło z miłosnych zapalów i sam już je teraz sobie wyrzucał, sromując się po czasie.

Nadciągnęła nawałnica, pioruny zaczynały traskać w okoliczne drzewa, gdy po utrapionej tej wędrówce nocnej, wojewoda stanął na dworcu biskupim. Było późno, ale się jeszcze u Gedki świeciło, bo czekał na wojewodę, modlił się i sen go nie brał. Właśnie kończył pacierze, gdy Szezepana mu oznajmiono.

Wyszedł kapłan z surową twarzą przeciwko niemu, ale że obcy ludzie byli przytomni w pierwszej izbie, rękę dał do pocałowania i nie nie mówiąc, powiódł przybyłego za sobą.

Wojewoda szedł czując winę swoją, gotując się na wyrzuty, upokorzony, milczący, zawstydzony, gdyż wiedział, że Gedko się domyslił zkąd go ściągnięto. Choćby mu o tem nikt nie powiedział, gdzie znaleziono starego, ze zdradzieckiej twarzy starca byłby odgadł winę!

Zamknęły się drzwi za niemi, Gedko odwrócił się do krewniaka, stojącego w pokornej postawie, popatrzył nań i poruszył głową.

— Szczepanie mój — ozwał się, ręce załamując — będziesz że ty wiecznie zakamieniałym grzesznikiem?

Wojewoda podniósł głowę milcząco.

— Widzę z twarzy twej, na której się pocziwsze od ciebie odbiło sumienie, że znowu popadłeś w sidła wszetecznicy! Miłościwy Boże! policz-że się z latami, rachuj z sumieniem, rozum powołaj, patrz na dostojęństwo, które ci w ręce dano — a godziż się to? a godzi?

Szczepan belkotał:

— Ojcie mój! ale cóż... cóż się stało?

— Ja o niczem nie wiem — rzekł Gedko — ale ty sam się obwiniasz! Nie masz wejrzenia i twarzy człowieka, co staje z czystym sumieniem.

Ręce załamywał biskup. Wojewoda po spotniakem czołe powiodł dłonią drżącą, jakby z niego zetrzeć chciał ślady myśli i westchnął głęboko, bijąc się w piersi.

— Bracie kochany — mówił Gedko — ty i ja stojemy na straży pocziwości ziemi tej; cóż będzie, gdy ta straż sama jawnie grzeszną się stanie? gdy sól ziemi tej zwietrzeje?

Małym jest grzech jeden, ale jak plugawy robak mnoży się on w tysiące. Nie swój tylko grzech, ale zrodzone z niego mieć będziesz na swem sumieniu, a ja wasze wszystkie, jeżeli im pobłażę.

Powietrze to, którem na biskupstwie oddychał, zdało się odczyniać na niego, wojewoda upokorzony ciągle się bił w piersi i stękał.

— Ojcie mój! — wyjąknął — winienem, ale poprawę obiecuję.

— Nie dosyć jej chcieć — zawołał biskup — trzeba na nią pracować. Znasz słabość swą, uciekaj od tego, co ją sprowadza. Nie idź tam, gdzie upadaś! Bracie mój, bracie! — dodał coraz silniej — ty mi zakrwawiasz serce, ja cię kocham, a muszę ci być sądzia i katem, bobym z tobą winę dzielił.

Gdy nie pomoże nic, świecę wezmę i rzucę

— wyklnę cię, do kościoła nie puszcę, z miasta znowu wydzwonię.

Wojewoda po rękach go całował.

— Ojczulku — rzekł — nie będę! Niech lichy porwie tego szatana niewiastę! urok rzuciła na mnie... Przysięgam ci, sromam się, płaczę, a siła jej nieczysta wlecze mnie.

Biskup krzyż zrobił nad pochyloną jego głową.

— *Vade retro Satanas!* — szeprał.

Zadumany parę razy przeszedł się po izbie, dając odetchnąć wojewodzie, który wzdychał i ciągle pot z czoła ocierał, choć go już na niem nie było.

— Zbierzcie myśli — mówił biskup po chwili — bo nie o tobie i nie o płochych sprawach twych mówić mały, ale o tem, co nad wszystko waży.

Zwrócił się ku niemu.

— Tak, radzić potrzeba, a nie płocho. Pora po temu. Ziemianie na skargi do mnie płyną, żyją mają się, srożą, burzą. Na zamku też same pogrozki słyhać. Na nas teraz leży wszystko.

Książę Mieszko słucha Kietlicza, obcego czleka, lekceważy sobie ziemian i rycerzy swych, ufa w siły cudze. Mało tego, wczora na zamku, gdy mu zauszniak doniósł, że biskupi i duchowni na zajazdy majątności swoich się uskarżają, rzekł, co kapelan słyszał:

— Biskupów tak potrafię obuzdać jako innych; poddani moi są. Słyszysz — dodał Gedko — świętokradzkie słowo! Porwą się na nas, a kto swobód ziemian i praw wszelkich ludzkich i Bożych strzedz będzie? kto?... Pójdzie samowola rozpasana po gardłach waszych. Dał już przykład Bolesta, że na biskupa porwać się można, gdy Wernera nieszcześliwego zamordował, dali przykład Kościeszę, gdy u mszy świętej przy ołtarzu Magnusa wrocławskiego zabili. Wprawdzie po pierwszej zbrodni z Piotrem arcybiskupem i Bernardem chwycili winowajcę, osadzili go i dali zżedz na stosie, ale przykład zły nasienie po sobie zostawia. Nie uszło bezkarnie morderstwo ka-

Stach z Konar T. 1.

sztelanowi Boleście, Mieszkowi może iść plazem, silniejszy jest.

— A, nie może to być!—zawołał wojewoda.

— Ani ja chcę wierzyć temu — mówił biskup dalej—aby ze krwi świętobliwego Krzywoustą miał taki powstać wyrodek, któryby zbrodnią na pomazaniu Bożym spełnioną się pokalał, a jednak, wczesnie radzić potrzeba! Od ziemian się gwałty poczynają, na nas skończą.

Przeszedł się Gedko po izbi, wojewoda stał z rękami założonemi.

— Czyżbyśmy już byli zmuszeni o innym panu myśleć?—szepnął nieśmiało.

— Chyba gdy już żadnego innego nie będzie ratunku — odrzekł biskup. — Póki nadzieja w Bogu, na wojnę domową hasła dawać się lekko nie godzi. Mieszko jeszcze opamiętać się może.

— Podżegacza oddalić trzeba—rzekł wojewoda.

— Ziemianie—ciągnął dalej Gedko—już za gorąco biorąc krzywdy swoje, o Kaźmierzu przebakują; wzięli się żywo do popierania go na stolicę. Znam ci i ja tego dobrego, pobożnego, czcigodnego księcia, który najwyższej władzy jest godzien, ale anim pewny czy ją przyjmie, bo dwakroć odmawiał, ani wiem czy godzi się okładać go tem brzmieniem.

— Cóż więc myślicie?—zapytał wojewoda.

— Chcę wyczerpać śropki wszelkie — rzekł biskup. — Nie oddalajcie się ani na chwilę ztąd, bo i dzień jeden wiele dziś stanowić może. Wstrzymujcie ziemian waszych, aby nierozważnych kroków nie czynili; stójcie przy mnie, potrzebuję was. Zrozpaczymli o Mieszkę? niech się dzieje wola Boża! Piśmo Święte powiada: godzi się, aby jeden człowiek ginał, gdy przezeń lud ma być wybawiony. A tu i nie o los ludu idzie, ale o władzę Rzymu najwyższą i o prawa tej ziemi naszej. Jeżeli to wszystko dla jednego ma przepadać człowieka... ocalić musimy prawa. choćby przyszło go skazać!

Sluchał, nie odzywając się wojewoda, przybity widocznie.

— Na zamku dawno nie bywałem—rzekł Gedko— wiem, że tam na mnie kosem okiem patrzą, ale jutro na sądy pojedę, a jako pasterz tej owczarni obowiązek mój spełnię.

Tu biskup zawahał się nieco.

— Wy bądźcie w pogotowiu stawać w mojej obronie, jeślibym jej potrzebował. Z tego, co od zamku zawiewa wnosząc, groźnie tam dla mnie być może. Nie ulękę się przecież, ale chcę byście wy pogotowiu stali i gwałtu jakiego nie dopuścili.

— Na jakież gwałt warzyć się mogą? — zapytał Pobożanin, przejęty i nastraszony zbliżając się do biskupa.

— Na wszelaki — odparł Gedko spokojnie. — Alboż Szczodry nie zarabiał u ołtarza poprzednika mego, a ten mi nie jest przykładem, co w zaślepieniu stać się może?

Wojewoda wzdrygnął się zaprzeczając.

— A, nie! to być nie może!

Wysłuchał go biskup niestrwożony.

— Chcesz posłyszeć, co na zamku śpiewają? — zapytał. — Będiesz miał sprawę.

Uderzył w dłonie i wszedł kleryk, który w drugiej izbie czekał.

— Ojca Siegfrieda proście do mnie, boć do snu pewnie się nie udał jeszcze.

Kleryk wyszedł pośpiesznie, a po krótkiej chwili, z pokornym pokłonem, w długiej sukni czarnej zjawił się mężczyzna młody, blady, przyklęknął przed biskupem i w rękę go pocałował.

— Ojcie Siegfriedzie—odezwał się Gedko — powiedziecie, coście na zamku słyszeli. Nie tajono się z tem przed wami, nie podsłuchiwaście, chciano aby o tem wiadomość doszła do mnie. Mów.

Kapłan chwilę pomyślałszy, rzekł głosem stłumionym:

— Kietlicz począł kaprząd oskarżać ziemian o spiski, potem duchownych, że z niemi są we wspólnocie. Otwarcie wymienił imię pasterza naszego, dowodząc, że nietylko u ziemian, ale i na biskupstwie już mowa jest i zмова, aby powołać księcia Kaźmierza. Książę się począł śmiać z tego i szydził. A gdy Kietlicz ponownie dowodzić usiłował, iż duchowni wszyscy rękę do tego przyłożą pewnie, bo się na gwałty i zajeżdżane majątności żalą—rzekł książę: Biskupów tak posadzam do ciemnie, albo precz z kraju wyženę, jak i prostych ludzi.

Niech ołtarza pilnują i Boga chwala, a w moje sprawy się im mieszać—wara! Pierwszy ksiądz Gedko pójdzie na wygnanie, niech się w Rzymie skarży, znajdując na to sposoby, aby posłuchanym nie był. Na jego miejsce powołam takiego, co mnie słuchać będzie.

Nieposłuszny, choćby najwyżej siedział, ściągnę go z wyżyny i zgniotę, a na dostojęństwo zważać nie będę!

Gedko spojrział na wojewodę, który znów ręce załamał.

— Idź, ojcze Siegfredzie na spoczynek—dodał biskup—chciałem, abyś mi był świadkiem. Niech ludzie wiedzą, co nam zgotowano.

Gdy ksiądz wyszedł, Szczepan się długo na słowo zebrać nie mógł.

— A wy, ojcze — rzekł wreszcie — jeszcze się czego po Mieszku spodziewacie?

— Tak, dziecko moje, bo znam jak wielka przestrzeń dzieli słowo od czynu. Rzecz się słowo płoze łatwo, gdy gniew oczy zaciągnie, ale porwać się ręką—nie łatwo. Zadrży ręką i serce. A i o tem wiedzieć powinniście, że gdzie słowo łatwe i bujne, tam po niem rzadko czyn idzie. Spali się ogień cały na mowę, nie stanie sił na nic więcej.

Słuchaj więc—kończył biskup. — Bądź ty przygotowanym i ludzi miej na pogotowiu, zobaczymy co czynić mamy. Nie upamięta się Mieszko, Bóg miłosier-

ny przebaczy, musimy nastąpić nań—i niech padnie! (dodał głosem uroczystym) niech tak padnie jako padł Szczodry i brat Mieszków Władysław—niech padnie!

Temi wielką groźbą brzemieniami słowy pożegnał wojewodę, a gdy ten go w rękę całował, błogosławiąc go, szepnął jeszcze:

— Bracie, bracie! uczyni jakoś obiecał, kajaj się, popraw, nie chcesz-li mieć nieprzyjaciela we mnie!

Miasto całe już spało, gdy Szczepan z biskupiego dworca na swój wojewodziński powracał dla spoczynku. Potrzebował go starzec utracony wielce i złamany przygodami dnia tego. Droga najbliższa wiodła pod dworek Leszczycy, około którego tuż przejeżdżać było potrzeba. Dnia tego, choć świeżo burza sroga przeszła była nad Krakowem, zabawiano się w gościnnym domku jak niedawno, ale zgromadzenie mniej było liczne i spokojniejsze daleko. A że deszcz niewiele powietrze ochłodził, okiennice wszystkie pootwierano, część nawet gości przed dworem stała w dziedzińcu, aby świeższym powietrzem odetchnąć.

Wojewoda chciał się przesunąć mimo niepostrzeżony, gdy stary Leszczyc, który po nocy miał dobre oczy, poznawszy go, do konia pobiegł z pokłonem. Ziemianie wszyscy lubili wojewodę, choć milezący był i nie zalecał im się bardzo. Przebaczano mu słabości jego, wiedząc, że sprawę ziemiańską na sercu miał i gorliwym zawsze był jej obrońcą.

Za Leszczycem pobiegli i inni ku niemu; tak, że wojewoda mimowoli zatrzymać się musiał, aby na powitanie odpowiedzieć.

— W nocy nawet spoczynku nie macie? — zawołał Leszczyc, ściskając go za kolano. — Znać, że tam coś gorąco być musi.

Wojewoda głową poruszył i uśmiechając się tylko, nie chciał mu się mówić, a tu go obstąpiono dokoła.

— Wojewoda nasz—ozwał się stary Cholewa— a to nam z nieba spadłeś, głowę tracimy! Część

nocy już ci i tak przepadła; zleż że miłościwie ku nam z tej szkapy, a uspokój...

— Wstąpcie, prosimy! — wołał Leszczyc natarczywie.

Cheiał się stary opierać i wskazał na rozpogodzone gwiazdziste niebo. Wóz na północy odsłonięty przez chmury stał znacząc już późną godzinę.

— Zaśpicie na dzień, ojcze! — wołał Cholewa.

— Cóż wam tam tak do mnie pilno? — odparł wojewoda.

Wtem go już prawie gwałtem z konia ściągać poczęto; opierać się nie było sposobu. Ziemianie byli poważni ludzie, starszyzna sama.

Zsiadł więc i wszyscy za nim wtoczyli się do izby, otaczając go kołem.

— Nie wicie o niczem? — odezwał się Leszczyc. — Dzisiejszego dnia dwu naszych ziemian pochwycił Kietlicz, pod blachym pozorem zasadził do ciemnicy, tylko aby nam grozy napędzić. Jednemu z nich, co się śmieiej odzywał, gardłem grożą, drugiemu wygnaniem.

— Cóż za wina? — zapytał wojewoda.

— Jeden się pono zdala na gościńcu na Kietlicza pięścią pogroził, a drugi mu w pomoc przyszedł ze słowem. Sługa ten Mieszkowy, nie ojczyc tuteczny a przybłąda, i on tu nad nami panem, sędzią i sprawcą ma być!

— Jacyż to ziemianie?

— Janek Lubicz, Matek Zadora.

Wojewoda ruszył ramiony i głową zakłopotany.

— Chodził kto za niemi? — spytał.

— Niema po co! daremne upokorzenia i pokłony — przerwał Leszczyc — dosyć nam już tego, trzeba myśleć o sobie. Bez pana żyć nie możemy, a z tym nie wytrwać. Trzeba o tem myśleć.

Wszyscy spojrzeli po sobie, odwagi dodając oczyma. Wojewoda rękę podniósł i położył ją na ustach.

— Nie śpieszcie no się, nie śpieszcie! — rzekł cicho — powracam od Gedki, cierpliwość nakazuje. On

sam jutro na zamku będzie i nie napróżno jedzie. Słowo powie, które zaważy.

— To już nie pomoże! — odparł Cholewa.

— Z rysia barana nie zrobi! — dodał drugi.

— Darmo — rzekł inny z gości — u nas już postanowiono, z Mieszkim niema co i mówić, pošlemy do Kaźmierza, aby go wybadać.

— A tak — dodał Leszczyc — wypadłoby posłać znacznego człowieka, ale zaraz podpatrzą i przewąchają. Musimy tymczasem potajemnie i ostrożnie poczynać. Mamy takiego małego człeczka z dużą głową, co się do Sandomierza ofiaruje jechać. Sam on nie dostąpi do księcia, a przez drugich przygotowuje, aby się nam nie opierał.

Wtem jeden ze starszych odwrócił się, odszedł kroków parę i z drugiej izby Stacha przyprowadził. Wojewoda, który bliżej go nie znał, choć po świetcie spotykał, ciekawie nań począł patrzeć.

— Nie śpieszcie zbytnio, czekajcie! — przebieknął — przed niewodem ryb łowić nie trzeba.

— Ale! ale! — zawołał Cholewa — i ja zrazu tak radziłem, do tego jednak doszło, że już nóż mamy na gardle. Dosyć tego pana i jego sług! precz z niemi!

Szczepan wojewoda, jak był małowówny, szczególnie gdzie ludzi dużo widział, na to gwałtowne wyrzeczenie ramiona tylko ściągnął i ku Stachowi się obrócił.

— Księcia Kaźmierza znasz? — spytał.

— On mnie niebardzo, ja jego doskonale — odezwał się Stach śmiało. — Ze wszystkich synów nieboszczyka króla, Henryk i on to były dwie perły najpiękniejsze i najdroższe. On nam jeden został, równego jemu niema i po długie wieki nie będzie. Szkołę jego sieroctwa i nieszczęścia przechodził, bezdomny był, w niewoli się męczył, a świętym z niej powrócił. Ten nam panować powinien, a nie inny!

Mówił Stach z takim zapalem, iż we wszystkich przelał uniesienie swoje.

Widząc to, bił dalej gorące żelazo.

— Dosyć nam spojrzeć — kończył — aby w nim majestat do którego był przeznaczony, poznać i uszanować. Krzywousty to żywy, aliści piękniejszy od ojca, powaga z dobrocią, majestat z łaskawością w nim, cześć sprawiedliwości wielka. Nie sięgnie on po swobodę niczyją, nie będzie nam innym, tylko ojcem rodzonym. On nam powinien panować! On! Sam Pan Bóg tego chce, gdy Mieszka powiódł na manowce, aby tamtemu drogę otworzył!

Wojewoda uląkł się i zmieształ, uszy sobie zasłonił.

— Na Boga, ciszej! — odezwał się — nie budźcie śpiącego licha. — A do Leszczyca się obracając, dodał: — Ma li jechać ten człek, niech się strzyma póki ks. biskup nie powie.

— Biskup — przerwał Cholewa — jako ojciec duchowny, z pewnością nie chce zguby grzesznego, a upamiętania. Może próbować mądrych środków, my, prości ludzie: wiemy, że się już tu niema czego spodziewać, ani czekać na co...

Niechaj jedzie lepiej dziś, niżeli jutro.

— Natychmiast! — powtórzyli inni — aby książę miał czas się przygotować...

Stach się odezwał z gotowością, choćby tej godziny.

Wybór dlań był już skończony, koń stał od południa osiodlany, ludzi dwóch miał do posługi i wiernego Żegcia; sam Stach już był wdział ubiór do podróży, zawinął się więc z pokłonami tym co go wysyłałi rażno a wesoło, bo mu aż serce biło, że księciu mógł czemś służyć. On to pierwszy przez Bogorję nastąpił się do tego poselstwa. Wprawdzie sam na oczy księciu nasuwać się nie mógł i nie chciał, ale na dworze jako Zabór z Przegaja miał znajomych siła, szczególniej rachując na prawą rękę Kaźmierza, Goworka, którego dobrze znał i był przezeń lubiony. Do niego więc chciał nieść poselstwo tajemne. Jeszcze

wojewoda usiłował go wstrzymywać i hamować ziemian zapalonych, gdy Stach, obawiając się, aby mu do pożądanej nie przeszkodzono podróży, wyrwał się z izby, wybiegł w podwórze i koni dopadłszy, korzystając z ciemności, natychmiast wyruszył, z małą swoją gromadką.

Po burzy niebo się było prawie całkiem wyjaśniło, przebiegały po niem tylko chmurki lekkie, a z za nich dziwnie silnem, jakby obmytem świeżo światłem płonęły gwiazdy iskrzące. Miasto jeszcze spało, a na przedmieściach, gdzie wiejski panował obyczaj, już ku dniowi po chatach budzili się ludzie ubodzy i światelka u nich płonęły.

Stach, Żegiec i czeladź znali doskonale miejskie uliczki i drogi do gościńca wiodące, ku któremu się dostać chcieli. Przesuwali się bezpiecznie pomiędzy plotami, nikogo nie spotykając i już ostatnie chaty w ogrodach pominęli, gdy Żegiec pod niebo już się rozjaśniające spojrzawszy, zamruczał.

— A no, paneczku — patrzcie tam jacyś konni stoją na drodze!

Było to w miejscu, gdzie zarośla się i pojedyncze drzewa nad gościńcem tak uszykowały, że je łatwo z dala bodaj za ludzi wziąć było można.

Stach się rozśmiał.

— U stracha wielkie oczy? Co ci w głowie? — rzekł — krzaki stoją nade drogą.

— A no się ruszają — odparł Żegiec.

— Bo wiatr gałęźmi miota.

— Wiatru ani czuć.

— Bośmy tu zakryci — rzekł Stach.

— A no, ludzie! — powtórzył Żegiec.

— Drzewa! — uparł się Stach.

Podjeżdżali tak ku temu strachowi, puściwszy konie klusem, gdy niespodzianie weale nagle coś z krzaków ruszyło i, nim się Stach miał czas wziąć do miecza, ujrzał się ściśniętym przez zbrojnych, z których jeden przypadłszy doń za piersi go pochwycił,

Drugi ręce mu porwał i w tył wykręcił.—Z blisko poznać mógł jednoosobnego Berezę.

Żegieć próbował się bronić, drudzy też oszczepami wywijali, ale na nich trzech ludzi było kilkadziesiąt, którzy tak nagle nacisnęli, że i mieczów z pochew dostać nie było podobna. Bereza jeszcze pałą okutą płałną Stacha po łbie, i byłby go ranił ciężko, gdyby na żelazne nie trafiła obręcz.

Obrona była niepodobieństwem, Bereza i jego ludzie pochwyconych, poobalanych już rozbrajali, łykami już pętając. Stach wrzaskiem wielkim zrazu bronił się jeszcze napaści zbójckiej, ale nikt tu słyszeć go nie mógł, a wśród nocy nie ważyłby się biedz na pomoc. Ogluszony Stach, ranny Żegieć, powiązana czeladź nie opamiętali się jeszcze co się z niemi działo, gdy już nazad do miasta, bocznymi drożynami wlec ich poczęto.

Jawnem było, iż Stacha wyprawę ktoś zdradził, i że nań tam czekała zasadzka. Kto ją postawił domyślać się było łatwo. Kietlicz zręczny, miał swoich wszędzie, szczególnie między służbą, bo czeladź nie wszystka bardzo rycerstwu i ziemianom sprzyjała.

Postrzegł zaraz pochwycony, że go ku zamkowi prowadzono. We wrotach dał Bereza znak, aby go puszczone, wjechali w podwórze po cichu, skęccono w bok ku szopom i tu ściągniętego z konia Stacha, osobno do więzienia wepchnięto, czeladź jego gdzieindziej uprowadziwszy.

Izba do której go wtrącono, miała wysoko w ścianie małe okienko zaparte okiennicą i kratą drewnianą, trochę słomy wyleżanej w kącie, dzbanek na pół rozbity i drzwi okute, które za nim drągiem ogromnym zawałono.

Na pytania i odgróзки, Bereza śmiechem tylko odpowiadał, ręce zacierał.

Nie szło Stachowi o siebie, nigdy on odwagi nie stracił, biedził się tem, że poselstwo przepadło, a ci co go wysłali, wiedzieć nawet nie będą co się z nim stało.

Jęknął zbiedzony i głowę potłuczoną, na rękę sparlisy, gotował się na wszelki los, jaki mógł mu być zgotowany.

X.

Dnie posłuchania i sądów na zamku były wyznaczone, czasu których nie Mierzwa, ale prastarym obyczajem sam książę zasiadał jako najwyższy sędzia wydając wyroki.

W dni te tych szczególnie dopuszczano, którzy nie obwinieni byli, ale sami z żalobą przychodzili, domagając się sprawiedliwości.

Mieszko wymierzał ją zawsze bardzo surowo; przecież wyrokom tym nie zadać nie było można, chyba, że Mierzwa i skarbnicy pilnowali, aby przy każdym dla książęcego skarbu grzywny sądowe ściągnąć jak największe.

We dnie te często podwórze zamku najrozmaitszego ludu pełne były, dopuszczano bowiem bez różnicy stanu, każdego kłokolwiek żądał być wysłuchanym. Przyjeżdżali nieraz i ziemianie w sporach o podziały ziemi dziedzicznej, o spadki, pojednanie zwaśnionych rodzin się dopraszając i kmiecie, osadnicy i lud nawet prosty. Nie widać tu tylko było duchownych i spraw takich, które do sądów ich należały, bo te sami biskupi bez odwołania sądzili.

Tak, kilka lat temu, gdy ów Bolesta, kasztelan Wizki, nasadził zbójców i zamordować kazał biskupa plockiego Wernera, nie sądził Bolesty, ani książę, ani żaden sąd świecki, kazał go schwycić arcybiskup gnieźnieński zwołał do pomocy dwóch pasterzy, ska-

zał go na stos i obszytego w płótno woskiem napuszczone, spalił w Gaieźnie pod Katedrą.

Bywały sprawy, które książę sobie przywłaszczał, a duchowni za swe uważali, rodziły się o to spory, i książęta radzi byli sądy swe czynić jak najgłośniejszemi, pociągali do nich, by groźną władzę duchownych uszczuplić.

Mieszek też tego przywileju wymierzania sprawiedliwości tem bardziej strzegł, im bardziej pragnął wielką już potęgę duchowieństwa ukroić.

Dnia tego, nazajutrz po rozmowie wojewody z biskupem Gedką, przypadały królewskie sądy. Odbываły się one z okazałością wielką.

Książę zasiadł w izbie na ten cel wyznaczonej i przybranej, na krześle szkarłatem obitem, w czapce złocistej, z mieczem przy boku, otoczony całym dworem. Do pomocy mu tylko znajdować się musiał Mierzwa, który stał za innemi dostojnikami, mało tutaj znacząc i będąc widocznym.

Mieszek, którego zdawna Starym przezwano, miał w tym dniu, jak zawsze, gdy się ukazywał publicznie, twarz surową, którą zarost bujny, długa do góry poddarta broda ciemna, włosy czarne, brwi rozrosłe i namarszczone, czyniły groźniejszą jeszcze. Strój jego wspaniały był i wytworny. Za nim tuż, choć nie noszący urzędownie tego tytułu, ale pospolicie już Palatynem zwany, stał Kietlicz, którego grubej i przysadzistej postaci strój rycerski i łańcuch, niewiele dodawały wdzięku.

Inni też urzędnicy dworu otaczali księcia kołem, kanclerz, osoba duchowna, stary prałat Balwin z Brzezia, marszałek pański ze złocistą laską w rękę, Podkomorzowie, Radni książęcy, dworzanie, służba.

Na dni te wszyscy przywdziewali stroje odświętne i oznaki swoich urzędów; Miecznik trzymał ogromny miecz w pochwie nabijanej z pasem obwiniętym koło niej, znamię sprawiedliwości, inny tarczę książęcą i t. p.

Cisnęło się na te posłuchania wiele ciekawego ludu, któremu przystępu nie wzbraniano, aby mógł oglądać pańskie oblicze i sprawom się przypatrzeć. Drzwi stały otworem, a strażę książęce nie odpędzały nikogo, chyba tłok stawał się zbyt wielki.

Sądy rozpoczęły się od wczesnego ranka, na załobach nie zbywało. Mieszko sam odzywał się mało, za siebie rozkazując Mierzwie zadać pytania, słuchając odpowiedzi, w końcu za poradą z przybocznymi sam wyrok ogłaszając.

Kilka już spraw z dość surową poszło odprawą i zapłakanych ludzi strażę powypychały, gdy Kietlicz stojący u tronu, spojrzawszy ku wrotom oknem otwartem, zobaczył coś i niespokojny pochylił się do ucha pańskiego, szepecząc głosem na pół szyderskim pół złośliwym.

— Jego miłość, książdz biskup Gedko na sądy też przybywa.

Książę zdziwiony, z brwią namarszczoną mocniej jeszcze, spojrzął na mówiącego, jakby pytał co to znaczyć miało. Było w tem bowiem coś niezwyčajnego. Biskup jak inni wiedział o dniu sądów książęcych, nie mógł więc przybyć chyba z jaką żałobą. Rzecz to znowu była nieprawdopodobna, bo duchowni sprawy ich się dotyczące, sądzili sami.

Mieszko, jak zawsze, panem był siebie, tak i teraz nie okazał po sobie nic, choć go to niepokoiło. Sprawa tylko, którą powołać miano, wstrzymaną została. Zwyczajem było, iż książę naprzeciw pasterra do progu wychodził, tym razem Mieszek nie poruszając się, pozostał na siedzeniu swoim.

Gedko przybywał z uroczystym występem, ubrany w szaty odświętne, w płaszczyku złocistym na ramionach, jaki naówczas biskupi nosili, niesiono przed nim krzyż, towarzyszyli mu prałaci i dwór okazały. U drzwi biskup się zatrzymał, jakby oczekując należnego powitania, książę wstał tylko z tronu, ale się do wniścia nie ruszył. Na twarzy Ged-

ki przebiegl rumieniec doznanej obrazu, nie wstrzymało go to od wnijsia i żywo sam zbliżył się do księcia, obok którego miejsce jego było.

Wspaniała postać biskupa, z wyniosłem i pogodnem czołem, cała nabrała jeszcze majestatu od uczucia godności dotkniętej. Szedł z wolna, a gdy Mieszek z pewną niechęcią, zmuszony schylił się w pierścień go całując, Gedko odezwał się doń głosem spokojnym, ale w którym się czuć było pewną siebie.

— Miłościwy książę, choć na twych sądach, ja niemam co czynić, tylko im błogosławić, pozwólcie abym się widokiem ich pocieszył i wymiarem sprawiedliwości. Najpiękniejszy to przywilej monarchów, być szafarzami tego co najdroższe na ziemi.

Mieszek nie odpowiedział, można było z twarzy dwu mocarzy tych wyczytać jakby wzajemne wypowiedzenie wojny. Biskupa odtrącić nie było sposobu, książę skinął na dwór. Niespodzianie przybycie Gedki wymagało, aby mu obok książęcego, na równi z niem, siedzenie drugie przygotowano. Choć niechętnie, musiano to spełnić, przyniesiono siedzenie okryte z drugiej izby i postawiono je przy Mieczysławowem. Biskup czekał stojąc, a książę też siadać nie mógł. Mierz yli się oczyma zapaśnicy.

Już to samo, że biskup w oczach ludu i dworu zająć miał miejsce tuż obok księcia, oznaczające, że z nim dzielił władzę, dumnego Mieszka poruszało do głębi.

Gedko choć czuł dobrze, iż nie był tu pożądanym gościem, nie zmienił oblicza pogodnego, zasiadł należne sobie krzesło, które służba co prędzej ustawiała. Książę zasiadł widocznie uchylając się od biskupa i zwracając w inną stronę.

Jak przy Mieszku dwór jego tak obok Gedki stanął krucyfery z krzyżem, który tu miecznika zastępował, bo władzy duchownej orężem było to znamię, dalej prałaci, dwór, prawie tak mnogi i wspinały jak książęcy.

Wzmogło się gniewliwe rozdrażnienie Mieszka, gdy ujrzał się w tej izbie własnego zamku niemal poniżonym przez widomy podział majestatu z duchownym. Oczy księcia ciskały wejrzeniami strasznemi, usta się ścięły, dłoń spoczywająca na mieczu drżała, obejmując rękojeść namiętnie.

Gdy się uciszyło, ludzie u drzwi stojący wołać poczęli czyby kogo nie było z żałobą, aby występował. Ujrano naówczas niewiastę średnich lat, odzianą jak naówczas ubogie ziemianki się nosiły, w odzieży ani nazbyt starej, ni nadto okazałej, z namitką białą na głowie, w płaszczu na piersiach spiętym. Twarz jej żółkła, poorana marszczkami, oczy od łez zaczerwienione, wyraz ust zbolący, litość obudzały. Tuż za nią szedł człek młody dosyć pokaźno przystrojony, twarzy butnej, zuchwałego spojrzenia, w krótkiej sukni wełnianej, pasem nabijanym ujętej, w spodniach obcisłych i miękkich hodakach, przy mieczyku, z włosami długimi rozrzuconemi na ramiona. Poznać było po nim można, iż musiał za jakąś winę odpowiadać, a coś mieć na sumieniu, bo szedł krokiem niepewnym, wahając się, oczy to zbyt śmiało podnosił, to strwożony i pomięszany opuszczał. Z rękami też nie wiedział co zrobić, chwytął się za pas, rzucił go, ujmował za mieczyk, zakładał w tył... Twarz nie wiele o nim dobrego powiadała, choć młoda jeszcze, już jakby życiem sterana wyglądała, pofałdowana, niespokojna, krzywił usta, mrużył oczyma, drgały mu mięśnie niespokojnie. Plamy czerwone i blizny szpeciły go też nie mało.

Za nim szło aż pięciu ludzi wystraszonych, w siermięzkach prostych, bez koszul, w chodakach dziurawych, z włosy krótko ostrzyżonemi. Niektórzy kije pstrze mieli w rękach. Łatwo w nich było poznać parobków od pługów, albo też pastuchów świeżo od trzody tu przypędzonych.

Ludzie ci dwór świetny i pana zobaczywszy przed sobą na majestacie, strwożeni, ledwie kilka

kroków podszedłszy, popadali na kolana, głowy pochylili ku ziemi i nierychło wstać się ośmielili na znak, który im dano.

Staruszka niewiasta patrząc na biskupa to na księcia, zdawała się w niepewności do kogo zanieść ma skargę. Wahała się jeszcze, gdy Mieszek, obawiając się snadź, aby do biskupa się nie zwróciła, sam powołał ją, rozkazując bliżej przystąpić i opowiadać czego chciała.

— Miłościwy książę a panie — poczęła niewiasta ze zwykłą płci swej i wiekowi gadatliwością nieporządną — miłościwy panie! jestem wdowa utrapiona i nieszczęśliwa, którą ostatniego mienia i chleba pozabawiono! Miłościwy książę, mąż mój nieboszyk służył i zasłużył się panom swym, zwali go Błażkiem, był koniuszym przy zamku. Człek był poczciwy a pracowity. Nieboszyk książę dał nam ziemię, pola i łąki, gdzie i dworek postawił nieboszyk. Nakupił potem owiec, a te się nam z łaski Bożej rozmnożyły, miałam stadko ich piękne — (tu lzy otarła) — a! z niego całe było utrzymanie moje.

Płacz i szlochanie na chwilę jej odjęły mowę.

— Al ja, nieszczęśliwa sierota! — mówiła dalej wśród łkania, które ciągle głos tamowało. — Gdy wspomnę, serce mi się kraje! Miałam mleko i ser na sprzedaż i wełnę. Było się czem okryć i czem pożywić i jaką odrobinę schować na złą godzinę. Al ja nieszczęśliwa sierota! co ja teraz pocznę wyzuta ze wszystkiego.

Płacz znowu Błażkowej mowę stłumił, a Mieszek rzekł:

— Mówcież, kto was o szkodę przyprowadził!

Niewiasta, jakby przemówić jeszcze nie mogła, wskazała ręką na stojących z tyłu parobków.

— Al oto ci, ci niegodni słudzy. Syn mój do dozoru ich przyjął. Dobrze dozorowali! Łajdaczyli gdzieś czy spali, dosyć, że wiley z lasu wyszedłszy, jak się do stada wnieśli, jak zaczęli łasić, tak mi

prawie nic nie zostało. Barany, owce, jagnięta, poszło wszystko biedactwo na głodne zęby! Al ja nieszczęśliwa sierota, już mi chyba przyjdzie z głodu umierać.

Zaniosła się biedna niewiasta płaczem wielkim, a książę który sprawę tę wziął tem goręcej do serca, że tak dostojnego miał sądów swych świadka, odezwał się:

— Któryż jest synem twoim?

Wdowa Błażkowa zwróciła się wskazując na młodzieńca, który pokłon oddawszy księciu, dosyć śmiało, ale głosem zachrypłym rzekł:

— A to ja jestem miłościwy książę, ja, Tymek Berdów, ja.

Wskazał palcem na pierś swoją.

— Ja syn sługi twej, miłościwy *królu!*

Tytuł ten nie czynił wstrętu Mieszkowi, choć do niego prawa nie miał i nie nosił go.

— A gdzież są ci najemnicy? — zapytał.

Miedzy parobkami, którzy spojrzeli po sobie i łokciami się trącać poczęli, stało się zamieszanie chwilowe i, jakby za przyzwoleniem ich ogólnem, starszy jeden z kijem w ręku, u którego uwiązana wisiała mała flaszeczka, wystąpił naprzód i gwałtownie rzucił się na kolana, wskazując towarzyszków.

— Miłościwy królu, to my; Łupa, ja, Zgonina, o to ten, Bajda, Chromek i Brechun.

Wstawszy Łupa począł szybko a frasobliwie, targając krótkie włosy.

— A to nas winią, a to skarżą, a no i my tu przyszli do miłosierdzia pańskiego, my, Łupa, Bajda ta i wszyscy. Jak się pan nie zmiłuje a Bóg, to któż? ginąć przyjdzie.

Pozostali za Łupą stojący, potwierdzili co za nich prawili.

— Jakże to było? prawcie śmiało — odezwał się książę.

Łupa począł śmieiej, potarłszy głowy.

— A no, jak było, Bóg najjaśniejszy świadek,

Stach z Konar. T. I.

że prawdę mówimy, i że oto jak było. Choćby krzyż całować przyszło, my wszyscy gotowi, a choćby na żelazo i wodę. My nie jesteśmy ludzie niewolni, ale swoboda i najemnicy. Tak o to ten Tymek Berdów—wskazał na młodzieńca, który się niecierpliwie poruszył—o to ten, ale, proszę miłości waszej, jako żywo on nie jest syn wdowy Błażkowej, ale pasierb, tak pasierb.

Odwrócił się powołując do swoich, którzy mu głowami coś pomrukując świadczyli. Ani wdowa, ani Tymek nie zaprzeczali.

— Ten Tymek — mówił dalej pastuch — najął nas, mnie Łupę, Bajdę i Zgoninę potem Chromka i Brechuna na ostatku.

— A no, tak — potwierdził kłaniając się Brechun.

— Najęli nas — ciągnął Łupa — najęli, trzoda była duża, roboty koło niej, strach! Wszystkich razem pędzić nie było można, a tu w szkodę zapuścić wara, tam łęgi pozatykane, nie można, a tu od lasu i zwierza pilnować, a od moczarów odganiać. Już jak tam nas karmili, niechce i gadać, chleb ościsty a polewka, krupa krupę gonila. A tu trzeba było i doić i mleka pilnować i sery robić i lekarstwo dawać.

— El el więcej sami mleka spili niż serów zrobili! — wtrąciła wdowa.

— Od wilków my, od lasa a oszczepem stawali—ciągnął Łupa — wilecy w trzodzie szkody nie robili. Raz jeden barana bestja okaleczyła, co go dobić musieliśmy, bo by był zdechł... Bajda z Brechunem jak poczęli wrzeszczeć, rzucił go wilk i skóra a mięso ocalało...

Kto nas trzody pozbawił! el el

Tu odwrócił się i na Tymka palcem wskazał.

— Ot, kto! ot! Jemu tylko aby polować a polować z psiskami, a sobaki złe, że co napadną bywało rozszarpią. Wpadli raz na trzodę, jak niepoczną

się znęcać, my z kijami. Gdzie zaś! i nam się dostało. Tymek nadbiegłszy jak wziął nas okładać, a żebyście mi milczeli, żebyście nie gadali na psy, pamiętajcie! Powiecie że wilki w trzodzie szkodę zrobiły, nie, to stłukę na miazgę.

Cóż my, proszę miłości waszej, mieli robić? Przyszło pędzić do obory, niema liku, wdowa w płacz, a na nas wymyśla. — Taki to z was dozór, darmo zjady, a ja was za co karmię moim chlebem, a wy tacy, owacy... Co było robić musieliśmy milczeć! Drugiego dnia, jak się psiarstwo zaprawiło na owcach, gdzie! ani go wstrzymać. Poczęli dusić znowu. Bieda! strach! gwałt! my na nich z kijami. A żebyście mi się nie ważyli moich psów tykać, woła Tymek, ani na psy skarżyć, bo żywi nie udziecie.

Gdy Łupa tak rozповідаł szeroko, Tymek już ledwie mógł się utrzymać.

— Miłościwy królu! — zawołał — to są wierutne łajdaki i kłamecy... Spali a nie pilnowali, wilecy trzodę wydusili, teraz na moje psy składają. To zbóje i nieponie, bez czci i wiary poganie, których słowem ani przysiedze wierzyć nie trzeba.

Nie tak było, kłamstwo wszystko. Ja ze psy moimi wilki ścigałem, odganiałem, a oni ufając w to pokładli się na brzuchach i spali i wileczyśka trzodę całą wymordowały.

Odwrócił się do Łupy.

— Będziesz ty mi łgal!

Łupa do księcia mileząc ręce wyciągnął.

— Panem Bogiem się świadczę — odparł — kłamię on! myśmy niewinni nie.

Stało się milezenie, ks. Mieszek oparł się na rękę i zadumał, widać było, że przed biskupem chciał mądrość swą i przebiegłość okazać. Sprawa była do rozsądzenia dosyć trudną. Komu tu dać wiarę? Gedko spoglądał mileżący na księcia, czekając co też powie. A że Mieszek ani nań patrzył, ani się odzy-

wał do niego, na twarzy biskupa coraz większe rozdrażnienie występowało.

Lekceważono go publicznie i cheiano zapomnieć o nim, jakby go tu nie było.

Mierzwa człek przewrotny, widząc sprawę zawiąlaną, z uciechy, że inni sobie może nie poradzą z nią, tam gdzie on łatwo by wiedział kędy wyniść, brodę ręką gładził i uśmiechał się do siebie. Wdowa płakała, parobcy między sobą szeptali, Tymek z nogi na nogę przestępował, na księcia zerkając z ukosa.

W tem długo książę pomyślawszy, podniósł głowę i rzekł zwolna:

— Jedna i druga strona prawi tak, że jedno i drugie zda się równie wiary godnem. Mogły psy być przyczyną, mogli i wilcy. Ani pastusi ani pasierb nie stawia świadków. Zresztą parobcy czynili co mogli, nad siłę zrobić nie byli w możności. Wilcy czy psy, silniejsze były od nich. A no, na pastuchów zwierzona była trzoda, oni za nią odpowiadają, co o psach prawia, lżą, być może, bo kto by własne owce dał dusić? Co to rzec? pastusi winni za owce zapłacić, a jak nie mają czem, w niewolę iść.

Odwrócił się książę nie ku biskupowi, ale ku swoim.

— Cóż, jak wam się zda?—spytał.

Kietlicz, Mierzwa i cały prawie dwór jednym głosem zawtórowali.

— Najsprawiedliwszy wyrok w świecie!

Biskup nie powoływany do zdania, nieco sztydersko się uśmiechnął, książę to postrzegł. Tymek zdawał się tryumfować, ale Mieszek, którego uśmieшек Gedki ubodł mocno, sparł się na dłoniach i myślał znowu.

— Tak się zda — odezwał się wstrzymawszy nieco — a gdyby prawa surowego się radzić, wyszłoby inaczej. Jest dowód pewien, czemu sam pasierb nie przeczy, że złe psiska chował, że na te psy

i inni się uskarżali. Ja to wiem. Sam przyznaje, że z temi psy około trzody się związał. Cóż dziwnego, że wszędzie bestje na owce się rzuciły? Albo to nowa i niezwykła rzecz? Dowodów innych niema, oprócz tego prawdopodobieństwa, prawo więc nakazuje na niem się opierać. Owa baśń o gonieniu za wilkami pachnie wykretem. Prawdę rzekłszy pasierb winien nie pastuch i on matce swej czy macosze trzodę nagrodzić powinien, on! on, nie kto inny! Sprawiedliwość tego wymaga!

Znowu książę odwrócił się do swoich, a Mierzwa z rękami do nieba wzniesionymi, z twarzą rozpromienioną, wielbiąc rozum pański, zawołał:

— O nierównana mądrości pana naszego!

Inni za nim pomrukując, sławić ją poczęli.

Z twarzą wyzywająco szyderczą książę się zwrócił ku biskupowi, jakby go do wypowiedzenia zdania wyzywał, gdyż Gedko milczący dotąd, oprócz urazy, że był zapomniany i lekceważony, nie dał znaku ani przeciwieństwa ani zgody.

— Cóż wy na to ojcze?—spytał.

Gedko twarz przyobłókl powagą wielką, zmieniła się ona, rozpromieniła natchnieniem razem i obrażoną dumą—odwrócił się do księcia powoli.

— Miłościwy panie — rzekł poważnie — istnieje Bóg sam mnie tu dał sprawę, która jakby umyślnie dziś się właśnie przygodziła, abym ja z niej dla Was samych prawdę pożyteczną wydobył.

Daleś wyrok sprawiedliwy, miłościwy panie, ale na samego siebie.

Pomyślnie, nie jestli ta niewiasta jakoby ziemią krakowską, a ty zaprzeczyć nie możesz, iż do pasierba tegoż jesteś podobny. — Ona cię synem zwie, inni mogą pasierbem mianować, a trzoda owiec nie jestli to lud twój wszystkich, który powierzyć pono nie skotarzom wiernym, ale takim obcym najemnym pastuchom, którzy z niego skórę, wełnę i mleko chciwie dla siebie chwytają.

Tu ręka biskupa wyciągnięta, jakby mimowolnie Kietlicza wskazała.

— Postąpiłeś z tą ziemią, nie jak z matką, a z macochą, nie litując się jej nędzy. Wściekłe psy są to twoi urzędnicy, żądni krwi i okrutni, których ty na wodzy nie trzymasz, a pastwić się im dajesz nad trzodą własną.

Bezkarność pewni, rzucają się rozjuszeni na trzodkę twoją i szarpia, a krew jej chlepcą!

Wyrok twój, panie, na cię samego pada, tyś winien tak jako ten pasierb wdowy! Świątobliwy król Dawid, choć ludu swojego ciemnić nie dawał, a tylko policzyć go kazał, przecie popadł za to w niełaskę u Boga i pokutę musiał sprawiać, aby mu grzech jego był odpuszczonym. — Powiedz więc, panie—zgrzeszyłem, a kajaj się, aby cię ręka Boża nie dotknęła.

Śmiało to wystąpienie biskupa, jak piorunem raziło księcia; nie chciał zrazu wierzyć uszom swym, zbladł, rzucił się z krzesła, jakby na Gedkę chciał porwać, ledwie zdołał gniew swój poskromić.

Niezlomna ta odwaga biskupa, przeraziła więcej jeszcze dwór pański, który stał oniemiały i struchlały. Kietlicz czerwieniał się, bladł trupio i radby był pójść wskroś ziemi. Mierzwa skrył się za innych, widać go nie było. O sprawie, wdowie, parobkach zapomnieli wszyscy, a niektórym się zdało, że nasadzona była rzecz umyślnie przez Gedkę, aby mu do jego wystąpienia posłużyła. W izbie całej popłoch się stał, jakby w oczekiwaniu wielkiego jakiegoś wypadku.

Tymczasem Gedko zwolna podniósł się z siedzenia, ostatnich słów domawiając, rzucił wzrokiem dumnym, surowym, spokojnym na księcia, który oczy musiał spuścić i, dawszy znak prałatom swym, wolnym krokiem tłum rozstępujący mu się przeryniając, izbę sądową opuścił.

Co było jeszcze ludzi z żałobami, strażę na znak gniwny Kietlicza, wnet precz wyganiać poczęły,

wdowę naprzód, syna jej, parobków i innych na sądy oczekujących. Mieszek, który też się podniósł z siedzenia z twarzą bladą, ale straszliwy gniew tłumiony wyrażającą, rzuciwszy okiem po swoich, do drzwi się bocznych skierował.

W chwilę potem izba była pusta, a na zamku zapanowało złowrogie jakieś, tajemnicze milczenie.

Książę wprost ztąd, zamiast do komnat żony i izb, w których ze dworem do stołu siadał, poszedł do swej sypialni. Skinał na Kietlicza, który się włókł za nim posłuszny. W dwu słowach dany już był rozkaz załodze zamkowej, aby stała w gotowości, aby się nikt ze dworu oddalić nie śmiał.

Prerażeni wszyscy, czegoś strasznego oczekując, chodzili niespokojni, losy Szczodrego przychodzili na pamięć. Tak samo Stanisław ze Szczepanową napominał go publicznie.

Izba, do której wszedł Mieszek z Kietliczem, była zwykłą, do narad i rozkazów potajemnych przeznaczoną.

Nie było w niej przepychu, ale wygoda wszelka i niemieckich wymysłów sprzęt, nie tak okazały, jak do spoczynku i pracy najpodatniejszy. Znać było tu pana, który dla oka w domu czynił mało, dla dogodności wiele. A że w tych czasach zawsze się musiał każdy mieć pogotowiu do obrony, był też oręż i broń różna po ścianach i kątach.

Tu zwykle kanclerz spisywał przywileje przy świadkach, więc i do pisania przybory na stole leżały i pulpit do rozkładania ksiąg, gdyby się radzić przyszło. Choć Mieszek prawa obcego ani żadnego bardzo szanować nie chciał, wolę swą mieniąc prawem jedynem, przecie czasem radzić było trzeba pisma.

Wszedłszy Mieszek, padł na siedzenie, kubek wody wychylił, długo nieruchomy trwał, nie mówiąc słowa. Kietlicz stojący u progu patrzył nań, odzywać się nie śmiejąc, nogi pod nim dygotały, pot z czoła padał kroplami—oddychał ciężko.

Upłynął dobry czasu kawał, książę dwa czy trzy razy usta otwierał i milkł, nie mogąc się zdobyć na słowo; ręka, która leżała na stole, konwulsyjnie drżała. Spojrzał na Kietlicza, ani go odpędzał, ani powoływał. Dumal z sobą. Naostatek, jakby bój stoczywszy i zwyciężywszy, Mieszek powstał, kołpak który miał na głowie poprawił zrazu, a potem na stół go rzucił. Stał naprzeciw Kietlicza, brew mu się ściągnęła, usta drgały.

Odzyskał już był mężstwo i władzę nad sobą.

— Mów — odezwał się głosem zmienionym — którzy są, co z biskupem trzymają?

Kietlicz zawahał się z odpowiedzią.

— Miłościwy panie — rzekł — ledwie nie przyszło pytać dziś, którzy z nim nie trzymają i przeciw własnemu panu nie są? Na pewno wiemy, że wojewoda Szczepan, krewny jego, należy doń cały. Leszczyc co noc zbiera u siebie narady, knuje zmowy. Wczoraj ich podsłuchano, że już na zwiady wysłać mieli do Kaźmierza. Posłańca schwytanego trzymam w więzieniu.

Biskupi wszyscy z Gedką trzymać będą, książę pójdą za nimi, ziemiaństwo nie odstąpi ich.

— Więc na nim pierwszym — odezwał się Mieszek — na buntowniku jawnym przykład uczynić trzeba.

Zuchwały klecha wyzywał mnie, sądząc, że się porwę nań i uczynię go męczennikiem! Nie! księdzem jest, nie tknę go, z Rzymem się zadzierać nie chcę. Dziś, nocą, stu ludzi weźmie go z dworca, niech mu włos nie spadnie z głowy, ale zuchwalca co nie nie szanuje, precz za granicę kraju wyrzucić. Powiedzieć mu, jeśli się wrócić ośmieli, głowę mu kto zdjąć może. Znajdzie się taki, co to uczyni.

Ręką rzucił Mieszek.

— Miłościwy panie... — chciał przerwać Kietlicz.

— Milcz z radą swą! — odparł książę — rady nie potrzebuję, posłuszeństwa.

Przeszedł się po izbie, wodę pijąc i uspokajając.

— Wojewodę, gdy do swej miłośnicy jechać będzie, bracia jej mogą ubić na drodze, albo u niej w domu. Nie będzie im za to nic, można powiedzieć. Stary łotr, winien dać gardło; sprzeniewierzył mi się.

Znowu chodząc dumal Mieszek.

— Leszczyc, Bogorjów, Cholewę, gdy się zniży, pobrać na gród i posadzić. Sądzić ich sam będę, winni zdrady. Kto życiem nie przypłaci, oczyma lub ręką. — Nadto byłem powolnym, nie znają mnie jeszcze; krwi potrzeba, aby postrach był.

— Miłościwy panie — przerwał raz jeszcze Kietlicz — ziemiaństwo nastraszyć dość, a lepiej go nie drażnić. Silni są.

I jam nie słaby — odparł książę, odwracając się od niego. — Nie straszyć ich próżno, ale wydziełsiatkować trzeba. Biskupa jednego stanie, aby reszta milczała, ziemian pobrać więcej. Ha! stali już do Kaźmierza! — dodał, uśmiechając się gniewnie — do Kaźmierza! Nie juści w niego ufają i za jego przyzwoleniem to czynią? Nie, nie!

Oni go chcą wziąć, ale się im nie da. W Sandomierzu zawsze stek tych, co odemnie stronią, Biskupi tam ciągną, opatów i klechów pełno — klasztor czy szkoła ten dwór jego, a w rzeczy to jaskinia łotrów.

Tylko nie zmoż Kaźmierza, bojaźliwy jest, miękki, przeciw mnie się nie ośmieli, bo zna, że nie na jego siły!

Kietlicz ani przeczył, ni potwierdzał.

— Kogo stali do Kaźmierza? — zapytał.

— Ziemianie u Leszczyc zebrałi, którzy niemal co noc się tam zjeżdżają, małego człeczka wybrali. Czelaź podsłuchała i doniosła. Ten już siedzi.

— Drugiego znajdują — dodał Mieszek. — Zabrać ich wszystkich z Leszczycem, do nogi!

— Nuż się opierać zechcą? — szepnął Kietlicz — i to już może być.

Mieszek głową potrzask pogardliwie.

— Ludzi masz dosyć!

— A jeżeli wojewoda swoich powoła?

— Wojewoda! — parę razy powtórzył Mieszek z lekceważeniem. — Wojewodę mogą sprzątnąć ci z Tęczyna, starzec jest niedołężny. Ja wojewodów krom ciebie nie potrzebuję, do wojny znajdę dowódców, warcholów wymieść trzeba precz.

Znowu umilkłszy, zaczął się przebadzać książę, pomrukując, jakby to co myślał ciężko mu wypowiedzieć było. Stał potem naprzeciw Kietlicza.

— O Kaźmierzu prawią między sobą — rzekł — ja się go nie lękam, ale póki on tam siedzi za oczyma, wszystko się do niego gromadzić będzie. Słać potrzeba, żeby do mnie przybywał. Lubi mądrych ludzi — dodał szydersko — księdza po niego wyprawić, a jeśli o wiernego trudno, Mierzwę, który go rozmową zabawić potrafi. Niech mu powie, że widzieć go chce, sprawę mam pilną...

Raz tu go sprowadziwszy, nie puszczać od siebie. Ślij po niego zaraz — dziś... prędko!

Kietlicz stał tem mnóstwem pańskich rozkazów zmięszany nieco.

— Miłościwy panie — odezwał się — co rozkazujesz, to dla mnie święte, ale czy podolał naraz tylu sprawom? Biskup, wojewoda, ziemianie, książę Kaźmierz...

Mieszek odwrócił się ku niemu gniewnie.

— Tak, albo naraz wszystko zrobić potrzeba lub z wszystkiego nic nie będzie! — krzyknął ostro i zapalczywie. — Gdy popłoch się rzuci, nie czas będzie ludzi łapać, bo się rozbiegną. Nie dzwonić na trwogę, a ująć razem tych co zмовy czynią. Masz ludzi, masz siłę, masz przykaz mój, czyń co chcesz... Tak musi być.

— Cóż, trwożysz się? ty?

Kietlicz poruszył się żywo.

— Nie trwożę się, choćbym i życie miał dać.

Nie pożałuję nikogo...

— Natychmiast do dzieła — dodał książę — Biskupa wziąć i za granicę go wywieźć; jeśli chce, niech

skarży na mnie w Rzymie, znajdę sposób na to! Z wojewodą rozprawia się bracia tej wszetecznicy; daję im go na wolę. Leszczyca dwór otoczyć i na zamek pobrać wszystkich.

Kietlicz stał jeszcze.

— Nie masz czego czekać — zakończył książę. — Idź czyn! Nie trzeba okazywać nic, na zamku do wieczora niech się nie rusza. Mierzwę ślij do Sandomierza; nagiąć ma, by przybywał do mnie. Opierać się nie będzie — starszy brat wzywa i rozkazuje, idź! rób!

To mówiąc, książę z ramion zrzucił płaszcz, odpasął miecz, zdjął suknię i pochwyciwszy kaftan ze skóry bawolej, szybko wciągać go zaczął, natychmiast nań suknię wdzwiewając i mieczem opasując się znowu.

Kietlicz postawszy u progu chwilę, ze spuszczoną głową, odszedł powoli, ciężkie brzemie niosąc na sobie.

W komnacie, w której się to odbywało, nie było nikogo, lecz gdy Kietlicz drzwi jej otwierał, zdało mu się, iż posłyszał szybko oddalające się kroki, jakby od progu uciekającego co żywiej człowieka. Rzucił się za nim strwożony. Łatwo który z dworzan lub czeladzi stać mógł na podsluchach, uląkł się, by zdrady nie było. Nie dowierzał nikomu.

Pędził co sił stało, lecz ocięwały i krótkonogi, nim do przedsieni dobiegł, nie znalazł śladu, ni słyhu. Tu chodniki kryte rozchodziły się na różne strony. Cicho było dokoła i pusto; pusto nawet w wewnętrznych dziedzińcach. Pocieszył się tem Kietlicz, pot ocierając z czoła, że mu się ów szelest przesłyszał.

